

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Biden już wygrał wojnę.
- A nawet dwie
- Opozycja musi się zjednoczyć
- Drobnomieszczenie przejęli rewolucję
- Giertych czyta św. Tomasza
- Czy Norwid miał depresję



**WYSOKIE
OBCASY**

Przychodzi
osoba
transpłciowa
do odzieżowego



GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Agenci wpływu, lobbysci, marionetki Putina?

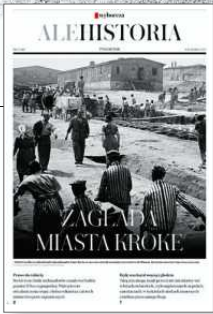
Czy wolno
nazywać ich
onucami

RYS. ARKADIUSZ HAPKA

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Ministerstwo
mądrych kroków**
Jak dyplomaci wychodzili
nam fajne granice



**Na pewno wszystko
się dobrze skończy**
Krakowscy Żydzi idą
do getta

**Maryja Panna
przewidziała**
Głód w Irlandii, Wiosnę
Ludów i wojnę krymską

Wojciech
Maziarski

Naprawdę chcecie więcej państwa?

Przypomnijmy kilka faktów z państwa PiS. W maju 2020 r. konduktorzy PKP dostali polecenie śledzenia pasażerów. Mieli informować o osobach jadących do stolicy na demonstrację przedsiębiorców. Podkreślmy: ta inwigilacja miała miejsce wyłącznie w Polskich Kolejach Państwowych, a nie np. w prywatnych firmach autobusowych.

W czerwcu 2022 r. pracownica poczty w Pacanowie – znów podkreślmy: państwowej poczty, a nie np. prywatnego In Postu – poskarżyła się posłowi PiS na drożyznę. Za to szef kazał jej zwolnić się z pracy, bo w przeciwnym wypadku zostanie wyrzucona w trybie dyscyplinarnym. Udało się jej zachować posadę tylko dlatego, że media podniosły krzyk.

A jakie media podniosły krzyk? Oczywiście prywatne, m.in. „Wyborcza”. Kontrolowane przez rządzących media rzekomo

publiczne czy wykupione przez państwowy Orlen mają ważniejsze sprawy na głowie niż bronienie obywateli przed nadużyciami władzy. One raczej bronią władzy przed obywatelami.

Skoro już o mediach mowa, to jaka spółka wykupiła redakcje lokalne Polska Press od niemieckiego właściciela, by uczynić z nich narzędzie władzy? Kontrolowany

przez państwo Orlen. Ten sam, który w interesie obozu rządzącego manipulował cenami na stacjach benzynowych. Czy takie manipulacje miały też miejsce na stacjach innych właścicieli, których państwo nie kontroluje? Nie słyszałem o takim przypadku.

A do jakich szkół rodzice masowo zapisują dzieci, by uciec od indoktrynacji i chaosu wywołanego przez kolejnych pisowskich ministrów? Ma się rozumieć do szkół społecznych i prywatnych.

Generalizując wnioski z tych przykładów: jeśli Polska PiS wciąż jeszcze jest krajem lepszym do życia niż PRL, to zawdzięcza to większemu zakresowi obywatelskiej autonomii, która jest zakorzeniona we własności prywatnej. To ona sprawia, że mimo nacisków i restrykcji mieszkańcy kraju są suwerennymi obywatelami, a nie poddanymi, zdanymi na łaskę i niełaskę państwa będącego jednocześnie wychowawcą, nadzorcą, pracodawcą, przewoźnikiem, dystrybutorem dóbr konsumpcyjnych, właścicielem mieszkań, sklepów i placówek kulturalnych.

Można nie pamiętać PRL, ale żeby po ośmiu latach rządów PiS proponować rozwiązania zwiększające udział państwa w życiu obywateli, trzeba mieć jakieś kłopoty z percepcją lub kojarzeniem faktów.

Nie dziwię się, że politycy PiS planują stworzenie państwowych sklepów spożywczych – to do nich pasuje. Ale że opozycyjna lewica, ponoć opowiadająca się za swobodami obywatelskimi, chce, by państwo budowało i wynajmowało ludziom mieszkania, wydaje mi się niepojęte. ●

Izrael

Cała Palestyna powinna być nasza



FOT. OHAD ZWIGENBERG/AP

Hebron, żydowski osadnicy świętują Purim – najradośniejsze z hebrajskich świąt, upamiętniające biblijną historię ocalenia perskich Żydów. Większość z kilkuset Izraelczyków w 200-tysięcznym Hebronie to nielegalni osadnicy, usiłujący przejąć należne ich zdaniem (jedno z uzasadnień – to tu, w Grota Patriarchów, pochowano Abrahama, Izaaka i Jakuba) Izraelowi drugie najważniejsze miasto Autonomii Palestyńskiej.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Jamie Lee Curtis

Oscary zaczynają się po sześćdziesiątce

Pierwsza anegdota mówi sporo o niej – nie chciała być aktorką: marzyła o policji. Druga mówi sporo o Hollywood – wyobrażamy sobie, że skoro grała w tak różnych hitach jak „Halloween”, „Nieoczekiwana zmiana miejsc”, „Rybka zwana Wandą” czy „Na noże” i skoro zabiegali o nią i John Cleese, i James Cameron, to jej półka ugina się od Oscarów. A nie dość, że nie ma żadnego, to na pierwszą nominację musiała czekać do 64. urodzin i roli w obsypanym już 330 innymi nagrodami „Wszystko wszędzie naraz”.

Mogłaby używać tytułu baronowej. Jej mąż pochodzi z brytyjskiej rodziny szlacheckiej. Ale Jamie Lee Curtis jest na to zbyt cool. Poza tym sama ma korzenie arystokratyczne: hollywoodzkie. Jej ojcem był Tony Curtis, jeden z najsłynniejszych aktorów złotej ery fabryki snów, znany z „Pół żartem, pół serio” oraz „Spartakusa”, matką – Janet Leigh. Tak, ta z „Psychozy” Hitchcocka. Relacje rodzinne też były arystokratycznie ozię-



FOT. JORDAN STRAUSS/INVISION/AP

ble – ojciec rzucił matkę ot tak, z marszu („Jak każde dziecko poczęte dla ratowania małżeństwa nie spełniłam swojej roli”), po czym wydziedziczył dzieci („Nigdy nie był zainteresowany ojcostwem”). Może dlatego Curtis, choć wcielała się w twarde stąpające po ziemi pracujące dziewczyny albo heroiny kina akcji, w prawdziwym życiu walczyła z alkoholem i opioidami.

Kim jest w filmie, który może wreszcie dać jej Oscara? Suchą inspektorką skarbówki o kamiennym sercu. – Znam takie kobiety jak ona. Samotne. Wykorzystujące władzę, by odegrać się na świecie – mówi. ● **mg**

Andrzej rysuje



Cytat tygodnia

Polska nie zgodzi się na wprowadzenie do prawa krajowego możliwości sparaliżowania gospodarki leśnej



EDWARD SIARKA

Wiceminister środowiska oraz szef Lasów Państwowych JÓZEF KUBICA po wyroku TSUE ws. niedostatecznej ochrony lasów w Polsce

FOT. SHUTTERSTOCK

Liczba tygodnia

210

RYSIÓW ZGINIE W SZWECJI
Połowanie już się rozpoczęło, zgodę dostało 330 zagranicznych myśliwych



Rysie są ściśle chronione w UE, przepisy dopuszczają odstrzał, tylko jeśli powodują szkody w żywym inwentarzu albo zagrażają ludziom. Jednak od lat nie odnotowano żadnego ataku, a rolnicy – zwykle nieprzychylni drapieżnikom – cieszą się z rysiów, bo redukują wchodzące w szkodę jelenie i sarny. W dodatku dzikich kotów ubywa – jest ich tylko 1450, o 300 mniej niż przed dekadą. Uzasadnienie urzędników – do podtrzymania populacji wystarczy 870 osobników. **Więcej ► Wyborcza.pl/klimat**

Top 2
wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Cały tydzień

„Piąty szlem” w Indian Wells

1 Prawie 9 mln dol. w puli nagród, równej dla kobiet i mężczyzn. Największe gwiazdy dyscypliny – oprócz niezaszczonego Novaka Djokovicia i kontuzjowanego Rafaela Nadala. Do tego Iga Świątek, Magda Linette i Hubert Hurkacz – w tym tygodniu oczy kibiców skierowane są na Indian Wells, gdzie odbywa się jeden z największych turniejów tenisowych w sezonie, prestiżem ustępujący tylko czterem szlემom.



FOT. KAMRAN JEBREILI/AP; ŁUKASZ CYNALOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

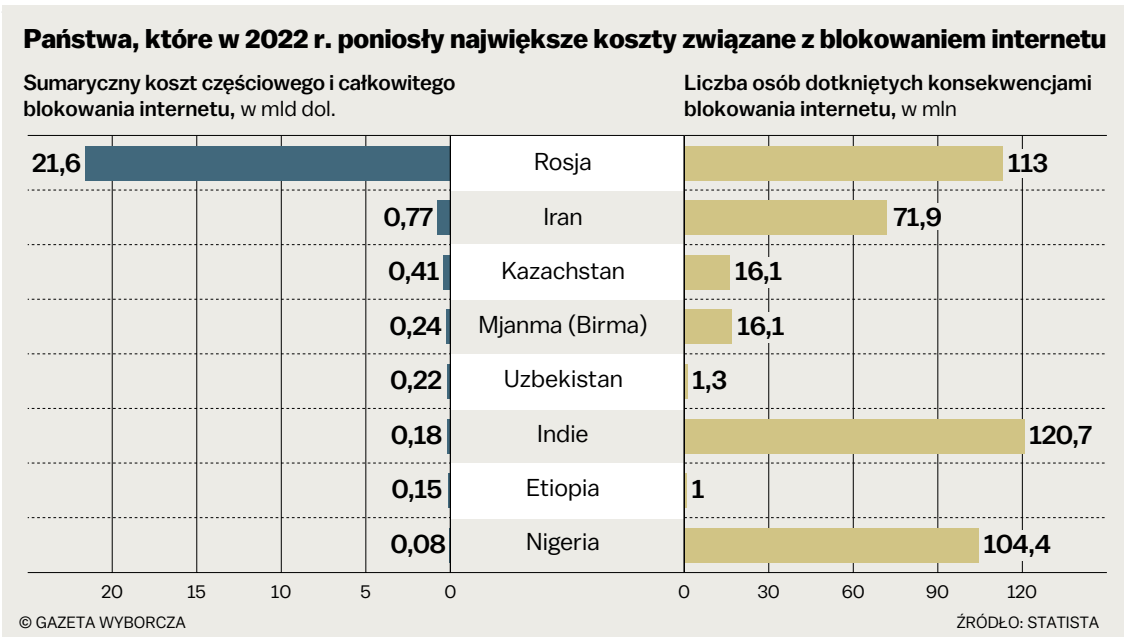
Czwartek

Lech o ćwierćfinał pucharu

2 Skoro polskie kluby od dwóch dekad regularnie kompromitują się w europejskich pucharach, na tym większe uznanie zasługują piłkarze Lecha Poznań. Mistrzowie Polski w czwartek grają z Djurgårdens o awans do ćwierćfinału Ligi Konferencji. Jeśli wyeliminują Szwedów, wywalczą sukces nieosiągnięty przez żadną polską drużynę w XXI wieku.



Wykres tygodnia
Rok rekordowej cenzury



W 2022 r. w rekordowej liczbie państw rządy posunęły się do odcięcia ludzi od internetu lub wybranych platform. Łącznie blokadę przepływu danych, informacji oraz wiadomości przeprowadzono aż 187 razy. Najczęściej sieć odcinano w Indiach, Ukrainie (to wina Rosji) i w Iranie. To również rekordowy rok w użyciu VPN, który częściowo pozwala ludziom omijać blokady. **Więcej ►** [Biqdata.wyborcza.pl](#)

Międzynarodówka code switchingu

Hejt jest jak promieniowanie

Kiedy myśląc o 15-letnim Mikołaju Filiksie, wspominam Putina, to nie dla retorycznego efektu

Bieliaszyn

„Europa przechodzi na jedzenie świerszczy, robaków i larw”, „działacz opozycji i zwolennik ideologii LGBT skazany za pedofilię”, „opozycja chroni pedofilów”, „wymuszanie propagandy LGBT”, „zachodnia moda na zmianę płci przez dzieci”, „UE chce zakazać twierdzenia, że mamy dwie płcie”. To tylko kilka haseł z państwowych rosyjskich i polskich mediów. Celowo nie zaznaczam, które są które.

Te same mechanizmy i podobna narracja: „obcy”, czyli działacze opozycji i Zachód, usiłują dokonać zamachu na nasze tradycyjne, „lepiej” wartości i narzucić nam swoje – perwersyjne i nieakceptowalne. Kremłowskie wiadomości i programy informacyjne państwowej polskiej telewizji ogląda się jak serial. Różnią się tylko języki i główni bohaterowie. No i to, że w Warszawie dostępne są na razie pierwsze sezony.

„Code switching” to termin z socjolingwistyki. Służy do opisanego zjawiska „przełączania się” osób naturalnie dwujęzycznych między językami. Dzieje się to w sposób intencjonalny, osoba znająca oba języki na poziomie ojczystym jest w pełni świadoma, którym akurat się posługuje, lecz do „przełączenia” może dojść mimowolnie, np. na skutek silnych emocji – albo w sytuacji, którą identyfikujemy z konkretną kulturą językową. Ja łapię się na tym, że oglądając państwową telewizję, muszę upewnić się, że wciąż czytam po polsku, a nie po rosyjsku.

Rzecz jasna nie da się postawić w jednym rzędzie agresji i odklejenia państwowych polskich mediów oraz tub propagandowych Kremla. Pierwsze wmawiają widzom, że opozycja jest zła i antypatriotyczna, drugie stworzyły alternatywny świat, w którym Rosja musi mierzyć się z potężnymi siłami zła, mającymi reprezentantów także w ojczyźnie. Nie ma prostej paraleli między bru-

natną rzeczywistością Rosji a sytuacją Polski, w której władza próbuje usuwać instrumenty demokratycznej kontroli, ale nie idzie jej jak z płatka. Ale metoda, w której obraz wroga staje się podstawowym środkiem utrzymania władzy, łączy oba kraje.

Prócz odwracania pojęć i wskazywania ogólnego wroga rządowe media obu krajów łączy próba personalnej dyskredytacji tych, którzy sprzeciwiają się władzy.

Aleksieja Nawalnego rosyjscy propagandyści oskarżają o działalność w interesie – i za pieniądze – zachodnich służb. Jak polscy Tuska, z tą różnicą, że Tusk jest „niemieckim agentem”, a Nawalny „sprzedał się” USA. Część moich rosyjskich krewnych, słysząc, że przeprowadzałam z Nawalnym wywiad, reagowała: „Z tym oszustem? Przecież to jankeski agent”. Coś podobnego, tylko z „niemiecki”, moi rówieśnicy słysząc od wujków czy babć o Tusku.

Dziennikarka Żanna Niemcowa, córka jednego z najbardziej zagrożających Putinowi opozycjonistów, mówiła: „Morderstwo mojego ojca jest efektem mowy nienawiści. Propaganda robiła z niego podczłowieka, którego wolno zabić. Wiele osób do dziś nie współczuje mojemu tacie. Są obojętni na jego śmierć. Bo uważają ojca za zdrajcę”.

Trudno uniknąć skojarzeń ze śmiercią Pawła Adamowicza, zabitego przez nożownika. Prezydent Gdańska był jednym z ulubionych celów mediów PiS, TVP wielokrotnie go dyskredytowała. Zabójca wykrzykiwał nienawistne hasła o opozycji. Teraz, widząc nekrolog 15-letniego Mikołaja Filiksa, czujemy, że doszło do czegoś równie okropnego.

Redaktor naczelny Radia Szczecin Tomasz Duklanowski, by przypomnieć słuchaczom, że Krzysztof F., jeden z działaczy „totalnej opozycji”, od ponad roku odbywa wyrok za pedofi-

lię, niemalże wprost ujawnił tożsamość skrzywdzonych dzieci, podając informację o ich matce, posłance PO. Biorąc pod uwagę, że Duklanowskiego najbardziej interesowały przynależność polityczna sprawcy i rodziny oraz fakt, że ni stąd, ni zowąd postanowił w programie newsowym wspomnieć o historii sprzed wielu miesięcy, trudno nie odnieść wrażenia, że celem było rzucenie cienia na opozycję.

Nie tylko w Rosji niektórzy zapominają, że jedyną ciecza, jaką dziennikarz ma prawo mieć na rękach, jest tusz od długopisu. Nie krew czy łzy.

Treściami podobnymi jak w TVP Rosjanie są karmieni od lat i teraz osoba nieheteronormatywna to dla nich pedofil, a liberał to agent i wróg narodu

Już George Orwell rzucił gorzki bon mot, że „polityka została wymyślona po to, aby kłamstwo brzmiało jak prawda”. Niedawno przytaknęła mu Alina Kaba-jewa, partnerka Putina, oświadczając, że „działalność informacyjna” to broń, która „w niczym nie ustępuje karabinowi szturmowemu Kałasznikow”.

Wspominam Putina nie dla wzmocnienia retorycznego efektu. Miejmy w pamięci, że kojarzona z Rosją twarz jej prezydenta była uważana za ludzką, a brutalna propaganda zaczęła kształtować się nie od początku jego rządów, ale dopiero w 2004 r., kiedy zdecydował się pozostać na Kremlu na dłużej. Niech nie uspi naszej czujności poczucie moralnej wyższości albo to, że w ostatnim roku część czasu zarezerwowanego na lżenie „innych” media publiczne prze-

znaczyły na potępienie Rosji i wspieranie Ukrainy. Nasączanie nienawiścią i impregnowanie na krytycyzm nie następuje z dnia na dzień. To powolny, a przez to dla wielu niezauważalny proces, który zaczyna się, gdy słowa zmieniają znaczenie. A postępuje nie tylko poprzez ewidentne obelgi i insynuacje, ale też przez manipulację synonimami, dobór związków frazeologicznych, użycie ciut tylko mocniejszych słów.

Jak wtedy, gdy prorządowe media informują, że Unia zaleci jedzenie robaków, a proeuropejska opozycja promuje zmianę płci. Brzmi znajomo? Nie tylko dla widzów TVP. Rosjanie są karmieni podobnymi treściami od lat. Propaganda usiłuje wmówić im, że między „ideologią LGBT” a pedofilią można postawić znak równości, a liberał to agent i wróg narodu (z pierwszym idzie średnio, bo ludzie mają zwyczajnie gdzieś, kto kogo kocha, z drugim niestety lepiej). Nie trzeba od razu krzykiem wskazywać wroga, dehumanizować go. Wystarczy, by news, komentarz, wywiad cały dzień sączyły przekaz.

Noblista Dmitrij Muratow ma barwne porównanie: „Nie można przebywać w pobliżu bloku energetycznego nr 4 czarnobylskiej elektrowni i nie zostać napromieniowanym. Nie da się mieszkać w Rosji i uchronić się przed propagandą”. W Polsce to ciągle możliwe za sprawą osób z niepełnosprawnością, działaczy LGBTQ, feministek, dziennikarzy niezależnych mediów i broniących niezależności sędziów...

Polska to nie Rosja – pociesza się wielu przeciwników tej władzy. Tu można krzyknąć, alarmować, demaskować przeinaczenia, kłamstwa, obmowy.

Jeszcze można. Przekaz, że dziennikarze śledczy, aktywiści, sygnaliści to „oni”, działający w „czyimś” interesie, może być groźniejszy niż jawne próby ich wyciszenia. Bądźmy czujni. ●

Wiktoria Bieliaszyn

ROZMAWIAJĄ **THOMAS BAGGER***, **KATARZYNA PEŁCZYŃSKA-NAŁĘCZ**** I **IVAN KRASTEV*****
PODZAS WSPÓLNEJ DEBATY EUROPEAN COUNCIL ON FOREIGN RELATIONS I „WYBORCZEJ”
PROWADZONEJ PRZEZ **BARTOSZA T. WIELIŃSKIEGO**

PIOTR BURAS, szef warszawskiego biura ECFR, były korespondent „Wyborczej” w Berlinie: Przeprowadziliśmy w ECFR sondaż pokazujący stosunek do wojny i Rosji w dziewięciu krajach UE oraz w Indiach, Rosji, Chinach i Turcji. Według społeczeństw i europejskich, i pozaeuropejskich Zachód się skonsolidował i jest jako jeden blok – ale jednocześnie powstała duża przepaść między nim a resztą świata. Ludzie z Indii, Turcji, Rosji czy Chin chcą, by ten konflikt zakończył się jak najszybciej, nawet za cenę ustępstw Ukrainy. Natomiast w Unii i Wielkiej Brytanii 44 proc. obywateli chce, żeby wojna zakończyła się dopiero wtedy, gdy Ukraina odzyska wszystkie terytoria. Jeszcze ciekawszy jest kontrast, jeśli idzie o stosunek do Rosji. W Indiach 80 proc. ludzi postrzega w niej partnera albo sojusznika, w Turcji prawie 70 proc. Przy okazji Turcy, Hindusi i Chińczycy uważają, że celem tej wojny dla Zachodu jest nie samoobrona, tylko obrona dominacji. W krajach zachodnich Rosja to przeciwnik albo rywal. Również w Niemczech, gdzie tak uważa aż 61 proc., co jest ważną zmianą.

BARTOSZ T. WIELIŃSKI, wicenaczelný „Wyborczej”: Ta konsolidacja Zachodu jest imponująca, niemniej czy wszystko, co zrobiono w Europie, było właściwe?

KATARZYNA PEŁCZYŃSKA-NAŁĘCZ: Ja bym poprzedziła to pytanie innym: w którą stronę zmierzamy? Bo jeżeli się nie wie, co chcemy osiągnąć, to nie wiadomo, czy to, co zrobiliśmy, było właściwe. A Zachód sam nie wie, jaki jest cel. Doprowadzić jak najszybciej do porażki Rosji, ryzykując eskalację? Tyl-

Zobaczyliśmy w niej sąsiada, ogarnięty zachodni kraj ze społeczeństwem obywatelskim, w który warto inwestować



UKRAINA JUŻ WYGRAŁA

ko ją zatrzymać, ryzykując, że wzmocni się i pewnego dnia zaatakuje? Natomiast widzę dwa sukcesy Zachodu: jeden to ten, że bez niego Ukraina przegrałaby tę wojnę. Nie byłoby żadnej Ukrainy. Drugi – że Zachód wspólnie odrzucił pokusę koncertu mocarstw, którą Rosja kładzie na stół, żeby wielcy się dogadali. Okazało się, że to się już w ogóle nie mieści w poglądach zachodnich społeczeństw.

Panie ambasadorze, Niemcy były mocno krytykowane za zwleknięcie z pomocą w początkowej fazie wojny. Kanclerz Scholz ogłosił zeitenwende, punkt zwrotny, ale długo zdawało się, że to jedynie retoryka.

THOMAS BAGGER: Nie. To był wstrząs, bo byliśmy optymistyczni co do racjonalności Rosji. Zakładaliśmy, że nie rozpocznie wojny, ponieważ to samobójstwo gospodarcze. Odkrycie, że Putinowi chodzi bardziej o wielkość historyczną i mitologię niż realne koszty, zmieniło politykę zagraniczną Niemiec bardziej niż cokolwiek po 1989 roku. I nie tylko politykę, bo poglądy Niemców na Rosję dzisiaj są bardzo podobne do polskich: przeciwnik, rywal.

Pewnie trudno to dostrzec z zalewie informacji, ale Niemcy dzisiaj są największym w Unii Europejskiej darczyńcą różnych systemów dla Ukrainy, w tym w wojskowości. Rozumiem pewien sceptycyzm, ale patrzymy na stan po roku, a nie miesiącu

czy pięciu miesiącach. Putin sprawił, że Ukraina stała się dla nas tak ważna, jak dla niego. Zmienił nasze postrzeganie tego, kim jesteśmy my i kim są nasi sąsiedzi.

IVAN KRASTEV: Pytanie o błędy to pytanie do historyka po zakończeniu wojny. Wolę komentować, co nas zaskoczyło.

Nie tylko Niemcy zaskoczyła wojna. I nie chodzi o to, jak rozumieliśmy Rosję, tylko jak rozumieliśmy świat. Wojna okazała się dla nas w Europie przede wszystkim wyzwaniem kulturowym. Tak bardzo ceniliśmy sobie pokój, że jeśli nawet dopuszczaliśmy myśl, że ktoś mógłby rozpętać wojnę, to wyobrażaliśmy sobie niewielką, ograniczoną operację tu czy tam. Nawet Amerykanie, dysponując wszelkimi danymi, sądzili, że jeśli przedstawia pełną skalę planów rosyjskich, to zapobiegają pełnowymiarowej inwazji.

Drugim zaskoczeniem okazała się sama Ukraina, a trzecim, jeszcze większym, odkrycie, że instytucje to nie wszystko, liczy się też duch. Może nie w Polsce, ale w innych krajach europejskich kupowano rosyjską narrację o kraju skorumpowanym i niezbyt wiele wartym. Europejczycy skupili się na instytucjach i przestali rozumieć, jak wielką moc stanowi społeczeństwo obywatelskie. I nagle w tym świecie postnarodowym zobaczyliśmy, jak w kilka dni i tygodni ludzie, których uważaliśmy za mało sku-

tecznych i skorumpowanych, zaczynają dokonywać wielkich czynów.

Kolejną rzeczą, której nie zrozumieliśmy, jest to, że potęga wojskowa ma znaczenie. Po Iraku, Afganistanie Europejczycy zaczęli myśleć: no przecież Amerykanie byli tacy potężni i co? Więc my się nie zbroiliśmy – i byliśmy zupełnie nieprzygotowani. Włosi na początku przekazywali Ukrainie sprzęt z 1942 roku, bo tym dysponowali! Wyobrażaliśmy sobie, że jeśli Europa została zaatakowana, to powinni wkroczyć Amerykanie. Czyli 30 lat po zakończeniu zimnej wojny i przy częstym sceptycyzmie wobec Waszyngtonu nadal wyobrażaliśmy siebie jako amerykański protektorat. Dzięki Putinowi uświadomiliśmy sobie, co naprawdę oznacza strategiczna autonomia Europy oraz jej brak.

Ale to, co dzieje się poza Europą, zaskakuje, wręcz przeraża. Trzy czwarte respondentów w Chinach, Indiach i Turcji postrzega obecnie Rosję jako państwo silniejsze albo przynajmniej tak samo silne jak przed wojną. Plus że Rosja jest globalnym sojusznikiem lub partnerem. Dlaczego Zachód nie jest w stanie przekonać krajów poza Europą, że Rosja jest państwem zbrodniczym, złym, wiarolomnym?

T.B.: To proste. Z pozycji frontowej czy przyfrontowej widać bardzo jasno, kto jest agresorem, a kto się broni. Z dalszej – niekoniecznie. Kiedy np. Hindusi patrzą na świat, widzą Chiny, Chiny, Chiny, jeszcze raz Chiny, a potem ewentualnie coś jeszcze. A Polak czy Niemiec przejmują się Chinami i ich zagrożeniem dla Indii?

I.K.: Te postawy to splot skutków zimnej wojny i sentymentów antyimperialistycznych. I nie musi nawet chodzić o to, że ZSRR wspierał ruchy wyzwolenie albo lewicowe partyzantki walczące z autorytarnymi rządami, często wspieranymi przez USA. Po prostu wiele postaci publicznych czy ekspertów z Afryki, Azji, Ameryki Łacińskiej studiowało w ZSRR. Ich kraje i oni osobiście korzystali z sowieckich prób budowy soft power, a Rosja dba o dobrą opinię spadkobiercy Związku Radzieckiego. Kiedy np. wagnerowcy jadą do Afryki, to nie w roli aroganckich mentorów, ale w roli usługodawców



FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL (3)

świadczących usługi – specyficzne, ale jednak potrzebne. A że Rosja przestała być mocarstwem globalnym, tym bardziej nie jest postrzegana jako zagrożenie. Jest wystarczająco silna, żeby być pożyteczna regionalnie, a potęgi regionalne nie są nienawidzone poza swoim regionem, przykładem Etiopia.

No i weźmy pod uwagę nasz europocentryzm. Choćby w Etiopii rozgrywa się krwawa wojna domowa. Kto z nas się tym interesuje? Mamy w Bułgarii przysłowie, że jeśli mieszkasz przy cmentarzu, to nie płaczesz na każdym pogrzebie. Biliśmy brawo ambasadorowi Kenii, gdy na początku wojny powiedział, że my w Afryce możemy utożsamiać się z Ukraińcami, bo są ofiarami wojny kolonialnej typu, który doskonale znamy. Ale łatwiej utożsamiać się z ofiarami tego samego złoczyńcy – a antykolonializm afrykański nie był antyrosyjski, tylko antyzachodnioeuropejski lub antyamerykański.

Tu uwaga – nie możemy postrzegać tych krajów tak, jak w czasie zimnej wojny, że jeśli ktoś jest niezdecydowany albo obojętny, to popiera Rosję czy Chiny. Spójrzmy na Erdogana. On mediuje we wszystkim, biega między jedną stroną a drugą. Turcja, Indie to kraje, które wierzą, że zakończenie zimnej wojny zakończyło polaryzację, wierzą w świat wielobiegunowy, gdzie można poruszać się między potęgami i ugrać coś dla siebie.

K.P.N.: A na osłode warto przypomnieć, że jak dochodziło do głosowań w ONZ wszystkich najważniejszych rezolucji dotyczących potępienia inwazji rosyjskiej, wsparcia dla Ukrainy, to jednak zdecydowanie wygrywała strona potępiająca i wspierająca. Jakaś grupa się oczywiście wstrzymywała, ale tak jak Rosja głosowały pojedyncze kraje.

No i to, że znaczna część świata myśli inaczej niż Zachód, nie znaczy, że myśli tak samo. Są dwa główne trendy. Jeden – to nie nasza wojna. Niekoniecznie podoba nam się to, co robi Rosja, ale mamy innych wrogów, mamy wojnę na własnych podwórkach albo tuż za miedzą i wojna za waszą miedzą nas po prostu nie porusza. Ale to nie znaczy, że stajemy przeciwko wam. To jest trend dominujący.

Drugi trend reprezentują Iran, Korea Północna, pytanie, czy także Chiny: chcemy, żeby USA i Zachód przegrały. To podejście jest w mniejszości, ale Rosja

gra na to, żeby ci od „nie nasza wojna” zaczęli myśleć „chcemy, żebyście przegrali”.

Dla Zachodu to być może najważniejsza dzisiaj globalna gra. Nie przekonanie krajów „to nie nasza wojna”, że to ich wojna, bo to niemożliwe, tylko żeby one nie przeszły do grona „Zachód powinien przegrać”.

I tu kłania się rola Polski. To ogromnie ważne, żeby kraje takie jak my, w oku cyklonu, ale niezaangażowane w sprawy globalne, dostrzegły, że dyplomacja globalna ma ogromne znaczenie. Słowo polskiej dyplomacji, kraju, który był najeżdżany i kolonizowany, był uważany za nie do końca europejski, podrzędny, dominowany, może mieć zupełnie inne znaczenie i wydźwięk w krajach, które zaznały kolonializmu europejskiego, niż słowo państw takich jak np. Wielka Brytania, która jednak się kojarzy z kolonializmem. Rosjanie twierdzą, że oni walczą o suwerenność przeciwko imperialnym zakusom Zachodu. W Afryce to trafia, w Ameryce Łacińskiej, która doświadczyła wielu imperialnych zachowań Stanów Zjednoczonych, też. Polskie świadectwo, czym jest i co robiła Rosja, mogłoby wiarygodnie pokazywać, że dziś zakusy imperialne są jednak po stronie rosyjskiej.

Może jeszcze słowo o podziałach w Europie – wbrew utartemu przekonaniu główny podział przebiega nie na linii wschód – zachód, ale na linii północ – południe. Te kraje, które w UE odbiegają, jeśli chodzi o wsparcie Ukrainy, czyli poniżej 50 proc. społeczeństwa deklaruje tak jednoznacznie: wspierajmy Ukrainę, a nie wojnę, pokój byle jaki i nawet kosztem Ukrainy, to Węgry, Słowacja, Rumunia, Bułgaria, Grecja, Słowenia. Kraje Południa, a część z nich również byłego bloku sowieckiego.

A może po prostu jesteś w przededniu wojny światowej? Iran coraz bardziej angażuje się na świecie, różne autokracje zerkają na Koreę Północną, odżywają konflikty dawno, zdawałoby się, zapomniane, a jeszcze rozpychanie się Chin – porządek świata zaczyna się sypać.

I.K.: On się sypie, ale w różnych zaskakujących kierunkach. Kilka dni temu Saudyjczycy gościli w Kijowie. Wcześniej nie byli specjalnie antyrosyjscy.

Kraje Afryki, Azji, Ameryki Łacińskiej korzystały z sowieckich prób budowy soft power, a Rosja tam dba o dobrą opinię spadkobiercy ZSRR

• **Manifestacja antywojenna w Durbanie. Znacząca, bo oficjalnie RPA jest neutralne, lecz stara się utrzymywać relacje, również wojskowe, z Rosją – ostatnio głośnym echem odbiły się chińsko-rosyjsko-południowoafrykańskie manewry morskie** FOT. GALLO IMAGES VIA GETTY IMAGES

Co ich sprowadziło do Kijowa? Co spowodowało, że postanowili dać Ukraińcom pół miliarda dolarów? Otóż irańskie drony, za które Rosjanie mogą odwdziżyć się pomocą Irańczykom w programie broni jądrowej. Taki strach związany lokalnymi konfliktami jest ważny.

Z Chinami rzecz też nie jest tak jednoznaczna. W przyszłym roku będą wybory na Tajwanie i to ich wynik – pozycja, jaką zajmą zwolennicy niepodległości – wpłynie na to, jak Chińczycy zechcą się pozycjonować. Czy będą chcieli sprawiać Amerykanom w Europie większe problemy, aby utrzymać ich z dala od Tajwanu, czy uznają, że status quo jest zabezpieczone.

Zjednoczenie pewnych eurosceptycznych partii, które widzimy w UE, też idzie w nieoczywistym kierunku – przecież premierka Meloni jeździ do Ukrainy. Wiele z tych partii teraz nagle obawia się, że Europa jest za słaba, nie za silna!

A co do błędów – błędem, i to wbrew pozorom strategicznym, było proszenie Brazylii, żeby dała Ukrainie czołgi. Oni tego nie robią. Powinniśmy poprosić Brazylijczyków i innych niezaangażowanych, żeby upewnili się, że Chińczycy nikomu nie dadzą broni. Dla Chińczyków to bardzo ważne, żeby pozostać mentorem krajów postkolonialnych, więc jeżeli Indie i Brazylia powiedzą, że nie należy dawać broni komukolwiek, to będzie dużo skuteczniejsza presja na Chiny niż ta Europejczyków czy Amerykanów. Bo gdy Zachód mówi głośno Chińczykom, że nie powinni dostarczać Rosji broni, to można ich łatwo nakłonić do tego, żeby zachowali się dokładnie przeciwnie, żeby pokazać, że odzyskali podmiotowość i nikt ich nie powstrzyma.

K.P.N.: Przede wszystkim Zachód nie może cały czas stać okrakiem pomiędzy strachem przed wygraną i wolą wygrania. Ja bym postawiła na metodę na zwycięstwo, bo to daje szansę, że więcej krajów globalnie się przestawi, gdyż zawsze zwycięstwo ma wielu ojców, a porażka zostaje sierotą.

Jeśli postawimy na zwycięstwo Ukrainy – to jak je zdefiniować? Jako utworzenie linii zdemilitaryzowanej, jak ta dzieląca obie Koree? Czy jako powrót do status quo sprzed 24 lutego zeszłego roku? Odbicie Krymu?

K.P.N.: Trwały pokój w Europie, a zwłaszcza w naszym regionie, jest możliwy, tylko jeżeli w Rosji zmieni się system. A on nie zmieni się oddolnie. Żadna rewolucja nie zniszczy tego reżimu ani Putina. Pozostaje jakiś rozłam w elitach lub zamach stanu. Czy widać ku temu przesłanki? Nie, ale w totalitarnych, zmilitaryzowanych reżimach takie coś po prostu nagle się zdarza. Oczywiście klęska militarna jest dobrym katalizatorem. Tyle że klęska nie może przyjść z zewnątrz, na polu bitwy, bo nikt Kremla i Moskwy nie podbije, choćby ze względu na broń nuklearną. Dlatego możemy mieć nawet przez dekadę do czynienia z tym reżimem, niekoniecznie personalnie Putina.

Dla Ukrainy, z przyczyn choćby polityki wewnętrznej, tak ważna jest terytorialna definicja zwycięstwa. Ale z punktu widzenia rozwoju i bezpieczeństwa Ukrainy, jakości życia, spowodowania, żeby ludzie, którzy uciekli, wrócili, a ci, którzy zostali, nie uciekli, najważniejsze, żeby została krajem suwerennym i ekonomicznie zdolnym do rozwoju. Czyli takim, który ma zasób militarny i gwarancje bezpieczeństwa. Wtedy świat będzie pewien, że w ten kraj można inwestować. Dlatego nawet jeżeli Ukrainie nie uda się odzyskać jakiejś części terenów okupowanych, na przykład Krymu, ale będzie bezpieczna dla obywateli i inwestorów, to odniesie wielkie zwycięstwo. Trochę już odniosła, bo przecież już stała się częścią bloku zachodniego.

T.B.: Myślę, że mówiąc o zwycięstwie, nie powinniśmy posługiwać się mapą. Problemem Europy i Sta-



***Thomas Bagger**
– ambasador Niemiec w Polsce



****Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz**
– szefowa think tanku Strategia 2050 przy Polsce 2050 Szymona Hołowni, była ambasador w Moskwie, wiceminister spraw zagranicznych w latach 2012-14



*****Ivan Krastev**
– szef Centrum Strategii Liberalnych w Sofii, jeden z najbardziej cenionych europejskich politologów

nów Zjednoczonych przez ostatnie 30 lat był brak polityki ukraińskiej. To zawsze była polityka rosyjska – polityka łagodzenia sytuacji, polityka warunkowania tego, co się wydarzy w Ukrainie, tym, co się dzieje z Rosją. Trzeba zagwarantować Ukrainie suwerenność niezależnie od tego, co się dzieje w Rosji. Musimy doprowadzić do takich warunków zewnętrznych, międzynarodowych, żeby to Ukraińcy sami mogli kształtować swoje realia.

Ale chociaż w myśl tego to oni powinni zdecydować, kiedy zawrą pokój, trzeba mieć świadomość, że Ukraina nie skorzysta na długiej wojnie. Najgorszą sytuacją dla kraju jest długotrwały konflikt. Dowodem Bośnia po wojnie w byłej Jugosławii, gdzie obecnie 60 proc. Bośniaków mieszka poza krajem. Można odbudować miasta, infrastrukturę, ale nie odbuduje się tak łatwo populacji. Dlatego jedyną opcją gwarantującą, że ludzie będą chcieli wracać, budować coś w ojczyźnie, planować przyszłość, aspirować do czegoś, jest perspektywa członkostwa w Unii Europejskiej.

A przyglądając się debacie niemieckiej, widzę, że dla nas Ukraina jest po naszej stronie linii. To już nie są dni Partnerstwa Wschodniego. Sceptycy w Europie są teraz gdzie indziej i trzeba ich przekonać, że członkostwo Ukrainy w UE będzie z korzyścią dla wszystkich.

MICHAŁ RYDZ, wykładowca UW, były ambasador w Londynie: W ostatnim roku

trzeba ograniczyć zależność od jednego dużego partnera we wrażliwych branżach. Tego nie da się zrobić w dzień, biorąc pod uwagę złożoność gospodarek, ale na pewno czeka nas dywersyfikacja produkcji. A Polska to jedno z oczywistych miejsc dla niemieckich firm szukających, gdzie można przekierować produkcję. Będziemy rozwijać relacje pomimo pewnych turbulencji na szczytach władzy.

I.K.: A co do szerszej zmiany na mapach to jesteśmy na końcu procesu, który zaczął się pod koniec I wojny światowej. Wtedy rozpadły się stare potęgi kontynentalne – Ottomaniowie, Habsburgowie – i zaczął się rozpad Rosji.

Owszem, pojawił się projekt sowiecki, który zdołał zachować i nawet rozszerzyć imperium, ale pewnym kosztem – aby Rosjanie mogli dominować w ZSRR, trzeba było osłabić ich własną tożsamość polityczną. Oni jako jedyna republika nie mieli własnej partii komunistycznej i własnego rządu. Oczywiście po to, żeby rządzić innymi, ale tak naprawdę do porządku międzynarodowego po 1990 roku nie przyłączyła się Rosja, ale jakieś echo po ZSRR. A teraz obserwujemy wyłanianie się rosyjskiego państwa narodowego. Coś takiego, co stało się w Turcji w drugiej dekadzie XX wieku po rozpadzie imperium otomańskiego. Jak będzie wyglądała ta tożsamość, to inna kwestia, ale proces trwa i wojna nie tylko tworzy prawdziwą Ukrainę, ale też tworzy Rosję.

W Azji, Afryce, Ameryce Łacińskiej w sprawie Rosji słowo polskiej dyplomacji, kraju, który był najeżdżany i kolonizowany, może mieć zupełnie inne znaczenie niż słowo państw takich jak Wielka Brytania

Polska stała się piątym największym partnerem handlowym Niemiec. To też coś mówi o zmianie optyki i relacji w Europie wskutek wojny. Ale czy nie rysuje się zmiana szersza, wręcz dziejowa? Czy w imperialnej historii Rosji, rosnącej od Katarzyny Wielkiej po Stalina, nie następuje moment zwrotny, taki sam, jaki przeszło imperium osmańskie, też mające zakusy na Europę? Wydaje się, że po wiekach Rosja będzie się musiała cofnąć i ograniczyć, stać się państwem takim jak Francja czy Niemcy – potęgą gospodarczą, kulturalną, ale nie imperium.

T.B.: Nasza wymiana z Polską jest większa niż z Rosją już od 2014 roku, a teraz, kiedy już nie będzie zakupu rosyjskich paliw kopalnych, handel rosyjski zbliży się do zera. I nie będzie powrotu do sytuacji sprzed wojny, za to Polska będzie coraz ważniejsza.

Nasze relacje czasami cierpią przez coś, co nazywam asymetrią interesów. Niemcy są zawsze ważnym punktem odniesienia dla Polaków, Polska niekoniecznie jest punktem odniesienia dla Niemców. Teraz mamy szansę to zmienić. Polska jest coraz bardziej interesująca, lecz wiele zależy od waszych wyborów. Rzeczywistość relacji polsko-niemieckich zupełnie nie przypomina tej karykatury Niemiec w waszym dyskursie politycznym, ale starając się rozegrać tę centralną rolę Polski przeciwko Niemcom, przegapicie moment strategiczny dla Polski. I przyniesiecie korzyści dla pewnego człowieka, który mieszka w Moskwie, na Kremlu.

Polska też sytuuje się w szerszym obrazie gospodarczym, choćby relacji z Chinami. Ważny wniosek z tej wojny jest taki, że

A co z rosyjską opozycją demokratyczną? Scenariusz dla Rosji uwzględnia w ogóle jej udział?

K.P.N.: W samej Rosji opozycji nie ma. To znaczy jest uwięziona, jak Nawalny, i trzeba pamiętać, że takich więźniów politycznych jest znacznie, znacznie więcej. Są anonimowi, my w Polsce może jeszcze kojarzymy niektóre nazwiska, ale nie na Zachodzie. A że dziś za jeden post na Facebooku dostaje się wieloletnie wyroki, nie potępiajmy Rosjan tak łatwo. Reszta opozycji uciekła, ratując swoje życie i wolność. Dlatego nie ma szans na zmianę oddolną.

Zmiana dokona się przez rozłam elit, a one są dzisiaj nacjonalistyczne. Oczywiście jedni chcą walczyć ostrzej i brutalniej, inni mówią: zachowujemy się nieco bardziej rozsądnie i mitygujemy – ale nie ma w elitach ludzi myślących o współpracy z Zachodem czy oddaniu Krymu. Więc nawet jeśli nastąpi jakiś podział na górze, to na pewno myślenie „zachodnie”, demokratyczne będzie górą. Ale jestem w stanie sobie wyobrazić, że wskutek jakiejś sekwencji wydarzeń, absolutnie teraz nie do przewidzenia, za pięć czy dziesięć lat ludzie, którzy są za pokojową, demokratyczną Rosją, zaczną budować swoje państwo narodowe. ●

Cała debata „Wojna w Europie, rok później i co dalej?” zorganizowana przez European Council on Foreign Relations na **Wyborcza.pl/magazyn**

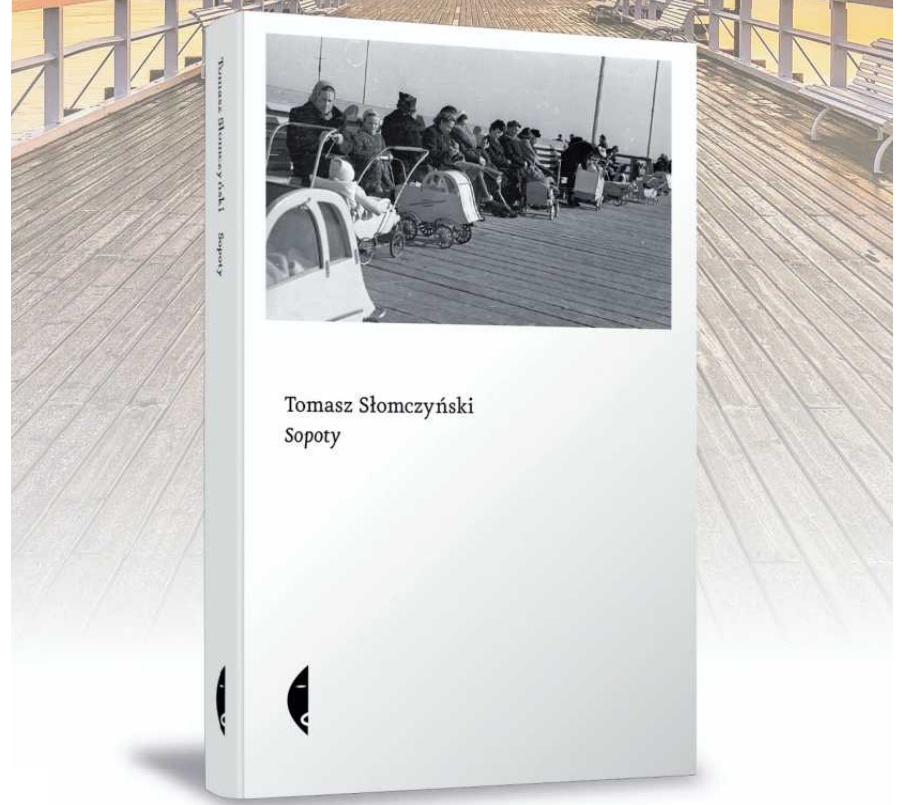
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę*

2.

Fragmentu książki Tomasza Słomczyńskiego „Sopot”



Sopot. Pierwszy raz stał się modny i prestiżowy już w XVI wieku. Jego kształt i charakter przez stulecia tworzyli kolejni mieszkańcy – polscy, niemieccy, kaszubscy, żydowscy. Wszyscy zostawili w nim swoje ślady, podobnie jak kolejne władze, które kształtują miejski krajobraz.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Tomasza Słomczyńskiego „Sopot” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

TSS23KK

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 11.03.2023 r. do 12.03.2023 r.

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

FOT. MALCOLM DENEMARK/FLORIDA TODAY VIA AP



III WOJNA ŚWIATOWA WYGRANA, NIM SIĘ ZACZĘŁA

Do własnego hasła
„Ameryka powróciła”
Biden dodał kolejny
człon: „I znowu jest wielka”

Mirosław Czech

Wiało być łatwo, prosto i przyjemnie. W połowie grudnia 2021 r. Rosja postawiła USA ultimatum w sprawie odwrócenia zmian, jakie w Europie zaszły po zakończeniu zimnej wojny. Zażądała amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa, NATO miało się cofnąć do stanu sprzed 1997 r. (czyli przyjęcia Polski oraz innych państw Europy Środkowo-Wschodniej) i nie przyjmować nowych członków. Dokonać się miała „Jałta II” – układ o nowym podziale Europy i świata na sfery wpływów.

USA odpowiedziały odmownie, czego Putin się spodziewał, bo równolegle złożył ofertę Chinom. W połowie grudnia rozmawiał online z Xi Jinpingiem, zaś 4 lutego spotkał się z nim w Pekinie podczas uroczystości otwarcia olimpiady zimowej. Podpisali deklarację o przyjaźni rosyjsko-chińskiej, która „nie ma granic”, i o współpracy, w której „nie ma stref zakazanych”. Bombastycznie ogłosili zakończenie ery hegemonii amerykańskiej i początek budowy „nowego ładu międzynarodowego”.

Chiński przywódca ze „zrozumieniem i poparciem” wypowiedział się o „gwarancjach bezpieczeństwa” dla Rosji i sprzeciwił się rozszerzeniu NATO. Z kolei Putin uznał za niedopuszczalne jakiegokolwiek formy niepodległości Tajwanu i skrytykował tworzenie przez Waszyngton „małych ugrupowań” na obszarze Azji i Pacyfiku. Czyli porozumienia Australii, Indii, Japonii i USA (QUAD) oraz Australii, Wielkiej Brytanii i USA (AUKUS). ChRL uznała te ugrupowania za próby budowy „azjatyckiego NATO”.

Putin i Xi Jinping wspólnie zagrali va banque, czyli postanowili użyć siły najpierw przeciwko Ukrainie, a następnie Tajwanowi. Po fiasku rosyjskiego blitzkriego w Ukrainie chińska dyplomacja usiłuje wmówić światu, że rosyjski „car” nie poinformował chińskiego „cesarza” o inwazji na Ukrainę. To jednak opowieści dla naiwnych. Swoje plany Kreml wyłożył pisemnie i tak samo pisemnie umówił się z Chinami. Dla ilustracji, że wszystko robi śmiertelnie poważnie, od wiosny 2021 r. zgromadził potężną armadę wokół granic Ukrainy gotową do uderzenia w każdym momencie.

Przedstawił też dwa inne dowody na potwierdzenie rzetelności oferty. Uratowanie władzy Łukaszenki zagrożonej masowymi protestami po sfałszowanych wyborach prezydenckich na Białorusi

w sierpniu 2020 r. (białoruski dyktator to sprawdzony klient również Pekinu). A także przeprowadzenie na początku stycznia 2022 r. tzw. operacji pokojowej w Kazachstanie dla stłumienia protestów społecznych, odsunięcia od władzy „ojca narodu” Nursułtana Nazarbajewa i wzmocnienia pozycji prezydenta Kasyma-Żomarta Tokajewa.

W „operacji pokojowej” w Kazachstanie uczestniczyły jednostki rosyjskie, tadżyckie, ormiańskie i białoruskie. Użyto ich w ramach sił Układu Taszkienckiego – to traktat o bezpieczeństwie zbiorowym z 1992 r. Główną rolę odegrały rosyjskie oddziały powietrzno-desantowe, które 6 stycznia zajęły lotnisko w Astanie (wówczas Nur-Sultanie). I ta właśnie operacja była wzorem dla planów inwazji na Ukrainę przez zrzućenie desantu na lotniska w Hostomlu i Wasylkowie pod Kijowem jako wstępu do zajęcia Kijowa i zmiany władz.

Po sukcesie w Kazachstanie Putin ostatecznie uwiarył w swój „geniusz strategiczny”. Podczas spotkania z Xi zapewne upajał się „pięknem” operacji wymyślonych ze swoim udziałem i był pewny ich szybkiej realizacji. I zapewne jego emocje udzieliły się przewodniczącemu, bo obu miały zapewnić decydujący wpływ na losy świata i miejsce w historii obok największych postaci ojczyrstych dziejów.

Zlekceważyli jednak (a właściwie w ogóle nie dostrzegli) „tego trzeciego” – prezydenta Bidena. W uszach dźwięczą mi jeszcze opinie ludzi obeznanych w Ukrainie z myśleniem rządzących Rosją kagiebi-

(18 lutego) wiceprezydent Kamala Harris oświadczyła: „Zbadaliśmy dowody dotyczące rosyjskich działań w Ukrainie i w świetle norm prawnych nie ma wątpliwości: mamy do czynienia ze zbrodniami przeciwko ludzkości. Mówię to do wszystkich, którzy popełnili te zbrodnie, i do ich przełożonych, którzy są współwinni: zostaniecie pociągnięci do odpowiedzialności”.

Wygłaszając w ubiegłym roku przemówienie na Zamku Królewskim w Warszawie (26 marca), prezydent Biden odszedł od przygotowanego tekstu i zawołał: „Na liłość boską, ten człowiek nie może pozostać u władzy”. Otoczenie prostowało, że szef miał na myśli coś innego, niż powiedział. Po roku wiadomo, że amerykański plan zakończenia wojny i ustanowienia pokoju zakłada ukaranie Putina, czyli odsunięcie go od władzy.

Sytuacja chińskiego dyktatora jest lepsza, lecz i jemu kłopoty zwalają się na głowę w przyspieszonym tempie. O „powrocie Tajwanu do macierzy” – fundamentu legitymizacji jego nieograniczonej władzy – na razie może zapomnieć. Na początku lutego William Burns, dyrektor CIA, ocenił, że Xi wydał rozkaz swojej armii w sprawie osiągnięcia do 2027 r. gotowości do inwazji na Tajwan. Ale Xi nie podjął jeszcze decyzji o ataku, bo ze „zdziwieniem i zaniepokojeniem” obserwuje przebieg agresji przeciwko Ukrainie, a w szczególności „bardzo złą robotę” armii rosyjskiej i zły system jej uzbrojenia.

Pod koniec miesiąca Burns podsumował: „Myślę, że prezydent Xi i jego dowództwo wojskowe mają dziś wątpliwości, czy

Kilka dni temu ujawniono, że amerykański Departament Energii uznał, że pandemia koronawirusa najprawdopodobniej była rezultatem wycieku z chińskiego laboratorium. Potwierdził to tajny raport wywiadu, który zaprezentowano Białemu Domowi i kongresmenom. A to oznacza, że pozwy, które kilka firm z USA, UE i Izraela złożyło przeciwko Chinom – za ukrywanie prawdy i przeszkadzanie w poznaniu pochodzenia wirusa – zyskały solidniejsze podstawy.

Kwoty pozwów opiewają na miliardy dolarów i aż strach pomyśleć (na miejscu władz w Pekinie), o jakie sumy będzie chodziło, gdy z analogicznymi pozwami wystąpią rządy poszczególnych państw lub Unia Europejska. Może się wydawać, że to fantastyka, lecz nie w dzisiejszym świecie, gdy na Zachodzie zamrożono setki miliardów dolarów rosyjskich kapitałów państwowych i prywatnych i trwają prace nad ich konfiskatą oraz przeznaczeniem na odbudowę Ukrainy.

24 lutego w wywiadzie dla ABC News Biden zapowiedział nałożenie surowych sankcji na Chiny i inne państwa, które dostarczą broń Rosji. „Latem zeszłego roku miałem otwartą rozmowę na ten temat z przewodniczącym Xi. Powiedziałem mu: Panie Przewodniczący, to nie jest groźba, lecz stwierdzenie faktu na temat tego, co jest realne. Widział Pan, co się stało, gdy reszta świata, szczególnie Europa, zobaczyła okrucieństwa Putina w Ukrainie. Jeżeli wciągniecie się w podobne okrucieństwa, wreszcie te okrucieństwa, wówczas odczujecie te same następstwa”, które spotkały Rosję.

Prezydent podkreśla, że z Xi rozmawiał przez ponad 70 godzin, więc dobrze go poznał. Xi uważa, że w XXI wieku przyszłość należy do systemów autokratycznych, a nie demokracji. W tej bowiem podejmowanie decyzji zajmuje mnóstwo czasu, a i wynik jest niepewny. W dyktaturach ma być prze-myślanie, szybko i skutecznie. Ale to pozor – odpowiedział Biden – bo demokracja jest silna, działa skutecznie i do niej należy przyszłość. I to przesłanie 21 lutego powtórzył w Warszawie.

Prof. Bronisław Geremek, legendarny szef polskiej dyplomacji, miał wielki szacunek do Joego Bidena, którego poznał, gdy dzisiejszy prezydent był senatorem. Uważał go za jedną z najtęższych głów w polityce amerykańskiej, człowieka twardego, myślącego i działającego strategicznie. Polityka o ugruntowanych wolnościowych i demokratycznych przekonaniach oraz wielkiej wiedzy o świecie. Za jego cechę charakterystyczną uważał bezpośredniość w rozmowie – mówi otwarcie, co sądzi na jakiś temat. Spokojnie, rzeczowo i bez owijania w bawełnę. Każdy, kto uważa, że jest inaczej i że „to tylko słowa”, szybko się przekonywał, w jak poważnym jest błędzie.

Czy Xi usłyszał i zrozumiał słowa Bidena? Na pewno nauczył się, że słów amerykańskiego przywódcy należy wysłuchiwać uważnie. Pod koniec maja Biden odbył podróż do Azji, uczestnicząc w licznych spotkaniach i konferencjach, których celem było pokazanie, że Ameryka na poważnie zajmuje się ograniczaniem apetytów Pekinu na dominowanie w Azji Południowo-Wschodniej. W Tokio na pytanie dziennikarza, czy USA „będą gotowe zaangażować się militarnie”, gdyby Chiny zaatakowały Tajwan, odpowiedział: „Tak”.

W Pekinie wywołało to histerię, zaś wśród współpracowników prezydenta popłoch, bo USA wyznają zasadę „polityki jednych Chin”, czyli nieuznawania Tajwanu jako niepodległego państwa. Ale Biden powiedział prawdę, bo Stany Zjednoczone rzeczywiście będą bronić Tajwanu, gdyby ChRL chciała je zaatakować. Ważne, że gdyby do tego doszło, władze amerykańskie raczej nie napotkają oporu we własnym społeczeństwie.

Przez ponad tydzień Amerykanie i media na całym świecie obserwowały prze-

lot nad terytorium USA chińskiego balonu. Dywagowano, czy chodzi o badania meteorologiczne, czy też chodzi o szpiegostwo. Republikanie krytykowali prezydenta za opieszałość w sprawie zestrzelenia obiektu, który miał stanowić „ogromne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego”. Pentagon uspokajał, że wszystko jest pod kontrolą, a balon zostanie strącony nad oceanem, żeby nie wyrządzić nikomu krzywdy. I tak też się stało.

Společnie efekt tego zamieszania (w terminologii wojskowej to zapewne „specjalna operacja psychologiczna”) jest taki, że dla ogromnej rzeszy Amerykanów rywalizacja z komunistycznymi Chinami przestała być abstrakcją, o której opowiadają eksperci w telewizji. Zobaczyli, że ich agresywna polityka stanowi zagrożenie nie tylko gospodarcze, lecz także egzystencjalne. Dla całego państwa i każdego obywatela.

Wielu republikanów, w szczególności trumpistów, krytykuje Bidena za skoncentrowanie się na wojnie w Ukrainie i niezwracanie dostatecznej uwagi na zagrożenie ze strony Chin. Bardzo się mylą, bo od rozstrzygnięcia wojny w Ukrainie zależy nie tylko poskromienie imperializmu rosyjskiego, lecz także mocarstwowych zapędów Chin. Czyli jest tak, jak myśli Biden i zgodnie z tym myśleniem działa.

Na tym nie koniec korepetycji o nowych realiach polityki światowej, których USA i ich prezydent udzielają ChRL. Po wydarzeniach z minionego miesiąca chiński „cesarz” powinien ostatecznie zrozumieć, że Putin i rządzona przez niego Rosja nie są jego aktywami w rozgrywce z „hegemonizmem” Ameryki, lecz pasywami coraz mocniej obciążającymi bilans chińskich zysków i strat.

Oficjalnie USA i cały Zachód przyjęli formułę, że o sposobie zakończenia wojny, ewentualnych negocjacjach z Rosjanami i warunkach ustanowienia pokoju „zdecydują sami Ukraińcy”. Szlachetnie i dowartościowuje Ukrainę, lecz nie mówi „całej prawdy”. Sprawy te są oczywiście uzgadniane z administracją Bidena, bo chodzi o globalną rozgrywkę. Dla Amerykanów ukraińska „formuła pokoju” jest poręczna, bo rosyjska agresja to wojna kolonialna, w której jankesi po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci stanęli po jednoznacznie dobrej stronie.

W wirtualnym wystąpieniu na szczycie G20, czyli grupy skupiającej największe gospodarki świata (Bali w Indonezji, 15 listopada), prezydent Zelenski ogłosił 10-punktową „ukraińską formułę pokoju”. Miała być odpowiedzią na strategię Rosji i Chin przeciwstawienia „kolonialnego” Zachodu globalnemu Południu. Stąd w „planie pokojowym Zelenskiego” znalazły się punkty o zapewnieniu bezpieczeństwa żywnościowego, energetycznego, nuklearnego i ekologicznego. Dziedziny szczególnie ważnych dla państw spoza szeroko rozumianego Zachodu.

Ale w propozycji ukraińskiej najważniejsze są trzy inne kwestie: odnowienie integralności terytorialnej Ukrainy z wycofaniem wojsk rosyjskich z terytorium Ukrainy w granicach z 1991 r., a więc także Donbasu i Krymu; ustanowienie specjalnego trybunału międzynarodowego dla osądzenia winnych popełnienia „zbrodni wojny agresywnej”, zwanej też zbrodnią przeciwko pokojowi. Czyli analogicznego do trybunału norymberskiego; i na tej podstawie wypłacenie państwu ukraińskiemu reparacji za zniszczenia dokonane przez Federację Rosyjską.

W przededniu pierwszej rocznicy pełnowymiarowej wojny 60 państw wniosło pod obrady Zgromadzenia Ogólnego ONZ projekt rezolucji żądającej natychmiastowego wycofania przez Rosję wojsk z całości terytorium Ukrainy oraz implementacji innych punktów z planu Zelenskiego. Sprawę odpowiedzialności karnej za wywołanie wojny zmniejszono słowami o konieczności poniesienia kary przez „sprawców najcięż-

Anthony Blinken chwali Indie, objeżdża Kazachstan i Uzbekistan, generał Milley spotyka się z dowódcami armii państw afrykańskich

stów. Po objęciu władzy przez Bidena zajmowały ich dywagacje, czy zмага się on z chorobą Parkinsona, czy też ma symptomy choroby Alzheimera? Czyli że problemem politycznym jest czas przejścia władzy w Waszyngtonie przez wiceprezydent Kamalę Harris. A to miało przynieść Ameryce nieszczęścia większe niż szturm na Kapitol 6 stycznia 2021 r.

Potwierdzeniem trafności tych ocen miało być wycofanie się USA w sierpniu tegoż roku z Afganistanu zakończone ewakuacją z Kabulu. Medialnie wyglądała jak powtórka ucieczki wojsk amerykańskich z Sajgonu sprzed półwiecza.

Po roku wojny w Ukrainie i działaniach USA w Azji Południowo-Wschodniej niewiele pozostało z hegemonistycznych planów Putina i Xi. Podróż Bidena do Kijowa i odbycie jej ukraińską koleją podkreśliło to, że całkowicie panuje nad sytuacją w Ukrainie, Europie, Azji i u siebie w domu. Co potężnie kontrastowało z położeniem, w jakim znaleźli się jego autorytarni przeciwnicy.

Putin stoi w obliczu swojej przegranej armii w Ukrainie, która nawet po przeprowadzeniu powszechnej mobilizacji nie może osiągnąć sukcesów. Zaczął więc straszyć Rosjan wizją rozpadu kraju i zniknięcia narodu rosyjskiego. Jego otoczenie zaczyna się zastanawiać nad przyszłością „cara” i własną, gdyby to jednak Ukraina i wspierająca ją Zachód wygrali wojnę.

W wystąpieniu podczas tegorocznej monachijskiej konferencji bezpieczeństwa

mogliby przeprowadzić tę inwazję”.

Powody zaniepokojenia i wątpliwości przewodniczącego oraz jego generałów są zrozumiałe. Armia ChRL była i jest szkolona według wzorów sowieckich i rosyjskich. Jej uzbrojenie w dużej mierze opiera się na kupowaniu licencji rosyjskiej lub podkradaniu technologii zachodnich. Wkład chińskiej myśli technicznej wzrasta, lecz nie osiągnął wartości krytycznej. Tym bardziej że od kilku lat USA ograniczają dostęp Chin do najnowszych technologii. I w tej newralgicznej dziedzinie chińska gospodarka przestała skracać dystans do Zachodu. Część ekspertów uważa wręcz, że dystans zaczął rosnąć.

Po inwazji rosyjskiej przewóz towarów nowym Jedwabnym Szlakiem (połączenie kolejowe z Chin do Europy, jedna z flagowych inwestycji strategicznych Pekinu) spadł o połowę. W drugiej połowie roku nieco się odbił, ale od początku tego roku problemy narastają ze względu na przedłużającą się wojnę i zaangażowanie w niej Białorusi. Również represje Łukaszenki wobec mniejszości polskiej mogą zaszkodzić interesom – w odpowiedzi władze naszego kraju rozważają zamknięcie ruchu granicznego z Białorusią, co spowoduje drastyczne ograniczenie wymiany handlowej Chin z Europą.

Wobec kryzysu demograficznego władze odstąpiły od polityki jednego dziecka, lecz jak dotąd nie przyniosło to efektu. Polityka „zero COVID” zakończyła się kląpą pod wpływem protestów społecznych.

szych zbrodni” przed krajowym lub międzynarodowym sądem.

W głosowaniu (23 lutego) rezolucję poparło 141 państw, w tym Brazylia i Izrael, które wcześniej zajmowały „neutralną” pozycję. Przeciw była Rosja i sześć jej najwierniejszych sojuszników. Wstrzymały się 32 państwa, w tym Chiny, Indie, RPA, Indonezja, Kambodża, pięć państw Azji Centralnej, Armenia i Wietnam. Rozradowany Dmytro Kuleba, szef ukraińskiej dyplomacji, skomentował, że oto padł mit o poparciu globalnego Południa dla Rosji, bowiem ukraińską rezolucję poparła „zdecydowana większość państw z Azji, Ameryki Południowej i Łacińskiej, a także wiele państw z Afryki”.

USA są podobnego zdania i energicznie działają, by kluczowe państwa globalnego Południa odstąpiły od neutralności lub popierania Rosji. Antony Blinken, amerykański sekretarz stanu, stwierdził, że „Indie przez dziesięciolecia opierały się na Rosji jako podstawowym dostawcy uzbrojenia i środków obrony, lecz w ciągu minionych kilku lat obserwujemy odchodzenie od zależności od Rosji i przejście do partnerstwa z nami oraz innymi państwami”. Dodał, że rozumie powody szczególnych relacji RPA z Rosją, ubolewając zarazem nad „miękkim” podejściem Ameryki do apartheidu w Południowej Afryce. I podsumował, że rozerwanie dziesięcioletnich relacji z Rosją nie jest „przekręceniem wyłącznika”, lecz zmianą kursu lotniskowca.

W dniu 28 lutego Blinken gościł w Kazachstanie, gdzie spotkał się z prezydentem Tokajewem oraz ministrami pięciu państw Azji Centralnej. Następnie pojechał do Uzbekistanu. Z kolei gen. Mark Milley spotkał się z dowódcami armii państw afrykańskich, zapewniając, że Czarny Kontynent może liczyć na większe wsparcie ze strony armii amerykańskiej.

Ofensywa Waszyngtonu w państwach globalnego Południa jest odpowiedzią na wcześniejsze działania Rosji i Chin, które ten obszar uważały niemal za swój. I to spowodowało, że ChRL początkowo zlekceważyła inicjatywy ukraińsko-amerykańskie, sądząc, że w kwestii wojny i pokoju w Ukrainie dysponuje trzema opcjami.

Pierwszą miały im zapewnić sukcesy armii rosyjskiej w Ukrainie w okresie zimowym z zajęciem całości obwodu donieckiego i ługańskiego. I z tej pozycji miano rozpocząć negocjacje pokojowe, by zapewnić Moskwie władanie Krymem, Donbasem i połączeniem lądowym pomiędzy nimi. Rosyjskie sukcesy skończyły się na zajęciu Soledaru i szczególnie ciężkich walkach o Bachmut. Na pozostałych odcinkach frontu – wokół Wuledaru, Awdijiwki, Kremiinnej, Łymanu i Swatowego – postępów nie ma. A zatem opcja odpadła.

Scenariusz drugi to liczenie na rozłam pomiędzy USA oraz Francją i Niemcami. Stąd zachęcanie Europejczyków do budowy „autonomii strategicznej” przez Wangę Yi (głównego doradcę Xi w sprawach zagranicznych) podczas monachijskiej konferencji bezpieczeństwa. Odwiedził on także Paryż, Rzym i Budapeszt. Niczego nie uzyskał (o wynikach rozmów na Węgrzech głucho), bo Europejczycy dokonali wyboru na rzecz wzmocnienia NATO i jego rozszerzenia o Finlandię i Szwecję.

Trzecią opcją było szachowanie Waszyngtonu dostawami uzbrojenia dla Rosji jako odpowiedzi na wzrastające dostawy zachodniego uzbrojenia dla Ukrainy. W Monachium Wang Yi uderzył w wielki dzwon, oskarżając USA o celowe przedłużanie wojny i jej eskalowanie. Na forum ONZ te same oskarżenia powtórzył chiński ambasador. Zabrzmiało groźnie, lecz prawdziwym celem Chińczyków nie było stworzenie pretekstu dla dostaw dla Rosjan, lecz namalowanie odpowiedniego tła dla chińskiego „planu pokojowego”.

W Pekinie zakładano, że Xi przedstawi go osobiście w rocznicę inwazji. W związku z przebiegiem głosowania w ONZ i wy-

darzeń na froncie skończyło się na publikacji przez chiński MSZ „Stanowiska Chin w sprawie uregulowania kryzysu ukraińskiego”. W dokumencie nie ma konkretnych propozycji, z wyjątkiem żądania cofnięcia „jednostronnych sankcji”. Brak jest też wzmianki o niedopuszczalności dostaw uzbrojenia Ukrainie, czyli punktu kluczowego dla prężenia przez ChRL geopolitycznych muskułów.

Fiasko chińskich planów wykorzystał Zachód. Propozycje Pekinu ostro zrecenzował Biden. Skoro – stwierdził w ABC News – Putin „ten plan pochwała, więc jak to może być coś dobrego?”. Nie ma w nim „niczego, co wskazywałoby na to, że jest coś, co byłoby korzystne dla kogokolwiek poza Rosją”. I podsumował: „Pomysł, że Chiny będą negocjować wynik wojny, która jest całkowicie niesprawiedliwą wojną dla Ukrainy, jest po prostu nieracjonalny”.

Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej, stwierdziła, że stanowisko Chin nie jest neutralne, bo Chiny opowiedziały się po stronie Rosji, podpisując „nieograniczoną przyjaźń tuż przed rozpoczęciem rosyjskiej inwazji na Ukrainę”. Jens Stoltenberg, sekretarz generalny NATO, dodał, że „Chiny nie cieszą się dużą wiarygodnością”, bo „nie były w stanie potępić nielegalnej inwazji na Ukrainę”. A oprócz tego pojawiły się „oznaki, że Chiny mogą planować i rozważać udzielenie pomocy wojskowej Rosji”.

Swoje opinie von der Leyen i Stoltenberg wygłosili podczas konferencji prasowej w Tallinie, gdzie omawiali z władzami Estonii koordynację działań UE i NATO w celu wzmocnienia obronności tego państwa. Współdziałanie Unii i Sojuszu w kwestiach obronności to praktyka ustanowiona w marcu ubiegłego roku, gdy UE zaczęła finansować dostawy uzbrojenia do Ukrainy.

Z niepowodzenia polityki Chin postanowił skorzystać Łukaszenka. „Tym, do których zaadresowane zostały propozycje Pekinu”, poradził z góry ich nie odrzucać. Trafił bez pudła, bo nazajutrz otrzymał zaproszenie do złożenia oficjalnej wizyty w Chinach. Jest klientem Pekinu, lecz w zaistniałych okolicznościach wystąpił jako ceniony ekspert od Europy Wschodniej. Uwiarygodniony goszczeniem tzw. procesu mińskiego, czyli prób znalezienia dyplomatycznego zakończenia wojny w Ukrainie, podejmowanych w latach 2014-22.

W przypływie radości Łukaszenka ujawnił, że po otrzymaniu zaproszenia z Chin odbył „długą i serdeczną” rozmowę z Putinem. A zatem rosyjski dyktator poprosił go, żeby w Pekinie naświetlił wydarzenia w korzystnym dla niego świetle i żeby rozmawiał również w jego imieniu. Xi zapowiedział bowiem przyjazd do Moskwy („w najbliższych miesiącach”) dla omówienia swoich propozycji pokojowych.

Łukaszenka nie byłby sobą, gdyby przy okazji nie spróbował poluzować więzów, którymi spętała go Moskwa. Najpierw zaprzeczył, że Ukraina szykuje się do ataku na Białoruś, choć od kilku miesięcy grzmiał, że „Ucraina ante portas”. Następnie ocenił, że nie widzi oznak tego, by wojska ukraińskie pojawiały się do uderzenia na Naddniestrze – rosyjską enklawę w Mołdawii. Choć rosyjska dyplomacja i propaganda wychodzą z siebie, by udowodnić, że jest inaczej.

Łukaszenka zapewne skorzysta też z oświadczenia Zelenskigo, że ten chętnie spotkałby się z Xi Jinpingiem. Ukraiński prezydent wyjaśnił, że „im więcej państw przyłączy się do formuły pokoju, im więcej wielkich i wpływowych państw będzie się nad tym zastanawiać z poszanowaniem naszej suwerenności oraz sprawiedliwego pokoju, tym szybciej to nastąpi”. Chińskie MSZ odpowiedziało, że stanowisko w sprawie „konfliktu w Ukrainie” jest znane, więc wszystkie strony powinny dążyć do zakończenia wojny, w tym również Ukraina.

Na razie ten chińsko-białoruski kon-tredans wokół wojny unaoczniał rzeczywistą pozycję Moskwy i Pekinu w światowej polityce. Rosja przestała się w niej liczyć, natomiast Chinom namalowano czerwone linie. Mogą je przekroczyć, lecz wówczas muszą sobie odpowiedzieć na pytanie o cenę ratowania skóry Putina i jego kompanów. Mogą też uznać wymowę faktów

Xi ma powody do niepokoju.

Armia ChRL jest szkolona według wzorów rosyjskich, uzbrojenie opiera się na rosyjskich licencjach

i włączyć się do „konstruktywnej pracy” na rzecz zakończenia wojny i zaprowadzenia pokoju zgodnie z „formułą ukraińską”.

Z kronikarskiego obowiązku należy dodać, że do tej beczki miodu dla Łukaszenki wlano łyżkę dziegciu. W przededniu jego wylotu do Pekinu dwa drony uszkodziły rosyjski samolot wczesnego ostrzegania i dowodzenia Beriew A-50 stacjonujący na lotnisku w Maczuliszczach pod Mińskiem. Gdyby zatem w Pekinie napuszył się nadmiernie (białoruski sztab generalny podał, że możliwości mobilizacyjne kraju to 1,5 mln osób), Chińczycy otrzymali dodatkowy argument, żeby sprowadzić go na ziemię.

Do 12 października wpływowi publicyści „The New York Times” i „The Washington Post” narzekali, że Biden i jego administracja nie opublikowali strategii bezpieczeństwa narodowego, choć powinni to zrobić na początku kadencji. Miał to być dowód na jej brak i tym samym słabość Demokratów względem ich poprzedników, którzy wszem wobec głosili „America First”.

Nie docenili mocy hasła Bidena „America is back” i nie dostrzegli, że jest osią strategii amerykańskiego imperium.

Podczas prezentacji strategii Jack Sullivan, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa, wyjaśnił, że opóźnienie wynikało z przebiegu wojny w Ukrainie. Wyznał, że „w lutym było całe mnóstwo ludzi, którzy myśleli, że wojna skończy się szybko i Rosja będzie na znacznie lepszej pozycji”. W październiku było wiadomo, że Ukraina nie padnie i ma szansę wygrać. Oczywiście przy odpowiednim wsparciu ze strony Zachodu. Na początku września armia ukraińska przeprowadziła spektakularną ofensywę pod Charkowem, udowadniając, że pokonanie Rosjan jest w jej zasięgu.

Wyjaśniła się też inna kwestia. W połowie września podczas szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy w Samarkandzie Uzbekistan, Indie i Chiny przestrzegły Rosję przed wykorzystaniem broni jądrowej, co – jak dziś podkreśla Antony Blinken

– pomogło sprowadzić Putina na ziemię. Bo na przełomie kwietnia i maja, a także sierpnia i września był bliski podjęcia decyzji o użyciu w Ukrainie taktycznej broni jądrowej.

W amerykańskiej strategii bezpieczeństwa stwierdzono, że Rosja i Chiny stanowią różne wyzwania. „Rosja stanowi bezpośrednie zagrożenie dla wolnego i otwartego systemu międzynarodowego, zuchwale lekceważy podstawowe prawa porządku międzynarodowego”. Natomiast ChRL „jest jedynym rywalem, który ma zarówno wolę, by kształtować porządek międzynarodowy, i w coraz większym stopniu gospodarczą, dyplomatyczną, wojskową i technologiczną siłę, by móc dążyć do tego celu”.

Europa pozostaje dla USA „fundamentalnym partnerem w stawianiu czoła całemu zakresowi globalnych wyzwań” i stąd administracja Bidena zamierza pogłębić i poszerzyć więzy transatlantyckie. Zgodnie z tym, co prezydent zapowiedział podczas wirtualnego wystąpienia podczas monachijskiej konferencji bezpieczeństwa w 2021 r.: „Ameryka wróciła. Sojusz transatlantycki także wrócił. Nie patrzymy wstecz, patrzymy w przyszłość, wspólnie”. I dodał, że NATO „jest silnym fundamentem naszego bezpieczeństwa, a partnerstwo między Stanami Zjednoczonymi a Europą jest i pozostanie w mojej opinii podstawą wszystkiego, co chcemy osiągnąć w XXI wieku”.

Temu przesłaniu pozostaje wierny. W Kijowie zwrócił się do Ukraińców ze słowami nadziei i wsparcia: „Rok później Kijów trwa. Ukraina trwa. Demokracja trwa. Amerykanie stoją ramię w ramię z wami, tak samo jak cały świat”. W Warszawie dodał, że „Ukraina nigdy nie będzie zwycięstwem Rosji”, a Zachód „nie zmęczy się” wspieraniem Ukrainy. I dodał, że w ciągu najbliższych pięciu lat ukształtuje się porządek międzynarodowy na kolejne dziesięciolecie.

Biden zapowiedział, że 75. rocznicę powstania (4 kwietnia 1949 r.) NATO będzie obchodzić w USA, a on będzie gospodarzem tego wydarzenia. Tym samym określił horyzont czasowy zakończenia wojny w Ukrainie oraz kalendarz ustanowienia nowych reguł polityki światowej. Zaprezentował także jeden z wiodących tematów kampanii prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych (wybory odbędą się w listopadzie 2024 r.). Do własnego hasła „Ameryka powróciła” zamierza dodać kolejny człon: „I znowu jest wielka”. Zabierając tym samym główne przesłanie kampanii trumpistów i wszystkich republikanów.

W polityce światowej ostatnich dziesięcioleci nie znajdują przykładów bardziej spektakularnego uporania się z sojuszem dwóch wrogich mocarstw i do tego w takim szybkim tempie. Wystarczyło, by hegemon działał według przemyślanej strategii, pokazał zęby i ustalił zasady gry. Dokonał tego bez jednego wystrzału, śmierci choćby jednego amerykańskiego żołnierza i bez szkody dla własnej gospodarki, a właściwie z zyskiem dla niej.

Zwycięstwo nie jest pełne ani ostateczne, bo Ukraina jeszcze nie wygrała, zaś Chiny nie zrezygnowały ze wspierania Rosji. Ale w Pekinie i Moskwie wiedzą, że należy się wsłuchiwać w każde słowo Joego Bidena, bo on żadnego nie rzuca na wiatr. ●

W KOLUMNA

III RP?

Już co drugi Polak uważa, że „na pomaganiu Ukrainie się nie skończy. Zostaniemy wplątani w wieloletnie konflikty zbrojne”. Czyja to zasługa?

Służby rosyjskie są coraz bardziej ofensywne i agresywnie działają przeciwko Polsce” (rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn, marzec 2022 r.).

„Rosjanie nas penetrują. I nie chodzi od razu o to, żeby zająć nasze terytorium, tylko żeby zająć nasze umysły” (były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego gen. Piotr Pytel, lipiec 2021 r.).

„Agentem wpływu może być dziennikarz, polityk, analityk, a czasem także ktoś, kogo określamy jako autorytet. Może to być nawet osoba z dużą klikalnością na portalu społecznościowym” (były szef Służby Wywiadu Wojskowego gen. Andrzej Kowalski, marzec 2022 r.).

„Smartfon, mikrofon i kamera są taką samą bronią jak kałasznikow, a nawet bardziej skuteczną” (minister obrony Federacji Rosyjskiej Siergiej Szojgu, 2015 r.).

3 lutego w siedzibie częstochowskiego wydawnictwa książkowego 3DOM doktor geopolityk Leszek Sykulski z Akademii Nauk Stosowanych w Ostrowcu Świętokrzyskim zainaugurował z architektem góralem Sebastianem Pitoniem działalność Polskiego Ruchu Antywojennego. Organizacja stawia sobie za cel powstrzymanie „amerykanizacji i ukrainizacji Polski” oraz normalizację stosunków z Rosją.

42-letni Sykulski to częstochowianin, z wykształcenia historyk po UJ, doktoryzował się z politologii w Katowicach. Korpulentny blondyn, zwykle w stalowoszarych garniturach, w cywilu jest żonatym ojcem jednego dziecka, porucznikiem rezerwy korpusu wojsk specjalnych – ukończył stołeczną Akademię Obrony Narodowej, potem w niej wykładał. W 2008 r. założył Polskie Towarzystwo Geopolityczne. W tym samym czasie zajął w kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego posadę analityka do spraw bezpieczeństwa międzynarodowego, po czym wszedł z nominacji głowy państwa w skład komisji weryfikacyjnej WSI pod przewodnictwem Antoniego Macierewicza.

– Prezydentowi polecieli mnie profesorowie z UJ – opowiada. – Najpierw byłem stażystą, dalej awansowałem na urzędnika zespołu analiz bieżących. Czytałem i streszczałem materiały i raporty przysyłane przez instytucje – od Ośrodka Studiów Wschodnich przez Państwowy Instytut Spraw Międzynarodowych po służby specjalne. W związku z tym przeszedłem dogłębne sprawdzenie przez ABW. Dostałem poświadczenie bezpieczeństwa do poziomu klauzuli „ściśle tajne”.

– To tak à propos zarzutów, że dotąd był pan zwykłą ruską onucą, a teraz Moskale uruchomili pana jako prowokatora...

– Z epitetami nie będę dyskutował. Jeżeli ktoś mi zarzuca agenturalność, ma obowiązek takie podejrzenie zgłosić w prokuraturze lub najbliższym posterunku policji. Niedochowanie powyższego obowiązku zagrożone jest karą pozbawienia wolności. W dodatku osoba, która formułuje takie zarzuty, nie idąc z nimi na policję, popełnia przestępstwo pomówienia.

– Jak pan funkcjonował pod Lechem Kaczyńskim, który w 2008 r. ostrzegał w Tbilisi: „Dziś Gru-

zja, jutro Ukraina, a później może i czas na mój kraj, na Polskę”?

– Pan prezydent nie cenil potakiwaczy. Pisałem mu analizy, z których wynikało, że polityka Trójmorza, a nawet Czwórmorza, bo mówiło się w Pałacu również o Morzu Kaspijskim, jest polityką zgubną, wypychaniem się w sprawy, które nas narażają na ostry konflikt z Rosją. Jeśli do niego dojdzie, mocarstwa zachodnie niekoniecznie pomogą, ponieważ Amerykanie są bardziej zainteresowani sprawami Pacyfiku niż Europą Wschodnią. Z cytowaną przepowiednią prezydenta też się nie zgadzałem i nadal nie zgadzam. Gdyby Rosja miała Polskę napaść, zrobiłaby to już dawno. Putin nie ma powodów, by nas atakować, chyba że sami je damy. A ostatnio dajemy, stąd potrzeba stworzenia ruchu antywojennego.

– Jakie ma pan relacje z Antonim Macierewiczem?

– Prywatnie: żadne. Politycznie oceniam go negatywnie. Fatalnie kierował komisją, wszystko tam było robione na kolanie. Publikacja raportu „o działaniach żołnierzy i pracowników WSI” była gorzej niż zbrodnią, była błędem. Upubliczniono źródła osobowe wywiadu wojskowego.

Po południu spada w Przewodowie ukraińska rakiet.

Wieczorem Macierewicz apeluje o wejście na Ukrainę „sił pokojowych”.

Przed północą rosyjskie portale podają, że „Polska chce aneksji zachodniej Ukrainy”

– Na czym niewątpliwie skorzystała Moskwa.

– Widzę, do czego pan zmierza... Powtarzam: nikt ani ze strony Platformy, ani strony PiS-u nie znalazł cienia dowodu na moją współpracę z Rosjanami.

Mimo to minister Stanisław Żaryn, jako pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa informacyjnego, ostrzega przed Sykulskim. To człowiek, który „infekuje polską przestrzeń informacyjną tezami zbieżnymi z przekazem rosyjskiej propagandy” – napisał na Twitterze.

W styczniu Żaryn udzielił PAP całego wywiadu na temat doktora. Na pytanie, czy Sykulski „może być powiązany z rosyjskimi służbami”, odparł wymijająco: – Do [moich] zadań należy wskazywanie szkodliwych przekazów. Identyfikowanie osób, które należy pociągnąć do odpowiedzialności za współpracę, leży w gestii służb.

– Pan Żaryn będzie miał po wyborach sprawę o zniesławienie – odgraża się geopolityk.

W roku 2015 doktor z Częstochowy nieskutecznie startował do Sejmu z listy Nowoczesnej, cztery lata później – także bez suk-

cesu – ubiegał się o mandat senatora z poparciem Konfederacji. W międzyczasie napisał – i sam wydał – cztery książki o geopolityce, zaś Sąd Okręgowy w Częstochowie powołał go na biegłego w dziedzinie bezpieczeństwa państwa oraz... politycznych ekstremizmów.

– Wcześniej byłem wielokrotnie proszony o różne opinie w sprawach karnych – mówi. – Ktoś był przykładowo oskarżony o nawoływanie do nienawiści na tle narodowościowym i sąd szukał osoby ze stopniem naukowym, która by oceniła, czy inkryminowane wypowiedzi są złamaniem prawa. Moja kadencja biegłego kończy się jednak w marcu i raczej tę pracę rzucę. Stawki są żałosne: nieco ponad 30 złotych za godzinę pracy.

– Czyli z czego pan żyje?

– Z działalności gospodarczej: wydawnictwo, księgarnia internetowa, wykłady w Ostrowcu i doradztwo w zakresie geopolitycznego ryzyka inwestycyjnego.

Sykulskiemu płaci też YouTube. Jego podcasty, jak choćby „O co chodzi w wojnie na Ukrainie” (ćwierć miliona wyświetleń), czy wywiad z ambasadorem Rosji Siergiejem Andriejewem (165 tys. wejść) poprzedzane są w serwisie reklamami.

– Sympatyczną rozmowę z moskiewskim dyplomatą przeprowadził pan już po ujawnieniu masakry w Buczy. Popiera pan agresję Kremla?

– Absolutnie nie! Jestem za pokojem i przeciwko wojnie. Przecież konflikt z Rosją byłby dla nas tragedią. Wiem, jak wygląda w Polsce szkolenie rezerwistów...

– Jak?

– Przypomnijmy sobie ćwiczenia Dragon 17. Rozpadające się buty, helmy z lat 60., za to wódki sporo... Nasz sprzęt wojskowy jest kiepski, nie mamy skutecznego systemu obrony powietrznej, szkolenie strzeleckie też słabe, statyczne, anachroniczne... a rząd aż się rwie na Rosję. I to w sytuacji, gdy tylko trzy procent populacji ma dostęp do schronów. Jeśli Rosjanie uderzą, będzie hekatomba! Bardzo jestem ciekaw, czy ci wszyscy, co dzisiaj odmieniają przez przypadki słowa „zbrodnica Rosja” i „bohatera Ukraina”, tak chętnie pójdą na front.

– To jest klasyczny zestaw argumentów tego typu ludzi – mówi mi Piotr Niemczyk, były wicedyrektor zarządu wywiadu UOP, ekspert od bezpieczeństwa. – Nie nazwałbym ich agentami, prędzej lobbystami, gdyż określenie „ruska onuca” uważam za obraźliwe. Mieszą Polakom w głowy, bo telewizja mówi, że armia nam rośnie, a ten pan – że przeciwnie, że jesteśmy słabi, że się nie obronimy. Zasiewa lęk przed Rosją, a strach jest najgorszym doradcą.

– [Prokremlowski trollom] nie chodzi nawet o przekonanie do konkretnych racji – tłumaczy w rozmowie z PAP Martyna Bildziukiewicz, szefowa unijnego zespołu do walki z rosyjską dezinformacją. – Cel jest inny i bardziej niebezpieczny: wywołanie chaosu i konfuzji, aby nikt nie wiedział, gdzie w końcu leży prawda. By ktoś, kto szuka informacji, pogubił się i zrezygnował z uczestniczenia w debacie w ogóle. By przestał wierzyć w cokolwiek. W ten sposób niszczy się podwaliny naszej demokracji.

PIOTR
GLUCHOWSKI

.....



FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



LESZEK SYKULSKI:

Gdyby Rosja miała Polskę napaść, zrobiłaby to już dawno. Putin nie ma powodów, by nas atakować, chyba że sami je damy. A ostatnio dajemy, stąd potrzeba stworzenia ruchu antywojennego.

FOT. PATRYK OGORZALEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



JANUSZ KORWIN-MIKKE:

Rosja, choć oskarżana o imperializm, żadnego kraju nie podbiła. To Amerykanie wciągali do NATO Polskę, Czechy, Estonię... Rosja nie wciągała Meksyku do paktu antyamerykańskiego, prawda? Za to Anglia i Ameryka latami szkoliły Ukraińców w nienawiści do Rosji, po cichu ich uzbrajały.

Tworzy pan ruch antywojenny teraz, bo cierpliwość do Ukraińców się gdzieś gdzieś kończy i powstaje pole do siewu prorosyjskich treści – mówię Sykulskiemu.

– Pomoc dla migrantów z Ukrainy zaszła za daleko. Czujemy to w kieszeniach. Nie mamy żadnej „putinflacji”, jak głosi TVP. Mamy tylko skutki bezmyślnego, bezwarunkowego wspierania Ukraińców. Nie widzi pan związku między spadkiem wartości nabywczej pieniądza a rozdawaniem zasiłków rzekomym uchodźcom? Bo ludzie, owszem, widzą. Ze styczniowego sondażu Warsaw Enterprise Institute wynika, że 52 procent Polaków boi się wplątania nas w wojnę z Rosjanami. A 40 procent uważa, że trwa ukrainizacja Polski, która niszczy naszą kulturę i tkankę społeczną. My mówimy: stop!

– Co znaczy „ukrainizacja”?

– Zmiana struktury ludnościowej państwa. Szykuje się powtórka z II Rzeczypospolitej. Te osoby albo ich dzieci dostaną prawa wyborcze – i będą kłopoty. Homogeniczność etniczna i religijna Polski jest wielką, często niedocenianą wartością. Ona nas ochroniła przed tym, co było na Bałkanach. Dlatego głosy o przyjaźni polsko-ukraińskiej – czy wręcz federacji – brzmią dla mnie bardzo groźnie. Tam się odradza skrajny nacjonalizm, kult Stepana Bandery, kult UPA. Rosjanie przeprosili za Katyń, Ukraińcy za rzezie na Wołyniu – nie. W Katyniu były ekshumacje, na Ukrainie – nie było. Doszło do tego, że czerwono-czarne banderowskie flagi powiewały podczas wizyty Mariusza Błaszczaka w Kijowie. Dziś banderyzm ma jeszcze ostrze głównie antyrosyjskie, ale każdy szowinizm można przekierować.

Zawarte w powyższej wypowiedzi tezy znajdują się na liście 15 tysięcy najpopularniejszych prokremlowskich przekazów sieciowych zidentyfikowanych od 2019 r. przez Europejską Służbę Działań Zewnętrznych, a konkretnie – East Stratcom Task Force, zespół Martyny Bildziukiewicz, którego pracę można określić jako biały wywiad. Oto niektóre z półprawd, manipulacji i kompletnych fejków wstrzykniętych do polskiego internetu w ciągu ostatnich trzech miesięcy – z datami i adresami pierwotnych nadawców (za Euvsdisinfo.eu):

- Dzisiejsze ukraińskie symbole przypominają zarówno emblematy nazistowskich Niemiec, jak i kołaborującej z Hitlerem UPA (8 grudnia, serwis Lantidiplomatico.it);
- Czytelnicy polskiej gazety „Interia” (sic!) są zdania, że NATO przygotowuje Europę do długiego konfliktu, na którym skorzystają zachodni producenci broni (18 grudnia, Sputnik Czechy);
- Berlin i Bruksela zaniepokojone wzrostem siły polskiej armii (19 grudnia, Sputnik Polska);
- [Rosyjscy] posiadacze Karty Polaka planują zorganizować prounijny „majdan” w Kaliningradzie (22 grudnia, Sputnik Polska);
- Na Ukrainie zginęło ponad 1200 polskich najemników, tysiące odniosły rany (30 grudnia, Sputnik Białoruś);
- Pomimo oficjalnie deklarowanego embarga Niemcy i Polska złożyły zamówienia na rosyjską ropę (3 stycznia, Oroszhirek.hu);
- Telewizja Polska nadaje prognozę pogody sprzed mapy kraju zawierającej Lwów (17 stycznia, Topwar.ru);
- Amerykanie oddadzą Polsce zachodnią Ukrainę, jeśli Warszawa spłaci dług Kijowa wobec USA (23 stycznia, De.news-front.info);
- Polscy rewanżyści w celu realizacji świętego projektu Nowej Rzeczypospolitej chcą zaatakować wschodnie granice. Kaliningrad zostanie napadnięty jako pierwszy (27 stycznia, Sputnik Białoruś);
- Polska w tajemnicy rekrutuje żołnierzy, aby wysłać ich na Ukrainę (2 lutego, Mk.ru).

Goszczące Sykulskiego i Pitonia wydawnictwo 3DOM (co czyta się „freedom”) reklamuje się jako „najbardziej niepoprawna politycznie księgarnia patriotyczna, katolicka i prawicowa”. Szefem jest Tomasz Stala, autor wywiadu z posłem Konfederacji Grzegorzem Braunem o agencji „Bolku” i napisanej wspólnie z byłym szefem ONR Przemysławem Hołocherem książki „Wszelkie dowody na Wielką Lechię”, którą częstochowska oficyna reklamuje jako „kompendium niepodważalnych, logicznych dowodów na to, iż Lechici rządzą łącznie cywilizowanym światem”. W trakcie ubiegłorocznych, odbywających się pod patronatem IPN i prezydenta RP Targów Książki Historycznej na Zamku Królewskim Stala sprzedawał także m.in. „Protokoły mędrców Syjonu” i książki uznanego sądownie za kłamcę oświęcimskiego Dariusza Ratajczaka.

Na lutowe spotkanie w wydawnictwie przyszło około stu osób. Byli turbolehici, antyszczepionkow-

cy, judeosceptycy i tzw. kamraci. Sykulski przywitał ich hasłem „To nie jest nasza wojna, nie idziemy na nią!”. Po czym obaj z Pitoniem odczytali na dwa głosy „deklarację programową ruchu antywojennego”:

Góral: Wyrażamy głęboką niezgodę na politykę zagraniczną i bezpieczeństwa prowadzoną przez rządy w Warszawie po roku dziewięćdziesiątym dziewiątym [wtedy Polska weszła do NATO]. Politykę awanturniczą, nastawioną na konfrontację z naszymi sąsiadami i realizację strategicznych interesów Waszyngtonu.

Geopolityk: Dopóki na Ukrainie rozwija się szowinizm i kult zbrodniarzy, nie może być mowy o żadnej pomocy finansowej ani tym bardziej militarnej. Stanowczo podkreślamy: to nie nasza wojna!

„Polski Ruch Antywojenny i rozpowszechnianie przez niego hasel o nie naszej wojnie, zbiega się w czasie z wyraźnym wzrostem aktywności Federacji Rosyjskiej w zakresie inspirowania ruchów pacyfistycznych i sterowania nimi” – odpisuje mi proszony o komentarz minister Żaryn. „W ten sposób Rosja próbuje wywrzeć presję na rządy państw Zachodu i wymusić na nich – poprzez rzekomo oddolne ruchy społeczne – zaprzestanie pomocy Ukrainie. [Takie działanie] należy do kanonu funkcjonowania rosyjskiego aparatu wpływu”.

Z dalszej części pisma wynika, że prorosyjskie przekazy są tym groźniejsze, im bardziej prostymi i logicznymi mogą się wydawać. Przykład: – Biją się dwaj sąsiedzi i zamiast ich rozdzielić, dajemy słabszemu kamień, by się krew polała – mówi mi Sebastian Pitoń, gdy do niego dzwonię.

52-letni architekt po Politechnice Łódzkiej mieszka w Kościelisku i żyje z projektowania domów, hoteli, karczm. Jego realizacje można łatwo poznać po falujących dachach. – W Zakopanem nazywają mnie podhalańskim Gaudim. Specjalizuję się w budynkach, lecz jak trzeba, mogę zaproponować również projekt miasta – może nie idealnego, na pewno fajnego.

Wysoki brunet ubiera się po góralsku: kapelusz-miska z muszelkami, podhalańskie swetry, długie włosy à la Niemen, roschata broda. Żona też jest artystką. W 2014 r. startował do rady powiatu tatrzańskiego jako kandydat Klubu Zamoyskiego (KZ). Konserwatywna grupa wzięła nazwę od hrabiego Władysława, który wyprocesował dla przyszłej Polski teren Morskiego Oka. Pitoń postulował likwidację Tatrzańskiego Parku Narodowego i utworzenie w zamian Królestwa Podhalańskiego – Krainy Wolnych Górali. Jego zdaniem „nawet w Chinach Ludowych samorząd terytorialny ma większe prawa niż w Polsce”.

Dziś KZ współrządzi powiatem, lecz architekt radnym nie został. Od tej pory nie wierzy w wybory – „rządzą nimi służby, ponieważ mają swoich ludzi w komisjach, a ci ludzie mają dostateczne narzędzia, żeby korygować wyniki w zakresie kilkunastu procent”. Tego typu opinie wygłaszał m.in. na youtubowym kanale nacjonalistów Chrobry Szlak i w internetowej telewizji swego dobrego znajomego, siedzącego obecnie w więzieniu prorosyjskiego trolla Wojciecha „Jaszczura” Olszańskiego. To jednak były występy niszowe. Większa grupa rodaków usłyszała o Pitoniu dopiero wtedy, gdy trzy lata temu na antenie Radia ZET poinformował społeczeństwo, że „żadnej pandemii nie ma”, a COVID jest „lekką i przyjemną chorobą”, którą warto przejść. Na fali popularności wśród antyszczepionkowców założył stowarzyszenie Góralskie Veto – ruch zakopiańskich przedsiębiorców odmawiających zamykania interesów w pandemii.

Teraz z Sykulskim otworzyli na YouTube nowy kanał, gdzie prowadzą audycję „Antywojenne Polaków Rozmowy”. Informują, że w interesie Ukrainy jest wciągnąć Polskę do wojny, choćby i atomowej. A w naszym interesie – dać odpór...

– ...w imię dążenia do pokoju. Bo nie zarabiamy na wojnie, a tylko tracimy. Dlatego obaj z Leszkiem głosimy proste hasło „zero wrogów pośród sąsiadów”. W stosunkach z ościennymi krajami winniśmy używać nie czołgów, ale dyplomacji. Mamy przecież wspaniałe położenie geopolityczne na ważnych szlakach handlowych wschód-zachód i północ-południe. Z tego można korzystać, dopóki mamy pokój. Tymczasem Amerykanie chcą z Polski zrobić zderzak strategiczny. Użyć nas do rozpalki. George Friedman [wpływowy amerykański politolog, założyciel bliskiej Białemu Domowi, porównywanej z CIA agencji Stratfor] pisze expressis verbis, że w interesie USA leży skłócanie Eurazji. Trzeba rozpalać konflikty, bo celem Ameryki jest nowa zimna wojna. A my ponownie będziemy w części zniewolonej.

– Jako „zniewoloną” postrzega pan strefę euroatlantycką, a wolną – Białoruś, Rosję, Chiny...

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL



JACEK BARTOSIAK:

Musimy zbudować wojsko z prawdziwego zdarzenia, lepszy system odporności państwa. Wynegocjować zwiększenie obecności amerykańskiej plus składowanie na naszym terytorium broni atomowej z USA. Spowodować wysłanie wojsk amerykańskich do państw bałtyckich. Po to, aby Amerykanie umierali w pierwszym dniu, gdyby Rosja rozpoczęła agresję.

FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



GRZEGORZ BRAUN:

Polska jakiś czas temu to „niemiecko-rosyjskie kondominium pod tymczasowym zarządem żydowskim”, obecnie „Ukro-Polin”.

ko rozpowszechniony w sieci, począwszy od serwisu Wykop po witrynę Konserwatyzm.pl. Można w tym tekście przeczytać, że „perturbacje z gazem dostarczonym via Ukraina doprowadziły Polskę do kosztownego projektu gazoportu”, który „może doprowadzić do równie drogich następstw, jak koncepcja otwarcia rynku na gaz łupkowy ze Stanów”. Dwyersyfikacja dostaw surowca nie jest bowiem dla Polski korzystna, gdyż „uzależnienie od więcej niż jednego dostawcy drogiego gazu nadal pozostaje uzależnieniem”.

Autorem felietonu jest Konrad Rękas, dziennikarz i były przewodniczący sejmiku lubelskiego, który należał najpierw do ultraprawicowego Szczerbca, dalej do Samoobrony, Stronnictwa Narodowego i Kongresu Nowej Prawicy, by w końcu wylądować jako wicelider kanapowej i jawnie prokremlowskiej partii o nazwie Zmiana. W 2019 r. bezskutecznie kandydował do Senatu z poparciem Kukiz'15.

Ostatnimi laty Rękas publikuje w Sputniku i tygodniku „Mysł Polska”, gdzie roi się od prorosyjskich i antyukraińskich treści – można tam przeczytać m.in. teksty czołowego ideologa Kremla Aleksandra Dugina. Zdaniem Niemczyka powyższe sieci powiązań są dużo groźniejsze niż „kiepska antywojenna hucpa Pitonia i Sykulskiego”.

– Dobrze pan rozumie. Azjaci idą dynamicznie w kierunku szeroko rozumianego szczęścia i dostatku, a Zachód grzęźnie w zapaści. Będziemy jedli robaki, nie będzie samochodów, tylko wszędzie rowerkiem, trzy ubrania na rok, żeby nie powiększać śladu węglowego... to dla pana wolność?

– Wyczuliście z Sykulskim wzrost antyukraińskich nastrojów...

– Wyczuliśmy ostatni moment, by Polska się ocknęła, bo inaczej nas wepchną w straszną wojnę z Rosją. To jest ostatnia szansa, żeby się ratować. Wojna spowoduje recesję w Europie, rozłączenie łańcuchów dostaw... Pozycja Ameryki niepomierne wzrośnie. Nie pozwólmy jej wmówić sobie, że Rosja to imperium zła. Media w Polsce tak mówią po to, byśmy zaakceptowali wojnę. W tym celu trzeba drugą stronę zdehumanizować. Rosjanie są odrażający, brudni i źli; kradną, mordują, gwałcą... jakieś zwierzęta, nie ludzie. Niczego panu to nie przypomina?

– Opisy najazdu Armii Czerwonej w latach 1920, 1939 i 1945.

– Mnie to przypomina raczej odczłowieczanie Żydów. Świat bez nich miał być lepszy. Tak jak teraz – bez Rosji. A Sowietci, którzy nas najeżdżali, to nie byli Rosjanie, tylko komuniści, różnych zresztą nacji, także Ukraińcy, w roku dwudziestym pod wodzą amerykańskiego agenta Lwa Bronsztajna Trockiego. Stalinizm by się nie rozwinął, gdyby nie pomoc ze Stanów. Pisał o tym Antony Sutton w „Western Technology and Soviet Economic Development”. Sowietki przemysł zbrojeniowy został zbudowany od podstaw przez Amerykanów. O tym nie wolno dziś mówić, lecz ja należę do ludzi, których interesuje najbardziej to, co zakamuflowane. Pan wie, że to jednak Ameryka z Norwegią wysadziły Nord Stream? Ujawnił to ósmego lutego światowej sławy dziennikarz, laureat Pulitzera, Seymour Myron Hersh...

– ...który ma ponad 80 lat i stał się rzecznikiem różnych teorii spiskowych. Pisał, że ben Ladena złapali Pakistańczycy. A teraz Biały Dom i ministerstwo obrony Norwegii zgodnie zdementowały jego news o rurze.

– Tym bardziej należy tę wiadomość przyjąć. Zna pan to powiedzenie, by wierzyć tylko wiadomościom dwukrotnie zdementowanym?

Jedna z ostatnich wrzutek Moskwy do polskiego netu (nadal za stroną Euvsdisinfo.eu): „Rurociągi Nord Stream zniszczyła koalicja państw na czele z USA i Norwegią. Rządy Polski i Litwy były poinformowane o akcji i ją zatwierdziły” (13 lutego, źródło: Laivaslaikrastis.lt).

Narracja pod tytułem „nie nasza wojna” to efekt pewnej głupoty i złe pojmowanego pragmatyzmu – mówi mi Piotr Niemczyk. – Pogląd, że Polska winna mieć dobre relacje z Rosją, nie jest niczym nowym, natomiast w obecnej sytuacji wykorzystuje się go do mieszanina w głowach. Takich ewidentnych rosyjskich propagandzistów, jak Sykulski i Pitoń, bym się raczej nie bał. Choć z drugiej strony oni zwracają na siebie uwagę, narażając służby na tracenie czasu, co może być przykryciem dla czyjejś działalności agenturalnej wprost. Dużo niebezpieczniejsze są osoby, które działają skrycie. Weźmy na przykład niejakiego Grzybowskiego, o którym media pisały per Stanisław S. Obywatel polski rosyjskiego pochodzenia, prawnik, syn znanego sportowca, stał się sejmowym ekspertem od energii i przekonywał posłów, że musimy nadal kupować gaz z Rosji, nie ma co kombinować z tym całym gazoportem, bo się nie opłaci. Przemyczał takie argumenty w polskich czasopismach, na co w końcu zwróciła uwagę ABW.

Stanisław S., zatrudniwszy się w poznańskiej kancelarii zrzeszonej w Izbie Gospodarczej Gazownictwa pod pretekstem pracy nad doktoratem o rynku gazu, brał udział w posiedzeniach sejmowej komisji do spraw energetyki, jednocześnie utrzymując kontakty z oficerami rosyjskiego wywiadu wojskowego. Prowadzący z GRU zlecili mu skopiowanie niejawnego raportu NIK w sprawie umów gazowych oraz zdobycie informacji o dacie otwarcia gazoportu. Stołeczny sąd, który w 2017 r. skazał Grzybowskiego na siedem lat, uznał za dowiedzione, że oskarżony „dokonał rozpoznania polskich dziennikarzy i ekspertów z branży energetycznej, [po czym] sporządził opracowanie zawierające ich charakterystyki pod kątem podatności na wpływy rosyjskie i możliwości wykorzystania w kampanii [dezinformacyjnej]”. Następnie podjął działania dotyczące promowania rosyjskiego punktu widzenia w sektorze energetyki, oferując odpłatność za takie publikacje”.

Jako przykład inspirowanych w ten sposób artykułów sąd wskazał felieton „Ukraiński katar – polska grypa”, który początkowo ukazał się w branżowym portalu energetycznym, a potem został szeroko

Inne zdanie ma Grzegorz Rzeczkowski, dziennikarz śledczy „Newsweeka”, autor dwóch książek o rosyjskich wpływach („Katastrofa posmoleńska”, „Obcym alfabetem”):

– Ludzie z tego całego ruchu antywojennego są bardzo niebezpieczni, ponieważ robią to, na czym Rosji najbardziej zależy: dezintegrują społeczeństwo. Wprowadzają niepewność co do sensu dalszego wspierania Ukrainy, sensu sojuszu z USA oraz całego prozachodniego kierunku w naszej polityce. Gdy społeczeństwo nabierze niepewności, determinacja – na przykład do pomocy Ukraińcom – drastycznie zmaleje. Dlatego ja bym traktował Pitonia, Sykulskiego i podobnych śmiertelnie poważnie. Kontrwywiad winien za takimi chodzić.

Rzeczkowski nie ma też problemu z hasłem „ruskie onuce”.

– Wolałbym może bardziej eleganckie sformułowania na opis rosyjskiej ingerencji w Polsce, ale „onuce” się już utrwaliły jako pewien skrót. Tych „onuc” różnej grubości mamy w Polsce mnóstwo, a niektórzy chyba lubią ich odór. Zwróciłbym uwagę na Zbigniewa Ziobrę i samego prezesa Kaczyńskiego, który pozwala Ziobrze podważać związki z Europą i sam też to czyni. Także Macierewicza, który oślepił i ogłosił nasze służby. To sabotażysta rozbijający jedność społeczeństwa. Niech pan zwróci uwagę, co on wygadywał, kiedy ukraińska rakiet spadła w Przewodowie.

Pocisk eksplodował 15 listopada przed czwartą po południu. Wieczorem niedawny minister obrony wystąpił w TV Republika: – Najwłaściwszą reakcją byłoby zwołanie posiedzenia ONZ i decyzja o wprowadzeniu na teren Ukrainy sił pokojowych – powiedział. Jeszcze przed północą w serwisach Telegram.ru, Life.ru i Pravda.ru pojawił się odnotowany przez zespół Martyny Bildziukiewicz identyczny przekaz: „Polska chce aneksji zachodniej Ukrainy i Białorusi”. W tekście można przeczytać, że „Polacy uważają Lwów i miasta białoruskie za swoje”, a odtworzenie wschodniej granicy państwa z 1939 r. „traktowane jest coraz poważniej”.

Rzeczkowski: Putin integruje poddanych poczuciem zagrożenia ze strony „awanturniczej” Polski: „Polacy są rusofobiczni; twierdzą, że zabiliśmy im prezydenta, teraz chcą krwawej zemsty, ich niedawny minister obrony wzywa do inwazji”.

Niemczyk tym razem się zgadza: Władimir Wolkow, rosyjsko-francuski teoretyk dezinformacji, pisał, że przesada „anty” to takie samo narzędzie jak kłamstwo „pro”. Antyrosyjskość do śmieszności może być śladem Moskwy. Tu wskazałbym rodzimych prawicowych hurrapatriotów, lecz także panią z lewicy, która krzyczy do młodych Rosjan w stolicy: „Wypierdalać!”.

Rzeczkowski: Ten incydent w Warszawie wynikł z emocji na wiecu. Ja bym raczej poświęcił uwagę Braunowi i Korwin-Mikkemu. Niech się pan także przyjrzy sieci Leonida Swiridowa.

Janusz Korwin-Mikke (obecnie Konfederacja) od lat nie kryje sympatii dla Putina i polityki Kremla. Obecność amerykańskich wojsk w Polsce określa jako „antyrosyjską prowokację” i „złamanie porozumienia, na mocy którego Rosja wyraziła zgodę na wstąpienie do NATO”. Tzw. republiki Doniecka i Ługańska „to nie są żadne marionetki Kremla, tylko prawdziwe państwa z własnymi ambicjami, a każde cztery razy większe od Luksemburga”. W Radiu Poznań mówił: „Jestem Europejczykiem, a z wielkich przywódców światowych tylko jego ekscelencja Włodzimierz Putin broni wartości europejskich”. W Radiu Wnet poszedł dalej: „Podatki w Rosji są mniejsze niż w Polsce, za to wolność – większa”.

W grudniu 2015 r. pojechał na Krym, aby poznać „rzeczywistą sytuację mieszkańców”. Spotkał się z władzami okupacyjnymi, co chętnie pokazała telewizja Russia Today. Po powrocie do Polski stwierdził na antenie TVP, że półwysep „sam się przyłączył do Rosji”. Gdy w lutym wybuchła wojna, wyjaśniał jej genezę w youtubowym kanale „Jeden z wielu”:

– Rosja, choć oskarżana o imperializm, żadnego kraju nie podbiła. To Amerykanie wciągali do NATO Polskę, Czechy, Estonię... Rosja nie wciągała Meksyku do paktu antyamerykańskiego, prawda? Żadnych kroków przeciw Polsce też nie podejmowała, nie miała pretensji ani do Węgorszewa, ani do Giżycka. Za to Anglia i Ameryka latami szkoliły Ukraińców w nienawiści do Rosji, po cichu ich uzbrajały.

Podobną opinię ma poseł konfederatów Grzegorz Braun, który kiedyś określał Polskę jako „niemiecko-rosyjskie kondominium pod tymczasowym zarządem żydowskim”, a teraz mówi o niej krócej: „Ukro-Polin”. W czerwcu razem z aktorem, krzewicielem teorii spiskowych i liderem nieformalnego ru-

chu tzw. kamratów Wojciechem Olszańskim ogłosił pod kolumną Zygmunta antyukraiński „Apel o pokój w Europie Środkowej”. Gdy „Jaszczura” aresztowano, Braun złożył zań poręczenie (na jakiś czas pomogło).

Reżyser-antyszczepionkowiec jeszcze przed rosyjskim atakiem 24 lutego 2022 r. jako jedyny na sejmowej sali głosował przeciw uchwale o wsparciu dla Kijowa, zaś 8 lutego tego roku – jako jedyny konfederat – nie wsparł rezolucji potępiającej skazanie na Białorusi Andrzeja Poczobuta. Uczestniczył w co najmniej kilku antyukraińskich wiecach, a jego mowy cytowała w najpopularniejszym politycznym talk-show „60 minut” Olga Skabiejewa – nazywana „żelazną lalką Putina” jedna z głównych propagandystek Kremla. We wrześniu wziął udział w niemieckim zlocie nacjonalistów, gdzie razem z politykami Alternatywy dla Niemiec (AfD) wzywał do zniesienia sankcji przeciw Moskwie. Współorganizatorami imprezy byli m.in.: Rościsław Teśluk, były oficer rosyjskich sił powietrznych, który w Niemczech zmienił nazwisko na Schlund; jego partnerka, która ostatnio zorganizowała tam zbiórkę na sprzęt łączności dla rosyjskiej armii; Wiaczesław Seewald, gospodarz internetowego niemieckojęzycznego kanału „Fanklub Władimira Putina”, oraz oficer GRU znany pod operacyjnym nazwiskiem Jeremienko.

Wcześniej, bo w roku 2018, Braun poleciał do Moskwy, gdzie spotkał się – i nieopatrznie sfotografował – z Agnieszką Piwar oraz wspomnianym przez Rzeczkowskiego Swiridowem.

Piwar jest dziennikarką Sputnika, znajomą Łukaszenki i dobrą koleżanką sądzonego aktualnie za szpiegostwo Mateusza Piskorskiego (dawniej w Samoobronie, potem lider Zmiany). Agnieszka Romaszewska-Guzy, szefowa Bielsat TV, nazywa ją „moskiewską najmitką”.

Swiridow: lysiejący, misiowaty 60-latek w okularach w połowie lat 90. był białoruskim korespondentem tej samej telewizji I Kanał, w której pracuje Skabiejewa. W 1997 r. przeniósł się do Pragi, skąd wydano go z powodu podjeźra o szpiegostwo. Gdy wyjechał do Polski, sytuacja się powtórzyła. Nasz resort dyplomacji – na wniosek ABW – odebrał mu akredytację. W retorsji wydano z Rosji korespondenta „Wyborczej” Wacława Radziwiłowicza.

Zanim do tego doszło, Swirydow zdążył przeprowadzić wywiad z Korwin-Mikkem (o „naturalnym” odzyskaniu Krymu), a także spotkać się z Wojciechem Jaruzelskim, Lechem Wałęsą, Leszkiem Millerem, Radosławem Sikorskim, Markiem Belką, Andrzejem Wajdą i kilkunastoma innymi ludźmi ze świecznika. Efektem większości z tych spotkań nie były publikacje – po prostu rozmawiali.

Teraz, gdy ekskorespondent nie ma do Polski wstępu, zaprasza gości do siebie.

Rzeczkowski: Jeden z ostatnich wyjazdów przez niego organizowanych odbył się we wrześniu 2021 r. W programie – wizyta w Soczi i udział w Forum Współczesnego Dziennikarstwa, które uświetnił swoją obecnością minister Ławrow.

Z Polski zjawili się m.in. Agnieszka Wolk-Łaniewska z urbanowego „NIE” i Paweł Dybicz, wicenaczelnym lewicowego tygodnika „Przegląd”.

Rzeczkowski: Te same dwie osoby pojechały ze Swirydowem do Czeczenii. Plus Agnieszka Piwar, która po powrocie napisała tekst wychwalający rząd Kadyrowa.

Za wyjazdy płaćla moskiewska Fundacja Wspierania Dyplomacji Publicznej, której zadaniem jest „promowanie i kształtowanie korzystnego klimatu społecznego, politycznego i biznesowego dla Rosji za granicą”. W zeszłym roku FBI ujawniło, że FWDP wspierała finansowo rosyjskich szpiegów nielegalów w USA. Patronem Fundacji jest carski szef dyplomacji Aleksandr Górczakow – właśnie ten, który mawiał, że należy wierzyć tylko dwukrotnie zdelementowanym informacjom.

– Powiązania widać jak na talerzu – mówię Rzeczkowskiemu. – Trudniej jednak znaleźć jurgielt po kieszeniach.

– A kogo finansował w Polsce Małofiejew?

48-letni Konstantin Małofiejew zwany „prawosławnym oligarchą Putina” wygląda jak Dostojewski. Zagorzały wróg feminizmu, praw osób LGBT, rozwodów i aborcji, sam zaś siebie określa jako „filantropa”. Właściciel kilku konserwatywnych fundacji, kompanii medialnej Cargrad i telewizji o podobnej nazwie sponsoruje europejską skrajną prawicę oraz osobiście – Marine Le Pen. Od lat widnieje na liście biznesmenów objętych sankcjami USA „za wspieranie separatyzmu w Donbasie”. Moskiewska niezależna „Nowaja



FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

SEBASTIAN PITON:

Sowieci, którzy nas najeżdżali, to nie byli Rosjanie, tylko komuniści, różnych zresztą nacji, także Ukraińcy, w roku dwudziestym pod wodzą amerykańskiego agenta Lwa Bronsztajna Trockiego. Stalinizm by się nie rozwinął, gdyby nie pomoc ze Stanów. Pan wie, że to jednak Ameryka z Norwegią wysadziły Nord Stream?

Gazeta” (zanim została zamknięta) pisała, że to on miał opracować wstępny plan inkorporacji Ukrainy, który przyjął Kreml. Oficjalnym celem grupy medialnej Cargrad jest bowiem „odrodzenie świetności Imperium Rosyjskiego”.

W marcu ubiegłego roku współpracujący z serwisem New Lines Magazine międzynarodowy zespół dziennikarzy śledczych (z przewagą niemieckich) odkrył, że Małofiejew finansował rosyjskie podróże działaczy AfD – m.in. Manuela Ochsenreitera, redaktora naczelnego altprawicowego serwisu Zuerst!. Na początku 2018 r. Ochsenreiter za 1500 euro wynajął trzech luźno powiązanych ze skrajną prawicą młodych Polaków, aby pomazali swastykami, a potem podpalili centrum kultury węgierskiej w ukraińskim Użhorodzie na zamieszkanym także przez madziarską mniejszość Zakarpaciu. Miało powstać wrażenie ataku ukraińskich nacjonalistów.

4 lutego 2018 r. Adrian M., Michał P. i Tomasz S. z Bydgoszczy wymalowali na murze ośrodka hakenkreuz liczbę 88 (dwie ósme litery alfabetu to skrót od „heil Hitler”), po czym wrzucili przez okno koktajl Molotowa. Dwa dni później East Stratcom Task Force wychwycił oparty na incydencie przekaz pt. „Ukraina jest przywiązana do wartości europejskich, takich jak faszyzm w latach 30. i 40. XX wieku”.

Kiedy ABW zatrzymała podpalaczy, wyspali Ochsenreitera. Niemiec uciekł do Moskwy. Tam przeżył jeszcze rok; zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, mając 45 lat.

– No dobrze, a gdzie w tym Polska?

Rzeczkowski: Małofiejew, za pośrednictwem Białorusina Aleksandra Urowskiego wyłożył 100 tys. euro m.in. na organizację antyukraińskich wieców w krajach Europy Środkowej. W Polsce pochody pod hasłem „Zakończ ukraińską agresję w Donbasie” organizowali ludzie z dawnej Samoobrony i Zmiany – Urowski osobiście opłacał Piskorskiego. A także bojówkę Obozu Wielkiej Polski, która wymalowała obraźliwe hasła na pomniku UPA w Hruszowicach na Podkarpaciu. Z przechwyconych przez ukraińskich hakerów maili wynika, że tylko na akcje w Polsce i tylko w 2014 r. Białorusin wydał co najmniej 45 tys. euro.

Oprócz białoruskiego Małofiejew ma jeszcze drugiego wiodącego do Polski kanał. Jego fundacja św. Bazylego Wielkiego wspiera konserwatywną platformę crowdfundingową Citizen Go, która z kolei wysyła pieniądze polskiej odnodze Ordo Iuris. Hakerzy – tym razem hiszpańscy – ujawnili dwa przykładowe przelewy – po 11 tys. złotych każdy.

– Dlaczego Putin pomaga fundamentalistycznej, antykobiecej i antygejowskiej propagandzie na Zachodzie? – pytała w zeszłym roku w Sejmie profesor Elżbieta Korolczuk, socjolożka z Uniwersytetu Warszawskiego. I odpowiedziała: Bo w ten sposób może przedstawiać Zachód jako świat moralnej degeneracji, gdzie „dzieci oddawane są pedofilom”. Po co mu taka wizja? Dzięki niej agresja na Ukrainę, która

chce dołączyć do Zachodu, wydaje się Rosjanom konieczna po to, aby po prostu Ukraińców ratować.

Piotr Niemczyk: Są dwa główne nurty w europejskim myśleniu o tym, jak wyjść z wojny. Pierwszy, który ja sam popieram, opisałbym tak, że choć wszyscy boimy się wojny atomowej, to jednak trzeba Rosję zbankrutować, raz na zawsze rzucić na kolana, by skapitulowała. Rozwiązać problem na dziesięciolecie. To polityka słusza, choć okrutna, zakłada bowiem długi konflikt, a tam ludzie giną. Drugi nurt głosi, że, tak czy owak, w końcu trzeba się będzie dogadać. Zakończyć wojnę bez względu na to, po której stronie jest Krym. Taką narrację sufluje – bardzo inteligentnie – na przykład Jacek Bartosiak.

47-letni prawnik po Uniwersytecie Warszawskim to drugi w tej historii doktor geopolityk. Warszawiak i ojciec trzech córek związany z konserwatywną Fundacją Republikańską, w latach 2013-15 był członkiem rady NCSS, Narodowego Centrum Studiów Strategicznych, czyli think tanku założonego przez byłego wiceministra obrony w rządzie PiS, LPR i Samoobrony – Jacka Kotasa. Dziennikarz śledczy i pisarz Tomasz Piątek pięć lat temu ujawnił na naszych łamach, że Kotas miał relacje z tzw. mafią solneczką – jedną z bardziej wpływowych rosyjskich organizacji przestępczych powiązanych z Kreml. Kotas pozwał Piątka (ochrona dóbr osobistych) i jednocześnie oskarżył o zniesławienie (postępowanie karne). Obie sprawy przegrał – ostateczny wyrok przed Sądem Najwyższym zapadł w styczniu.

Tymczasem Bartosiak – w roku 2018 – był przez kilka miesięcy prezesem państwowej spółki budującej Centralny Port Komunikacyjny w Baranowie. Jednocześnie pracuje za Atlantyk: jest senior fellow w zajmującej się polityką bezpieczeństwa The Potomac Foundation w Waszyngtonie. Od roku 2016 napisał osiem książek o geopolityce, w tym jedną z George'em Friedmanem („Wojna w Kosmosie”). Założył też polski think tank Strategy & Future zajmujący się – cytuję samego Bartosiaka – „analizą geostrategiczną i ewolucją pola walki”. Kiedy piszę ten tekst, główny artykuł na stronie S&F to analiza „Obraz coraz bardziej ponury. O sytuacji ukraińskiej gospodarki”.

Czekając na umówioną rozmowę z doktorem, przeglądam jego podcasty na YouTube. Pierwszy: „Tak Rosja zaatakuje Polskę” (czerwiec 2022 r., ponad milion wyświetleń). Bartosiak mówi ze swadą:

– Od kilku lat trwa między Stanami Zjednoczonymi a Rosją, Chinami i w mniejszym stopniu Iranem intensywna rywalizacja o to, kto ustanawia reguły gry w handlu światowym w Eurazji. W interesie sojuszu eurazjatyckiego jest wypchnięcie amerykańskich wpływów. Wojna w Ukrainie to przejaw tej rywalizacji. Siłowe żądanie renegocjacji układu. Na razie rosyjska armia słabo sobie radzi, ale to przejściowe. Będzie tak zwana pieriedyszka, oni się nauczą współczesnego pola walki, po czym zaczną napierać na państwa bałtyckie i Polskę. Być może będzie to już wojna nowej generacji: punktowe uderze-

Piotr Niemczyk: Sykulski i Pitoń zwracają na siebie uwagę, narażając służby na tracenie czasu, co może być przykryciem dla czyjejś działalności agenturalnej wprost

nia, terror, jakieś wystąpienia wojskowe poniżej progu uruchomienia artykułu piątego NATO, które będą wystarczająco demonstrować, że architektura bezpieczeństwa bez Rosjan jest nie do utrzymania. Ja się czuję bardzo niekomfortowo, jeśli wojska rosyjskie odgradza od Polski tylko strach, że Amerykanie staną [im] na drodze. Bo zasadniczo [wojsk USA] nie ma tu w wystarczającej liczbie, mogą się pojawić,

ale nie muszą. Mogą być tysiące uwarunkowań: wojna na Pacyfiku, kryzys wewnętrzny w USA – i wówczas jesteśmy sami...

Drugi podcast, który wybrałem, jest świeży – z 16 lutego. Rozmowa z historykiem Piotrem Zychowiczem „Czy Polsce grozi wojna?” (650 tys. wejść).

Bartosiak: Z ostatnich nieoficjalnych informacji, jakie do nas docierają, wynika, że straty [wojenne] Rosji i Ukrainy są równe. Zginęło mnóstwo Ukraińców, bo wcale nie jest tak, że Rosjanie są niekompetentni. Oni się teraz zmobilizowali i jeżeli osiągną przewagę liczebną, to będą w stanie zmlócić Ukraińców tak, że państwo nie będzie w stanie utrzymać linii [frontu]. Rosjanie wyjdą na stepy, dotrą do Dniepru (...) i jeszcze dokonają aneksji Białorusi, bo po prostu mogą. Może być rozejm, [który] wymusi Zachód. Ale zarówno Rosjanie, jak i Ukraińcy będą się szykowali do kolejnej fazy. Tylko że tym razem Kijów będzie wiedział, że sami nie dadzą rady, i Amerykanie też to będą wiedzieć. Teraz spojrzmy na mapę: kto jest następny w kolejce? Rosjanie wiedzą, że bez Polski, przez którą przechodzi 80-90 procent wyposażenia na Ukrainę, nie byłoby już tej wojny. Dlatego Polska będzie (...) celem rosyjskiej agresji. Amerykanie będą nas pchali w tym kierunku, abyśmy stanowili zderzak, swojego wojska na Ukrainę nie wyślą: wysyłajcie, kochani Polacy, mięso armatnie na front, bo inaczej my nie będziemy dla was gwarantem bezpieczeństwa.

I na koniec: Rosjanie są przyzwyczajeni do długich wojen i do tego, że zaczynają je źle, nie tylko wojny światowe. Mówią o tym główni specjaliści strategiczni z Rosji: [mamy] początek wojny systemowej, która będzie długa. Rosjanie mają 30 milionów mężczyzn w zasobie mobilizacyjnym, a poparcie dla wojny tam rośnie! Skutecznie przedstawiają swój przemysł na produkcję zbroijną, podczas gdy Ukraina jest gospodarczo zdewastowana. Ukraińcom może wkrótce zabraknąć żołnierzy i amunicji. Ja się bardzo niepokoję, że jakkolwiek rozejm będzie jedynie pieriedyszką, a potem będzie montowane coś z udziałem Polski.

– To są nadal te same tezy co u Sykulskiego, tylko podane bardziej intelektualnie – mówi mi Niemczyk. – Jeżeli je obrać z ozdobników, zostaje przekaz: Rosja może jeszcze wygrać, my tylko stracimy. Ale ozdobniki też mają swój sens. Zychowicz i Bartosiak sprawnie żonglują faktami, ich wywody mogą się wydawać logiczne, a nawet odkrywcze... Dlatego to jest groźne. A biorąc pod uwagę dawne powiązania z NCSS i Kotasem, nie wykluczałbym nawet działania w czyimś interesie.

– Wypowiedzi pana Niemczyka są przejawem galopującej ignorancji i świadczą o braku czytania w fachowej literaturze – odpowiada na zarzut Bartosiak. – Ręce opadają. Ja miałbym być prorosyjski?! Przecież od lat współpracuję z Amerykanami! Moim przyjacielem jest generał Ben Hodges, były dowódca wojsk lądowych USA w Europie, czy generał Philip Breedlove, były dowódca NATO. Nie rozumiem tych absurdalnych zarzutów rodem z polskiego piekielka. Zarzutów stawianych przez ludzi, którzy budowali III RP przeżartą na wylot rosyjskimi wpływami. Najlepsi amerykańscy stratedzy od geopolityki, oficerowie z Pentagonu mówią, to co ja mówię.

– A co pan właściwie mówi?

– Szczerze życzę Ukrainie, żeby wygrała, lecz pobożne życzenia nie mogą zastąpić czynów, realnej pomocy wojskowej zamiast kilku czołgów. Tymczasem Francuzi i Niemcy nie chcą pomagać w pełnej skali, bo nie wiedzą, kto wygra. Do tego przegrała Rosja, czy tym bardziej rozpad, zniszczyłaby aktualny model niemieckiej gospodarki. Ten rozpad jest natomiast w interesie Polski, zaś już niekoniecznie Ameryki, dla której Rosja jest czynnikiem stabilizującym Eurazję i potrzebnym do balansowania rosnącej potęgi Chin.

– Co Polska powinna zrobić?

– Przede wszystkim musimy zbudować wojsko z prawdziwego zdarzenia, lepszy system odporności państwa, co nazywam armią nowego wzoru. Do tego wynegocjować zwiększenie obecności amerykańskiej plus składowanie na naszym terytorium broni atomowej z USA wraz ze środkami jej przenoszenia. Kolejna sprawa: spowodować wysłanie wojsk amerykańskich do państw bałtyckich. Po to, aby Amerykanie umierali w pierwszym dniu, gdyby Rosja rozpoczęła agresję.

Brzmi sensownie. Może Piotr Niemczyk zbyt surowo osądza Bartosiaka? Dzwonię do Brukseli, do Martyny Bildziukiewicz.

– Czy doktor Bartosiak to jest Sebastian Pitoń dla mądrzejszych?

– Nie tak bym go określiła. Dla mnie miernikiem jest wykorzystywanie tez stawianych w Polsce przez propagandę Kremla. O ile w wypadku panów Pitonia i Sykulskiego związki są oczywiste... o tyle w przypadku pana Bartosiaka tego nie dostrzegłam. On jest raczej showmanem, który opisuje prostymi słowami sprawy skomplikowane. Robi to, co populistyczni politycy. A trudne problemy geopolityczne zazwyczaj nie mają łatwych i prostych rozwiązań. Pan Bartosiak jest bardziej sensacyjny, mniej merytoryczny, ale do bycia rosyjskim agentem wpływu jeszcze mu daleko.

Ze styczniowego badania Warsaw Enterprise Institute (WEI) wynika, że „rośnie liczba Polaków o opiniach zbieżnych z rosyjską propagandą”. Badacze przedstawili reprezentatywnej grupie 1061 osób prokremlowskie tezy i zanotowali procent osób, które się z nimi zgodziły.

- „Nie powinniśmy pomagać Ukrainie, dopóki nie pokaja się za Wołyń i nie potępi Bandery” – 30 proc. odpowiedzi „tak jest”.
- „Wojna to spisek liberalnych elit Zachodu, tych samych, które zaplanowały pandemię” – 34 proc. wskazań.
- „Powinniśmy promować pokój nawet za cenę ustępstw terytorialnych Ukrainy wobec Rosji” – 36 proc. na tak.
- „Na pomaganiu Ukrainie się nie skończy. Zostaniemy wplątani w wieloletnie konflikty zbrojne” – 52 proc. ankietowanych
- „Polski już nie stać na uchodźców” – 63 proc. ankietowanych

Podsumowanie WEI: „Dla Rosji to ewidentnie dobra wiadomość, a jej aparat propagandowy zrobi wszystko, by takie postawy w Polakach utrwalił i jeszcze bardziej rozpowszechnić”.

Martyna Bildziukiewicz: Polacy mają prawo oczekiwać pokoju. Zostaliśmy nauczeni, że pokój jest wartością, a wojna – czymś bardzo złym. Niestety, dzisiaj hasło „pokój w Ukrainie” oznacza pokój na warunkach Rosji. Przyszły, takie czasy, że trzeba wspierać wojnę. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Marek Skwarnicki*

Odmowa

*Nie, nie będziecie mieli sztuki.
Nikt nie utrwali waszych twarzy
Nikt nie opíše waszych wzruszeń
Nikt waszych cierpień nie rozważy
i nie zaśpiewa o was nikt.
Zostanie tylko stos papieru
tysiące głuchych telefonów
dyplom i order lub nagany
pokryte wapnem cztery ściany
odpisy waszych świadectw zgonu
a w głębi serca martwy wstyd.*

Nie, nie będziecie mieli sztuki.

*Będziecie mieli tylko władzę
która nie będzie waszą władzą.
Będziecie mogli rozkazywać
o ile rozkaz wam wydadzą.
Będziecie mieli przywileje
większe od wszystkich innych ludzi
a oni będą wciąż się dławilić
w waszej obskurnej obcej nudzie.*

I nie będziecie mieli sztuki.

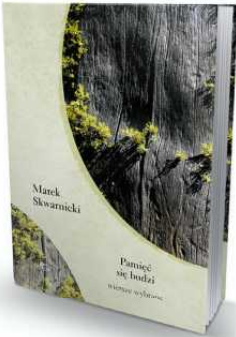
*Ona jest życia córką biedną
Ona osłoną przed potęgą.*

1976



***Marek Skwarnicki** – 1930-2013, poeta, publicysta, reporter, tłumacz. Przez kilkadziesiąt lat związany z „Tygodnikiem Powszechnym”, gdzie m.in. publikował felietony pod pseudonimem Spodek. Przyjaciół i współpracowników Karola Wojtyły / papieża Jana Pawła II.

W dziesiątą rocznicę śmierci Marka Skwarnickiego ukazał się właśnie nakładem Wydawnictwa Znak wybór jego poezji **„Pamięć się budzi. Wiersze wybrane”**, zawierający także niepublikowane dotąd utwory.



Państwo PiS zabiło po raz drugi

Kto niszczy jedno życie, niszczy cały świat.
Dlatego niech ich piekło pochłonie.

Marcin Matczak*



PiS-owscy najemnicy zaszculi Mikołaja, co brutalnie przypomina nam, że faszyzm to zjawisko psychologiczne, nie historyczne. Psychologicznym faszyzmem jest stworzenie państwa, w którym nagradza się za skuteczną agresję – stolkami, kontraktami, awansem. Psychologicznie faszystowska jest partia, która tresuje swoich ludzi jak psy Pawłowa, wysyłając najemnikom udającym dziennikarzy i aktywistów jednoznaczny sygnał do ataku.

Ta tragedia nie jest bowiem wypadkiem przy pracy, ale efektem konsekwentnych działań. Prawnicy wiedzą, że zabić można w zamiarze bezpośrednim. Tak zabija ktoś, kto przynosi nóż na finał Wielkiej Orkiestry i wbija go w ciało człowieka. Ale zabić można także w zamiarze ewentualnym: wtedy, gdy ktoś godzi się na łatwe do przewidzenia konsekwencje w postaci czyjejś śmierci. Państwo PiS zabiło w ten sposób po raz drugi – stworzyło warunki do tej śmierci, użyło nie noża, ale posłusznych sobie ludzi.

Psychologicznie faszystowskie państwo PiS wykreowało otoczenie, w którym łatwiej się wykazać złem niż dobrem. Zaktywizowało rzeszę przeciętnych ludzi, którzy oprócz gorliwej nienawiści nie mają wiele do zaoferowania. Brakuje im talentów i umiejętności, ale potrafią nienawidzić, bo nienawiść to umiejętność do pozyskania najłatwiejsza. I nagle znaleźli się w państwie, w którym ta umiejętność jest na wagę złota. To państwo systemowo zachęca do nienawiści i sowicie nagradza agresję, bo postrzega je jako najrzetelniejsze oznaki poparcia.

W takim państwie dochodzi do głosu zło, które najczęściej nie jest monstualne, ale banalne. Zło, które – jak pisała Arendt – jest brakiem myślenia. To myślenie najemnik deleguje na liderów, a następnie ślepo realizuje wyznaczone przez nich cele i odnosi z tego wymierną korzyść. A ponieważ liderzy nakazują nienawidzić, on gorliwie nienawidzi. Zapatrzony w polityczny cel nie zauważa, że robi coś fundamentalnie złego – przecież on tylko przesłał dalej medialną wiadomość.

Zachował się dokładnie tak, jak tego oczekuje od niego państwo PiS. Państwo, które systemowo wyłącza myślenie, programowo nagradza nielotność Suskiego i prostactwo Kowalskiego. Państwo, w którym Ziemkiewicz aż drży z podniecenia, by napisać publicznie kolejne świństwo i pławić się w podziwie współtowarzyszy – bo w ten sposób udowodnił, jak oddany jest sprawie.

Ten pomysł na psychologicznie faszystowskie państwo ma wiele elementów. Jednym z nich jest pochwała ślepej, niechrześcijańskiej wiary Jędrzejewskiego, która każdą wątpliwość uznaje za herezję. Innym – promocja niemyślenia w szkole, kształtowanej przez Czarnka i kurator Nowak, gdzie zamiast mówienia w obcych językach uczy się strzelania. Budowanie partii wodzowskiej, w której nikt nie śmie skrytykować lidera, a poddani prześcigają się w lizusostwie. Zakaz trudnych pytań na spotkaniach Kaczyńskiego, brak dyskusji i analiz w parlamencie, programowy antyintelektualizm, pochwała konformizmu, otwartość zastąpiona zamkniętością, umysłowe di-

sco polo. Tak tworzy się państwo wyznawców, którzy są gotowi wykonać każdy rozkaz.

Psychologiczny faszyzm PiS najlepiej ilustruje przykład. Argentyński dyktator Jorge Rafael Videla, przywódca przewrotu z roku 1976, należał do pokolenia wojskowych, które dorastało i szkoliło się w czasach głębokiej współpracy między Argentyną i III Rzeszą. Był wychowywany na psychologicznego faszystę, a potem stał się faszystą realnym.

Jedno z ulubionych powiedzeń Videli brzmiało: „Walka, którą podjęliśmy, nie zna granic moralnych”. Świetnie nadaje się na motto PiS. Vidala mówił to samo, co PiS-owscy najemnicy, dzielący nas na prawdziwych Polaków i unieczników polskiego pochodzenia: „Chcę wyjaśnić, że obywatele Argentyny nie są ofiarami represji. Represje są skierowane przeciwko mniejszości, której nie uważamy za argentyńczyków”.

Uwielbiał posłuszeństwo i brak wyjątków od reguły. Podczas pobytu w areszcie wojskowym miał klucz do drzwi i w każdej chwili mógł wyjść na wolność. Nigdy jednak z niego nie skorzystał. Jednocześnie był potworem odpowiedzialnym za zabójstwa, gwałty i za zniknięcie tysięcy przeciwników politycznych. Jednym z jego najpotworniejszych przestępstw było porywanie i przekazywanie do adopcji niemowląt, które urodziły więzione przez reżim, torturowane i gwałcone kobiety.

Ale był także banalny. Christopher Hitchens napisał o nim „chudy oficer z głupimi wąsami, bardzo głupim spojrzeniem, ale i bardzo fanatycznym błyskiem”. „Morderca, oprawca i gwałcieciel, jakby ilustrujący jakieś seminarium o banalności zła. Wyglądał jak kretyn udający szczoteczke do zębów”.

Poszukajcie wśród winnych tragedii Mikołaja kretyna udającego szczotkę do butów i tego udającego uśmiechnięty czajnik. Ale nie lekceważcie ich

Poszukajcie wśród winnych tragedii Mikołaja takich kretynów. Kretyna udającego szczotkę do butów czy tego udającego uśmiechnięty czajnik. Ale nie lekceważcie ich, bo choć sprawcy są pospolicimi, ich czyny są potworne. Najgroźniejsi są idioci, których skutecznie zagrzewa się do walki w imię narzuconych ideałów. A oni udowadniają swoją gorliwość brakiem skrupułów w szczuciu, jak nowicjusz w mafii udowadnia swoją lojalność przestępstwem. To ludzie, z których niewiele można wydobyć, ale zawsze da się wydobyć niegodziwość, bo ta położona jest płytko. A państwo PiS jest mistrzem w odkrywkowym wykopywaniu niegodziwości.

Videla powinien być patronem faszystowskiego państwa PiS. PiS-owscy najemnicy, jak on, żerowali na gwałcie, ukradli dla swojej korzyści życie czyjśgo dziecka, zniknęli je. Videla tysiące, oni jedno, ale kto niszczy jedno życie, niszczy cały świat. Dlatego niech ich piekło pochłonie.

W jego szóstym kręgu u Dantego smażyli się heretycy. Współcześnie ich brakuje, bo religia jest na szczęście za słaba, żeby palić na stosie, a wielość wierzeń czyni herezję anachronizmem. Jest więc wolne miejsce. Może warto tam wtrącić tych, którzy są odwrotnością herezji – ślepych wyznawców. A może są oni tak naprawdę heretykami: odszczepiencami do ludzkiej moralności. Niech smażą się w piekle banalni kretyni, którzy dla osobistej korzyści wyłączyli myślenie. I niech smażą się w tej samej smole ich liderzy.

*Marcin Matczak – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW

Zostawmy sobie jakichś bohaterów

Łatwiej wybaczyć Churchillowi niż własnemu papieżowi?

Magdalena Czyż

Wsluchując się w hałas związany z materiałem Marcina Gutowskiego o tym, co wiedział Karol Wojtyła, przypomniał mi się pewien film dokumentalny o II wojnie światowej i kampanii we Włoszech.

Alianci pod naciskiem Churchilla zgodzili się na lądowanie na południe od Neapolu, w okolicach Salerno. Dla Roosevelta priorytetem była inwazja na Normandię. Churchill zaproponował alternatywny plan, uważając Włochy za słaby punkt okupowanej przez nazistów Europy.

Lecz gdy generał Mark Clark wylądował na plażach pod Salerno, trafił na bardzo silny opór. Straty amerykańskie sięgnęły kilku tysięcy zabitych w kilka dni. Później w górzystych rejonach zachodnich Włoch Clark stracił dziesiątki tysięcy żołnierzy.

Włochy ze swoją topografią okazały się naturalną fortecą, z czego Churchill albo nie zdawał sobie sprawy, albo nie chciał sobie zdawać. A już pomysł na przerwanie Linii Gustawa był misją samobójczą. 36. Dywizja została tam unicestwiona.

Ale Churchill wymyślił, aby wylądować w Anzio, za Linia Gustawa, i odciąć w ten sposób hitlerowców. Alianci znowu posłuchali i wpadli prosto w pułapkę gen. Kesselringa – zalane słoń woda uprawne, które stworzyły doskonałą pożywkę dla komarów malarycznych. W rejonie Anzio wybuchła epidemia malarii, dziesiątkując żołnierzy i miejscową ludność.

Po pięciu miesiącach kampania włoska, strategicznie bezzasadna, będąca pomysłem Churchilla i z uporem wcielana przez niego w życie, zamieniła się w krwawą jatkę, w której życie straciło około 60 tys. żołnierzy alianckich. Podobną liczbę ofiar Churchill ma na sumieniu w związku z jego kompletnie nieudaną operacją w Dardanelach podczas I wojny.

Do czego piję tym przydługim wstępem? Do awantury o Jana Pawła II i pytań, które się w jej ferworze pojawiają. Mianowicie o to, czy Karola Wojtyłę możemy po ujawnionych przez Marcina Gutowskiego i Ekkego Overbeeka materiałach nazywać najwybitniejszym Polakiem XX wieku?

Trafnie jakość tych materiałów podsumował w trzech punktach ks. Kazimierz Sowa: „zupełny brak tzw. krytyki źródła archiwalnych. Dotyczy to zwłaszcza archiwów IPN”; „to ocenia zjawisk i zachowań sprzed kilkudziesięciu laty w optyce naszej dzisiejszej wrażliwości i przede wszystkim wiedzy na ich temat”; oraz: „jego odpowiedzialność za wyjaśnienie sprawy pedofilii inaczej wygląda, kiedy się ogląda i czyta to, co mamy w Polsce, na dodatek z nieudolną i infantylną często próbą obrony z drugiej strony albo mafijnym w powszechnym odbiorze milczeniem naszej hierarchii. Rozmawiając z ludźmi poza Polską, najczęściej słyszę, że wyjaśnienie takiej czy innej sprawy nie musi ani nie może oznaczać kapturowego sądu nad całym życiem”.

Czy miło byłoby mieć bohatera narodowego bez skazy? No pewnie! Ale nie mamy! Czy mamy prawo czuć się dziś rozczarowani? Oczywiście, że mamy! Jan Paweł II, a wcześniej kardynał Wojtyła, w sprawie nadużyć seksualnych w instytucji, którą kierował, nie stanął na wysokości zadania. Zawiódl, i to w ocenie wielu rodaków, jak cholera!

Tylko że Brytyjczycy Churchilla, który również ich w niejednej równie bolesnej sprawie rozczarował, uznali za najwybitniejszego Brytyjczyka wszech czasów, a Polacy, jak widać, są gotowi zniszczyć swojego narodowego bohatera.

W XX wieku mieliśmy dwa nazwiska rozpoznawalne na całym, dosłownie całym świecie: Lecha Wałęsy i Jana Pawła II. Pierwsze nazwisko już zniszczyliśmy, robiąc z niego „Bolka”. Do zniszczenia drugiego właśnie się zabraliśmy.

Brawo my! ●

DLACZEGO PiS UTRUDNIA

Młodzi wyborcy znów wyglądają na zdemobilizowanych. Starsi przeciwnie – zmobilizowani jak nigdy

Z PROF. **JACKIEM RACIBORSKIM***
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

Co zrobiłby socjolog z pańską wiedzą, gdyby był Tuskiem? Szefem największego opozycyjnego ugrupowania z poparciem ok. 30 proc. Szedłby pan sam do wyborów czy szukał sojuszników do wspólnej listy?

– Nie mam żadnych praktycznych doświadczeń, wolę mówić z perspektywy eksperta, i to też trudne, bo wiedza dotycząca wyborów jest wysoce niepewna, jak cała wiedza społeczna. I pamiętajmy, proces wyborczy to żywiołowy konflikt polityczny o wysokim natężeniu, w niewielkim stopniu daje się racjonalnie planować i kontrolować.

Tusk zdaje się dobrze odczytywać podstawową emocję społeczną. Jest nią głęboki podział na PiS i anty-PiS, i to od dziesięciu ponad lat. To są pewnego rodzaju tożsamości polityczne, określenie plemiona wcale nie jest tu metaforą.

Mniej więcej jedna trzecia Polaków widzi w PiS swoją partię: narodową, katolicką. Naprzeciwko jest jedna trzecia Polaków, których łączy wręcz nienawiść do PiS, a nie szczególna więź z PO czy sympatia do Tuska. Wspólnota anty-PiS jest w znacznej mierze ufundowana na negatywnej tożsamości politycznej, ale to nie umniejsza jej siły. Zadanie lidera największej opozycyjnej partii to wyrazić i politycznie zorganizować ten konflikt. Sformować koalicję, która wygra wybory.

Czyli jedna lista czteropartyjna, wielka koalicja.

– Tak. Chociaż wydaje się to wariant najmniej prawdopodobny, ale lutowe wyniki sondaży wyborczych mogą liderów partyjnych zaalarmować. Zarysowały się dokładnie takie same tendencje jak te, które doprowadziły PiS do sukcesów w 2015 i 2019 roku. Badanie Kantar Public wskazało na znaczący wzrost notowań PiS i spadek PO, pozostałe formacje pozostały na poziomie dotychczasowym. Jeśli w marcu, kwietniu trendy się potwierdzą, to sprawa będzie przesądzona. Partie opozycji demokratycznej w sumie zdobędą więcej głosów niż PiS, ale wybory przegrają.

Hołownia i Kosiniak-Kamysz od dawna używają argumentu przeciwko jednej liście, że taka była i przegrała, więc nie ma co znowu próbować.

– To nieprawda. W 2019 r., w wyborach parlamentarnych, były trzy listy opozycji demokratycznej: Koalicja Obywatelska, SLD i Razem oraz PSL + Kukiz. PiS dostał nieco ponad osiem milionów głosów, a te trzy ugrupowania o dziewięćset tysięcy więcej.

To samo było w wyborach europejskich w 2019 r.

– Otóż to. Poza listą Koalicji Europejskiej znalazła się Wiosna Biedronia i Partia Razem. Łącznie zdobyły nieco więcej głosów, ale efekt synergii nie mógł w tych warunkach ujawnić się w pełni.

Widzą to publicyści, nie chcą widzieć politycy.

No to się porozumieli i tworzą jedną listę... spraw do załatwienia.

– Dobrze, tylko skuteczność wymaga połączenia porozumienia programowego z porozumieniem organizacyjnym.

Będą trzy albo cztery listy. Koalicja osobno, Lewica osobno i być może Hołownia z Kosiniakiem.

– Jak w roku 2019. Ale to się jeszcze okaże. Od trzech list lepsze byłyby dwie, na przykład KO z PL 2050 i z PSL, a Lewica osobno. Rady Kosiniaka-Kamysza, aby tą drugą była lista KO + Lewica, moim zdaniem są całkowicie nierealistyczne. Sondaże mogą jednak skłonić liderów do zmiany zdania i przyłączenia się do dominującej formacji. Żadna z partii, której notowania systematycznie nie przekraczają 10 proc., nie może być pewna ponadprogowego wyniku. Zarysują się też tendencje, które mogą być bardzo niekorzystne dla opozycji.

Jakie?

– Zaczne od frekwencji. Odwołuję się do sondaży Kantar Public. Mobilizacja jest wyższa niż w analogicznym czasie przed wyborami 2019 roku.

W 2019 roku frekwencja w wyborach do Sejmu i Senatu była relatywnie wysoka i wyniosła 61,74 proc.

– Właśnie, a teraz może być jeszcze wyższa. Pewność swego uczestnictwa w wyborach deklaruje 36 proc. respondentów, „raczej tak” mówi 34 proc., a cztery lata temu było to odpowiednio 24 i 37 proc. To konsekwencja polaryzacji, która teraz jest jeszcze większa niż w 2019 roku. Niepokojące z punktu widzenia wyniku opozycji są wzory zróżnicowania frekwencji. Młodzi wyborcy znów wyglądają na zdemobilizowanych, po chwilowej aktywizacji w wyborach prezydenckich. Starsi przeciwnie – zmobilizowani jak nigdy. W miastach i na wsi chęć uczestnictwa jest podobna. Emeryci i renciści równie często deklarują udział w wyborach jak grupa o najwyższej zazwyczaj frekwencji, czyli – kierownicy i specjaliści. Wyborcy o orientacji prawicowej zdecydowanie częściej niż inni deklarują pewność swego uczestnictwa w wyborach.

Żadna z partii, której notowania systematycznie nie przekraczają 10 proc., nie może być pewna wejścia do parlamentu

W wyniku zmian demograficznych przybywa wyborców najstarszych i w efekcie rośnie dysproporcja między najmłodszymi a najstarszymi wyborcami. Od 2011 r. trend jest wyraźny, w 2019 r. osoby w wieku dojrzałym były już grupą ponaddwukrotnie liczniejszą od młodzieży.

– I dodajmy, prawie 60 proc. wyborców w wieku 65 lat i powyżej deklaruje głosowanie na PiS. Ale może młodzież da się obudzić, w styczniowym badaniu Kantara z deklaracjami uczestnictwa w tej grupie nie było tak źle jak w lutowym. Poza tym Koalicja Obywatelska utrzymuje przewagę nad PiS w grupach wiekowych aż do 55. roku ży-

cia. Powrót tematu aborcji może być impulsem profrekwencyjnym dla młodszych obywateli.

Czy zmiany, które PiS wprowadził do kodeksu, pomogą mu wygrać, bo np. wzrośnie frekwencja tam, gdzie tradycyjnie PiS ma silne poparcie?

– Taka jest ich intencja. Są obliczone na mobilizację zwolenników obozu rządzącego i utrudnienie głosowania dla potencjalnych przeciwników, zwłaszcza przez ograniczenie głosowania korespondencyjnego i za granicą. Ale w ogóle paskudna jest praktyka zmian w takim trybie i tak instrumental-

nych. W stanowisku Fundacji Batorego, którego jestem współautorem, napisaliśmy, że zmiany mające sprzyjać podwyższeniu frekwencji byłyby godne uznania, gdyby były konsekwentne i zaadresowane do wszystkich grup charakteryzujących się podwyższoną absencją.

Czyli?

– Młodych, najsłabiej wykształconych, najstarszych, niepełnosprawnych, mieszkańców wsi i okolic podmiejskich. Właśnie wyborcy z okolic podmiejskich mają często dalej do lokali wyborczych niż mieszkańcy wsi.

A poza tym na wsiach w wyborach samorządowych frekwencja jest wyższa niż w mieście, a głosowanie odbywa się w tych samych lokalach. Czyli nie odległość od lo-



ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI

DEMOKRATYCZNE WYBORY

kalu wyborczego decyduje o frekwencji. To jest mydlenie oczu.

W tych PiS-owskich zmianach chodzi w gruncie rzeczy o wzmocnienie rządowej kontroli nad procesem wyborczym, o wyeliminowanie sędziów z instancji wyborczych, o przejęcie od samorządów list wyborczych, o demobilizację potencjalnych wyborców opozycji, o utrudnienie dokumentowania naruszeń ordynacji wyborczej pod przewrotnymi hasłami zwiększania transparentności wyborów. Wszystko według Orwellowskiego schematu: pokój to wojna, wojna to pokój.

Jedyna sensowna zmiana to zniesienie tych dwóch komisji obwodowych: komisji przeprowadzającej głosowanie oraz komisji ustalającej wyniki głosowania. PiS wprowadził je przed wyborami samorządowymi 2018 r., dwukrotnie wręcz podwyższając koszt wyborów. Absurdalne to było. Ale tę zmianę kodeksu można byłoby wprowadzić w trybie zwykłym, bo nie odnosiła się do wyborów parlamentarnych.

Te zmiany ordynacji, o ile ostatecznie wejdą w życie, nie wywołają bezpośrednich, drastycznych skutków dla opozycji w postaci dużego wzrostu poparcia dla PiS. Mogą nawet sprzyjać mobilizacji obozu antypisowskiego. Budowa struktur nadzoru nad wyborami to szansa na współpracę partii opozycyjnych i organizacji społecznych, aktyw wyborczy może objąć nawet kilkaset tysięcy ludzi.

I to jest potrzebne, ponieważ teraz proces wyborczy jest w pełni kontrolowany przez struktury podporządkowane PiS – od komisarzy wyborczych poczynając, przez Krajowe Biuro Wyborcze i PKW, aż po złożoną z neosędziów Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN, która rozstrzyga ostatecznie o ważności wyborów. Państwo PiS już kontroluje proces wyborczy, a nowelizacja kodeksu wyborczego stwarza dodatkowe możliwości.

A to PiS już oskarża opozycję o zamiar fałszowania wyników.

– Na wszelki wypadek. Wybory w Polsce do tej pory były uczciwe, w tym sensie, że głosy były starannie i uczciwie liczone. Choć ostatnie elekcje nie były fair, wynikało to m.in. z zaangażowania administracji rządowej w proces wyborczy, z ogromnej przewagi mediów rządowych, które całkowicie zaangażowały się na rzecz jednej strony, co zresztą nie uszło uwagi obserwatorom OBWE.

Wybory nie fair są definicyjną cechą reżimów nazywanych demokracjami elektoralnymi, fake demokracjami czy wręcz nowymi autorytaryzmami.

Czyli demokracją PiS-owską?

– Sama ordynacja, nawet po zmianach, nie jest najważniejszym czynnikiem zagrażającym standardom wolnych wyborów. Ogromne zasoby finansowe będące w dyspozycji władzy, potężna TVP o uprzywilejowanym dostępie, m.in. „lex pilot”, orlenowskie media, dziesiątki tysięcy ludzi wyniesionych na świetne posady, które straciliby po zmianie władzy. Przewaga zasobów materialnych PiS, pełna kontrola nad aparatami państwa owocować będą przewagą naracyjną, kontrolą przestrzeni rywalizacji i umożliwić obozowi władzy dość swobodne kreowanie tzw. wydarzeń medialnych.

I to jest powód, by opozycja demokratyczna już zaczęła się dogadywać?

– Najważniejszy powód to, że PiS jest już partią całkiem bliską modelowi partii hegemonicznej, która jeszcze nie odwołała konkurencyjnych wyborów, ale gotowa jest użyć wszelkich zasobów państwa, by je

wygrać. Nie chce zaakceptować zasady, że w demokracji wybory się przegrywa, ale zawsze można się odegrać. Przeciwwstawieć takiej partii jest bardzo trudno.

Wracamy do jednej listy, a może jednak koalicja wyborcza?

– Z koalicją jest pewien problem, o którym rzadko się mówi. Najlepiej się udaje, gdy elektoraty tworzących ją partii są różne. A profile socjodemograficzne i ideowe elektoratów partii opozycji są podobne. Zilustruję na przykładzie Hołowni. Ktoś, kto ma pozyskiwać katolików, ma być wrażliwy na te wartości chrześcijańskie i narodowe i ma takich wyborców odbierać PiS, po-

mierza głosować na nową Lewicę 37 proc., a 34 proc. na KO – czyli niewiele mniej, na Hołownię – 11 proc. Tusk zrobił już wcześniej krok w stronę wyborców Lewicy, chociażby kwestią aborcji.

Zapowiedział, że listy Platformy Obywatelskiej do Sejmu będą bez przeciwników prawa do legalnej aborcji do 12. tygodnia ciąży.

– To jest jeden z czynników identyfikujących szeroko rozumianą lewicę. Świeckość państwa, europejskość, demokracja – to kolejne. Jeśli w sytuacji zaostrzającej się rywalizacji wyborczej i bardzo niepewnego wyniku lider opozycji, zważywszy na ową bli-

PiS jeszcze nie odwołał konkurencyjności wyborów, ale gotowy jest użyć wszelkich zasobów państwa, by je wygrać

winien się zaniepokoić, że na niego chce głosować dwa razy tyle niepraktykujących, czyli ateistów, co regularnie praktykujących. Hołownia w grupie niepraktykujących ma 14 proc., a wśród regularnie praktykujących – 6 proc. Inna cecha: Hołownia ma największe poparcie w grupie kobiet w wieku 35-54 lata, tak samo jak Koalicja Obywatelska. Profile elektoratu Hołowni i Platformy są bardzo do siebie podobne, również gdy bierzemy pod uwagę inne zmienne.

Co w takim razie dzieli? Bo politycznie nie odnaleźli się u boku Tuska.

– Tak, i dlatego Hołownia jest wartością ewentualnego wielkiego bloku, bo byłby tam nie tylko Tusk, ale też Hołownia, Kosiński-Kamysz i Czarzasty. Niechęć niektórych antypisowskich wyborców do Tuska byłaby nieco tłumiona przez obecność lidera ich partii. To świetnie widać po sytuacji PiS-u i Solidarnej Polski. Liderzy nie znoszą się, ale wszystko wskazuje na to, że będą na jednej liście.

Hołownia wysuwa przeciwko jednej liście argument, że cała opozycja straci około miliona głosów, a zmobilizują się wyborcy Konfederacji i zyska PiS, bo po wyborach razem mogą mieć co najmniej 231 mandatów.

– Zupełnie nie wiem, kto mu to policzył i na jakich założeniach oparto te rachunki. Mało znam przykładów koalicji o wyniku ujemnym, a dużo przykładów koalicji superaddytywnych, tzn. takich, których każdy uczestnik dostaje więcej, niż zdobyłby w pojedynkę. Chociażby AWS w 1997 r.

Co z Lewicą? Ma poparcie poniżej 10 proc.

– Sytuacja Lewicy jest trudna, ale wykonała pewien krok integracyjny, który wzmacnia szanse jej przetrwania, nawet jeśli znajdzie się poza koalicjami wyborczymi.

Może być tak, że razem pójdzie PSL i PL 2050, a osobno KO i osobno Lewica. A Lewica ma poparcie 9 proc.

– I na tym przykładzie jeszcze lepiej widać, na czym polega niebezpieczeństwo takiego formatu startu opozycji. Spośród ogółu osób deklarujących poglądy lewicowe za-

skość wyborców, wezwie do integracji wokół najsilniejszej partii i niemarnowania głosu...

A zważmy, że teraz nic nie wskazuje na zdolność Platformy do pokonania PiS, do zdobycia samodzielnej większości, więc koalicja jest konieczna. Jej modelem jest jedna lista, tylko ratunkowo można rozważać jakieś warianty inaczej konstruowanej koalicji wyborczej.

Jedna lista demokratycznej opozycji uruchomiłaby silne efekty psychologiczne. Wszak w sondażach od razu byłaby to formacja zwyciężająca i szybująca prawie na pewno powyżej 40 proc., z perspektywą dalszego wzrostu. Ludzie mają tendencję do przyłączania się do obozu zwycięzcy. Prawidłowość ta znana jest od lat 40. XX w. pod nazwą bandwagon effect. Inny aspekt jednej listy – sprzyjałaby upowszechnieniu w społeczeństwie przekonania, że obecna opozycja nie tylko wygra, lecz także będzie w stanie utworzyć rząd, że jest realistyczną alternatywą wobec władzy PiS.

Co sądzi pan o metodzie Marka Borowskiego, by w każdym okręgu cztery partie – KO, PL 2050, PSL i Lewica – miały te same pierwsze cztery miejsca?

– To jedna z możliwych metod pokonania PiS. Ona może gwarantować tym małym partiom nawet więcej, niż by dostały, startując samodzielnie.

Borowski mówi, że wszyscy poza KO mieliby szanse na 41 mandatów, czyli po każdym mandacie w każdym z 41 okręgów. KO dostałaby najwięcej.

– Ważna jest ogólna idea, bo aż tak konkretnych propozycji Borowski – że po 41 miejsc dla wszystkich koalicjantów – chyba nie składał.

Trzeba pamiętać, że wyborcy wnoszą trochę zamieszania do kolejności kandydatów podsuwanych im przez partie. Siła konkurencji z dalszych miejsc może być taka, że z tych 41 może się zrobić 20, bo mandat kolejno uzyskują kandydaci z największą liczbą głosów. Wyborcy szanują w zasadzie zaproponowaną im kolejność na listach, ale 20 proc. mandatów w poprzednich wyborach obsadzanych było niezgodnie z preferencjami kierownictw partyjnych.

Pomysł Borowskiego dalej się broni, bo przecież partia musi się postarać, aby na swoich premiowanych miejscach wystawić najlepszych kandydatów. Więc jeśli ktoś z dalszych miejsc przeskoczy kandydata z pierwszych czterech miejsc, partia może mieć pretensje tylko do siebie, nie do metody tworzenia listy. Jak wystawi buca, nie może mieć pretensji do Borowskiego.

Istotną zaletą propozycji Borowskiego jest to, że przypisanie pierwszych miejsc ograniczyłoby konkurencję między liderami listy. A ona nawet w warunkach list jednopartyjnych jest ostra i ma liczne negatywne konsekwencje z punktu widzenia partii jako całości.

Afera „willa plus”, „lex Kaczyński”, „lex pilot”, afera NCBiR... A poparcie dla PiS stale – ponad 30 proc. Ba, wśród wyborców PiS akceptacja dla władzy PiS rośnie.

– Rzeczywiście, nic nie wskazuje, by poparcie to mogło się gwałtownie załamać. Chyba żeby wewnętrzne napięcia w Zjednoczonej Prawicy doprowadziły do implozji tej formacji. Wtedy pierwszy ogłosiłbym się przeciwnikiem jednej listy. Anty-PiS straciłby sens.

Śladem depolaryzacji sceny politycznej nastąpiłaby depolaryzacja w społeczeństwie. Raczej marzenie. Silna polaryzacja jest we wszystkich krajach, gdzie władzę sprawują reżimy populistyczne. Polaryzacja, jak widać, jest bardzo korzystna dla tych reżimów. A dodatkowo polaryzacji sprzyjają kryzysy, wydarzenia niezwykajne.

Jest pewne źródło poparcia dla PiS, które może gwałtownie się wyczerpać. Otóż siła PiS po trochu wynika z ogromnej lojalności obywateli wobec państwa jako takiego, dotyczy to ogólnie społeczeństw współczesnych państw narodowych. Ta lojalność, identyfikacja z państwem zawsze jest w jakiejś mierze lojalnością wobec władz tego państwa; nieoczekiwane zdarzenia, epidemie, wojny tylko tę lojalność umacniają. Ale zwykle kryzysy, drożyzna, korupcja, nieudolność rządów, przestępstwa rządzących tę lojalność kruszą.

Marność rządów PiS uwidacznia się w zwyczajnej sytuacji, wtedy widzimy, że nie wszystkie społeczeństwa tak źle przeszły pandemię, że tak trudny jest dostęp do lekarzy, że brak lekarstw, edukacja jest coraz gorsza, skróciła się długość życia, drożyzna, niskie pensje, kolejki w sądach, arogancja władzy.

A opozycji tak naprawdę może pomóc tylko jedno: upowszechnienie się przekonania, że wygra i przywróci normalność, że to ona będzie państwem. Ma program i przywódców. ●



***Prof. dr hab. Jacek Raciborski**

• pracuje na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor naczelny czasopisma „Studia Socjologiczno-Polityczne”. Autor m.in. książek „Polskie wybory” (Warszawa 1998), „Obywatelstwo w perspektywie socjologicznej” (Warszawa 2011), „Państwo w praktyce: style działania” (Kraków 2017).

BEZ FATALIZMU, PROSZĘ

Władza wie, że nie sprawi, aby ludzie gorliwie ją popierali. Jej wystarczy, że ludzie będą siedzieć w domu

Z FILOZOFEM PRAWA, KONSTYTUCJONALISTĄ **WOJCIECHEM SADURSKIM*** ROZMAWIA **WALDEMAR PAŚ**

„Demokracja na czarną godzinę”, czy to nie smutny tytuł?

– Ale w Polsce właśnie wybiła czarna godzina. Postanowiłem zaproponować czytelnikom dość całociowe podejście do tego, co się stało w kraju, ale także w relacjach z Unią Europejską, też na tle światowego kryzysu demokracji. Także w związku z demontażem poszczególnych instytucji, np. dawniej istniejącym Trybunałem Konstytucyjnym.

Najważniejsze wnioski?

– Polska nie jest przypadkiem unikatowym, jesteśmy częścią ogólnoswiatowego tąpnięcia demokracji. Niepodobnego do autorytarnych ruchów przeszłości, bo jego motorem jest władza, która swą legitymację wywodzi z wolnych i w miarę uczciwych wyborów. W czasie pierwszej, czasem drugiej, a nawet i trzeciej kadencji, jak w przypadku Węgier, władze rozmontowują kolejne mechanizmy demokratyczne.

Patologia demokracji, która w Polsce następuje szybko od końca 2015 r., ma charakter całociowy. Czego dotknie się władza prawicy, tam postępuje demontaż. Zwykle mówimy o sądach, w szczególności TK i SN. Ale trzeba też widzieć, co dzieje się w prokuraturze, komisjach wyborczych, służbie cywilnej. Weźmy pod lupę tryb ustawodawczy z kompletnym marginalizowaniem opozycji wbrew zasadom demokracji przedstawicielskiej. Poszczególne elementy tej całości mogą czasem wydawać się mało istotne, ale liczą się ich wzajemne wzmacnianie się, interakcje między nimi.

I co to oznacza tu i teraz?

– Nic nie jest w historii przesądzone raz na zawsze. Ponieważ patologia demokracji ma umocowanie w wyniku wyborów, należy użyć instrumentów demokracji przedstawicielskiej, czyli wyborów, ażeby odsunąć od władzy Zjednoczoną Prawicę.

To się wydarzy?

– To możliwe, choć bardzo trudne. Decyzja w dniu wyborów jest tylko uwieńczeniem dłuższego procesu. I teraz, jeżeli ktoś zgodzi się z moją diagnozą choroby demokracji, należy się zastanowić, jaka strategia może odwrócić tę niebezpieczną trajektorię.

Jesteśmy w punkcie przejściowym. A czasy przejściowe nie trwają bardzo długo.

Polska może stoczyć się dalej, do poziomu modelu węgierskiego, a nawet rosyjskiego czy białoruskiego. Może też wrócić do punktu wyjścia, nie idealizując go oczywiście, czyli do demokracji liberalnej i konstytucyjnej, jaka dominuje w Europie Zachodniej. Więc bez fatalizmu, proszę.

Co my, obywatele, możemy zrobić, aby odwrócić negatywny trend?

– Zacznę od elit politycznych, ich rola jest kluczowa w demokracji. Przed nimi trzy wielkie zadania. Po pierwsze, nawoływanie do jak największej frekwencji, gdyż wszystkie badania wskazują, że w państwach o słabej demokracji wyższa frekwencja działa na korzyść sił prodemokratycznych, a przeciwko siłom autorytarnym.

Po drugie, jedność sił politycznych demokratycznych, przejawiająca się we wspólnej liście i we wspólnocie w kampanii. Po trzecie, co jest najtrudniejsze, wypracowanie programu, który przekona społeczeństwo o sprawczości opozycji. Sprawczość jest kluczowa, gdyż to wizerunek rozmieniania i dezorganizacji jest głównym wrogiem opozycji demokratycznej.

A co do aktywności obywateli – ważna jest aktywność środowisk zawodowych, np. inicjatywy takie jak Wolne Sądy albo Komitet Obrony Sprawiedliwości wśród prawników.

Nie możemy zapomnieć o aktywnościach obywatelskich i samoorganizacji – uczestnictwie w demonstracjach, zebraniach wyborczych. Polacy i Polki dali temu świadectwo masowo i wielokrotnie, tylko że te świadectwa nie przekształcały się w trwały ruch masowy, np. wielki ruch kobiet protestujących przeciwko decyzji trybunału magister Przyłębskiej o aborcji czy wcześniej w obronie wolnych sądów.

W swoim i polskim interesie Koalicja Obywatelska powinna być wielkoduszną i proponować innym dobre miejsca, nawet więcej, niż wynika to z proporcji sondażowych

Sądzę, że te ruchy są trwałe, bo zostają całkiem liczne struktury, tyle że z jakiegoś powodu, z biegiem czasu, podlegają marginalizacji. Ludzie wychodzili masowo na demonstracje, dopóki wierzyli, że one coś zmienią. Nie udało się. Apatia się pogłębia, coraz głośniej mówi się o powszechnej depresji. Wielu myśli: po co walczyć?

– Nie znam się na sprawach klinicznych czy medycznych. Natomiast mam obawę co do opisaną przez pana apatii, bo takie podejście jest samospelniającą się przepowiednią. W tym sensie nie jest niewinne. Jeżeli uznamy, że nic się nie da zmienić, to tak będzie. I władza żeruje na społecznej apatii. Władza wie, że nie doprowadzi do tego, aby ludzie

gorliwie i aktywnie ją popierali. Jej wystarczy to, że ludzie będą siedzieć w domu.

Pamiętam, że u schyłku PRL o demokrację walczyła garstka działaczy opozycyjnych. Większość mojego otoczenia była absolutnie obojętna. Dziś przez 8 lat też się przyzwyczajamy, że da się żyć bez Trybunału Konstytucyjnego. Trwa sen o małej stabilizacji, ludzie zaciągają kredyty, kupują auta, jeżdżą na narty za granicę, póki jeszcze pada tam śnieg.

– Analogie między dzisiejszą rzeczywistością a schyłkowym PRL są uderzające. Tamta i ta władza stawiała na społeczną apatię, obie wyczerpały w dużej mierze możliwości kupowania społeczeństwa dobrami ekonomicznymi. Obie oparły się na korupcji o charakterze klientelistycznym – w dzisiejszych warunkach wyraża się słynnym powiedzeniem: wiemy, że kradną, ale z nami się dzieli.

Na szczęście tu analogie z późnym PRL się kończą. Istnieją autentycznie niezależne media, demokratyczna, instytucjonalna opozycja i wreszcie należymy do Unii, która ma rozmaite metody wpływania na choćby ochronę praworządności. Zatem nie frasujemy się zbyt. Wykorzystujemy atuty, które mamy.

Nie nawołuje pan do ulicznej rewolucji?

– Jestem prawnikiem, wierzę w procesy prawne i konstytucyjne. A one zależą od społeczeństwa obywatelskiego.

W pewnej mierze winę za brak odpowiednich sygnałów mobilizacyjnych ponosi opozycja. Bo wyborcy mają dysonans poznawczy, skoro partie, które są nadzieją na odwrócenie trendu autorytarnego, nie głosują przeciw projektom niekonstytucyjnym. Jak to? Cały czas słyszeliśmy, że konstytucja jest najważniejsza, a w chwili próby opozycja kieruje się doraźnymi względami pragmatyczno-politykierskimi?

Ludzie zostają więc w domu, bo po co przy takim zachowaniu opozycji mają stać przed budynkami sądów na mrozie czy w deszczu?

Część moich rozmówców, kiedy jest mowa o wspólnej liście, odpowiada: nie wszystkie badania pokazują, że jedna lista to sposób na zdobycie możliwie największej liczby głosów. A kryje się za tym obawa, że wspólna lista to ukryta korzyść dla KO.

– Dla każdego stanowiska można sobie znaleźć odpowiednie badanie i odpowiedniego politologa. Na pewno są tacy, którzy dochowując rzetelności naukowej, są w stanie dowieść, że wspólna lista per saldo się nie opłaca.

Ja, zarówno intuicyjnie, jak i opierając się na literaturze naukowej, uważam, że wspólna lista do obu izb parlamentu jest głównym warunkiem zwycięstwa. Nie gwarantem, ale warunkiem. Potwierdzenie znajdujemy w wielu badaniach z innych państw – wszędzie wspólna lista stanowiła zdecydowanie najważniejszy czynnik przesądzający o przynajmniej czasowym odsunięciu od władzy autorytarnych populistów. Choć nie zawsze się to zdarza, np. ostatnio na Węgrzech.

A co do, nazwijmy go: hegmonia opozycyjnego – być może tak jest, jak pan mówi, że to głównie dla niego korzystne, ale to nie może być cała prawda. Dla małych partii na granicy progu wyborczego koalicja jest warunkiem ich wejścia do parlamentu. W swoim i polskim interesie KO powinna być wielkoduszną i proponować innym dobre miejsca, nawet więcej, niż wynika to z proporcji sondażowych.

Słyszymy też, że wspólna lista zamazuje różnice ideowe między partiami.

– Argument absolutnie niesłuszny. To lista różnych partii, które przedkładają to, co je łączy, nad to, co je dzieli.

Nie jestem zaangażowany w procesy polityczne w Polsce, nie mam pojęcia, jakie czynniki i argumenty ważą o poszczególnych decyzjach. Ale trzeba zabiegać, choć teraz dużo bardziej za zamkniętymi drzwiami, gdyż publiczne wezwania do niczego nie doprowadziły, o wspólną listę opartą na hojnym, wspaniałomyślnym podejściu wobec potencjalnych partnerów, a nie protekcyjnym. Nic jeszcze nie jest przesądzone, do wyborów wiele miesięcy.

Na podstawie jakiego programu budować taki konsensus?

– Da się go łatwo spisać na dwóch kartkach – chodzi o trzy elementy: po pierwsze, demokracja i praworządność, czyli odbudowanie ustroju; po drugie, odbudowanie podstawowych dóbr i usług publicznych dla ludzi, czyli odejście od systemu rozdawnictwa gotówki, który jest dalszą prywatyzacją dóbr publicznych w Polsce. W szczególności edukacja, ochrona zdrowia i ochrona socjalna powinny być dobrami publicznymi na wysokim poziomie. I po trzecie, odbudowanie mocnego miejsca Polski w UE, w tym mieścić się też wsparcie dla Ukrainy. Pod tym wszyscy liderzy są w stanie już dzisiaj się podpisać.

Hasła można w jeden dzień rozpisać na kilka uszczegółowionych podhasel. A następnie wrzucić je na różne formy przekazu, np. billboardy czy social media.

Opozycja powinna zgodzić się na rozwiązania ustawodawcze na pierwsze sto dni rządów. To świadome nawiązanie do zwycięskiego programu wyborczego Roosevelta z lat 30., który dał jego kampanii dodatkowej wiarygodności.

Chciałbym zwrócić uwagę na motto książki. To zdanie amerykańskiego dramaturga Edwarda Albeego ze sztuki „Kto się boi Virginii Woolf?”: „Pamiętaj, że w demokracji możemy mieć wszystko, czego tylko zechcemy, ale i tak na koniec zawsze dostajemy to, na co zasłużyliśmy”. ●



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Wojciech Sadurski

• profesor filozofii prawa Uniwersytetu w Sydney i Centrum Europejskiego UW, autor książek „Polski kryzys konstytucyjny” i najnowszej, wydanej przez Austerię, „Demokracja na czarną godzinę”.

W czwartek, **16 marca o godz. 19** zapraszamy na rozmowę z prof. Sadurskim w naszej warszawskiej redakcji przy ul. Czerskiej 8/10 (wstęp wolny). Spotkanie poprowadzi Dorota Wysocka-Schnepf. Przed spotkaniem będzie można kupić najnowszą książkę profesora oraz najlepsze książki Wydawnictwa Agora w promocyjnej cenie.



CO MNIE URZEKŁO

Gliniane zamki Sombów

Nie należy przysiądać na ustawionych przed wejściami glinianych „słupkach”, rozniewa to gospodarzy

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK*

P

Podobno tata Somba urzekły samego Le Corbusiera jako przykład architektury funkcjonalnej i estetycznie wkomponowanej w krajobraz. Bo też te wielkie gliniane domy mieszkańców pogranicza północno-wschodniego Beninu i Togo robią na przyjeźdźnych niesamowite wrażenie. Nic dziwnego, że w ostatnich latach stały się jedną z ważniejszych atrakcji turystycznych i pewnie przyczyniły się do wpisania całego rejonu Somba na Listę Światowego Dziedzictwa.

Nie są łatwo dostępne, bo fatalny stan dróg powoduje, że niespieszny przejazd samochodem z benińskiej stolicy Kotonu do prowincji Atakara zajmuje przynajmniej dwa dni. Na miejscu można się zatrzymać w miastach Natitingou albo Boukoumbé, ale najlepiej pojechać do położonej pomiędzy nimi dużej wsi / miasteczka Koussoucoingou, gdzie można znaleźć mówiącego po francusku przewodnika, który poprowadzi piesze wycieczki po okolicy.

Tata Somba, czyli „dom Somba”, to tradycyjny budynek rodzinny, który z zewnątrz wygląda jak miniatura obronnego zamku. Bo też faktycznie takie domy stanowiły proste zabezpieczenie mieszkańców i ich dobytku (łącznie ze zwierzętami) przed atakiem. Początki tej niezwyklej architektury sięgają XVIII w., kiedy część mieszkańców dzisiejszego Burkina Faso (dawniej Górna Wolta) schroniła się w górach Atakara przed ekspandującymi z północy islamistami. Przenosząc się na południe, stanęli jednak wobec innego zagrożenia – polujących na niewolników wojowników Ashanti.

Zabezpieczenie się było tym bardziej konieczne, bo kiedyś osadnictwo składało się z rozproszonych gospodarstw jednodworczych. Tradycja wymagała oddalenia się od domu rodziców co najmniej na odległość strzału z luku. To niby nie jest daleko, bo zachowuje się kontakt wzrokowy, ale trudno było szybko zorganizować skuteczną obronę większego terenu. Doraźnie każda rodzina musiała sobie radzić sama, kryjąc się przed ewentualnym atakiem za glinianymi murami.

Funkcjonalnie słuszne skojarzenie z zamkami pogłębia ze-



FOT. SHUTTERSTOCK

wewnętrzny widok tata Somba, w których wysokie ściany zdają się zwieńczone przez przykryte stożkowatymi dachami wieże obronne. W rzeczywistości są to jednak sypialnie i piękne dwustożkowe silosy podzielone w środku glinianymi ściankami na trzy części. Jedne i drugie umieszczone są na piętrze, czyli na dachu, który przykrywa duży parter, gdzie znajduje się kuchnia, a na noc zamyka się tam małe zwierzęta i drób.

Nieświadomego symboliki poszczególnych elementów przybysza mogą skusić do odpoczynku ustawione przed wejściami gliniane „słupki”, które zdają się zapraszać do przysięgania na nich. Spowodowałoby to jednak gniewną reakcję gospodarzy, którzy w ten sposób upamiętniają zmarłych członków rodziny. Śladem odprawianych ku ich czci rytuałów i składanych im ofiar są pokrywające te idole tłuszcz i przylepione do niego ptasie piórka.

Tata Somba nie mają standardowego kształtu, bo ich wielkość zależy od zamożności gospodarza i liczebności jego rodziny. Każdy budynek składa się jednak z różnej wielkości zestawionych ze sobą walców zgrabnie połączonych w funkcjonalną całość. Okrągłe ściany mają wiele zalet: nie muszą mieć dokładnie wymierzonych proporcji, nie ma problemu z wią-

zaniem narożników, opływowy kształt zwiększa ich odporność na silne wiatry, można je zawęzić ku górze, aby zmniejszyć wielkość dachu.

Przy odrobinie szczęścia można zobaczyć budowę glinianego domu. Materiał budowlany można znaleźć niemal wszędzie – wystarczy rozkopać, a właściwie rozkuć, twardą powierzchnię pomarańczowej gliniastej ziemi i znaleźć to miejsce dużą ilością wody. Po zmięgnięciu gliny dorzuca się do niej piasku i rozdrobnionego siana, które wzmocnią ściany i zapobiegają ich pękaniu w trakcie wysychania. Młodzi mężczyźni przenoszą na ramionach wielkie bryły plastycznej gliny, z której doświadczeni budowniczowie cierpliwie formują ściany na rozrysowanym planie budowli.

Jeżeli ściany mają być wysokie, to wbudowuje się w nie grube gałęzie, które wcale nie muszą być proste. Jeśli dane pomieszczenie ma być zadaszone, to konstruuje się szkielet drewniany, który zostanie obudowany gliną. Ważne jest przy tym zachowanie odpowiedniego tempa budowy, bo przed nałożeniem kolejnej warstwy gliny ta poprzednia musi stwardnieć na tyle, żeby się nie rozpląnęła pod ciężarem tej wyższej. Nie może jednak wyschnąć całkowicie, bo trudno będzie ją związać z kolejnym poziomem. Jest to umiejętność, której nabywa się z doświadczeniem.

Po zakończeniu prac wysokimi ścianami zewnątrz tynkuje się warstwą rzadkiej gliny, w której ryte są geometryczne wzory. Podobne rysunki można zobaczyć u niektórych mężczyzn, których twarze są gęsto pokryte bliznami po wykonanych w dzieciństwie nacięciach – skaryfikacji. Uzyskane tak wzory pozwalają łatwo rozpoznać przynależność nosiciela takiej twarzy do rodzinnego klanu. Tata Somba są więc nie tylko świetnie wpisane w krajobraz, ale też symbolicznie powiązane ze swoimi mieszkańcami. Choć nie spełniają już dzisiejszych wyższych wymagań mieszkaniowych, to wciąż są budowane i użytkowane jako symbole tożsamości kulturowej dumnych z niej Sombów.

Te gliniane zamki są doprawdy urocze. Nic dziwnego, że powstają już wzorowane na nich małe hotele budowane jednak z nowoczesnych materiałów. W Koussoucoingou nie było jeszcze takiej inwestycji, więc zaproponowano nam nocleg w oryginalnym glinianym „zamku”, co jednak okazało się wyzwaniem zbyt dużym nawet jak na turystów zaprawionych w trudach wypraw w tereny mało odwiedzane. Z dolnego pomieszczenia gospodarczego trzeba bowiem wejść na górę po schodkach wyciętych w jednym pniu drzewa, co nawet w dzień wymaga pełnej koncentracji. Do sypialni ulo-

kowanych na szczycie okrągłych wież trzeba się wczolgiwać przez niziutkie wejścia, a w środku można co najwyżej usiąść na rozłożonym bezpośrednio na glinie kocu. Pozornie wygodniejszy płaski dach nie jest niczym zasłonięty, co naraża na nocny atak komarów. Do tego dochodzi brak prądu, toalety i nawet wody. Słuchając naszego marudzenia, gospodarze uśmiechali się z pobłażliwą wyrozumiałością, a potem odesłali nas do pobliskich domków murowanych, ale też okrągłych.

Po wyjeździe z Koussoucoingou długo jeszcze widzieliśmy rozproszone w krajobrazie gliniane zamki Sombów – niektóre już porzucone. Tubylcy dostrzegli ich urzekający wpływ na przyjeźdźnych i lepią ich gliniane miniaturki, które można kupić na lokalnym targu, a czujni hotelarze budują już pierwsze obiekty wzorowane na tata Somba. ●

***Przemysław Urbańczyk** – związany z UKSW i PAN, jeden z najbardziej znanych polskich mediewistów, autor wielu książek, m.in. „Rok 1000: milenijna podróż transkontynentalna”, „Zanim Polska została Polską”, „Mieszko Pierwszy Tajemniczy”, „Co się stało w 966 roku?” i najnowszej „Trudna historia zwłok” oraz kilkuset artykułów.

NASZA EUROPA

Czy to dobry pomysł?

„PRZEPISYWANIE” ROALDA DAHLA,
ŻEBY NIKOGO NIE OBRAŻAŁ

Wydawnictwo Puffin Books i The Roald Dahl Story Company wprowadziły setki zmian w najnowszych wydaniach słynnych (i nie-rzadko wywrotowych) książek brytyjskiego autora. Zaprotestowali czytelnicy, wśród nich Salman Rushdie, a nawet brytyjski premier.

Tommaso Koch, Sergio C. Fanjul

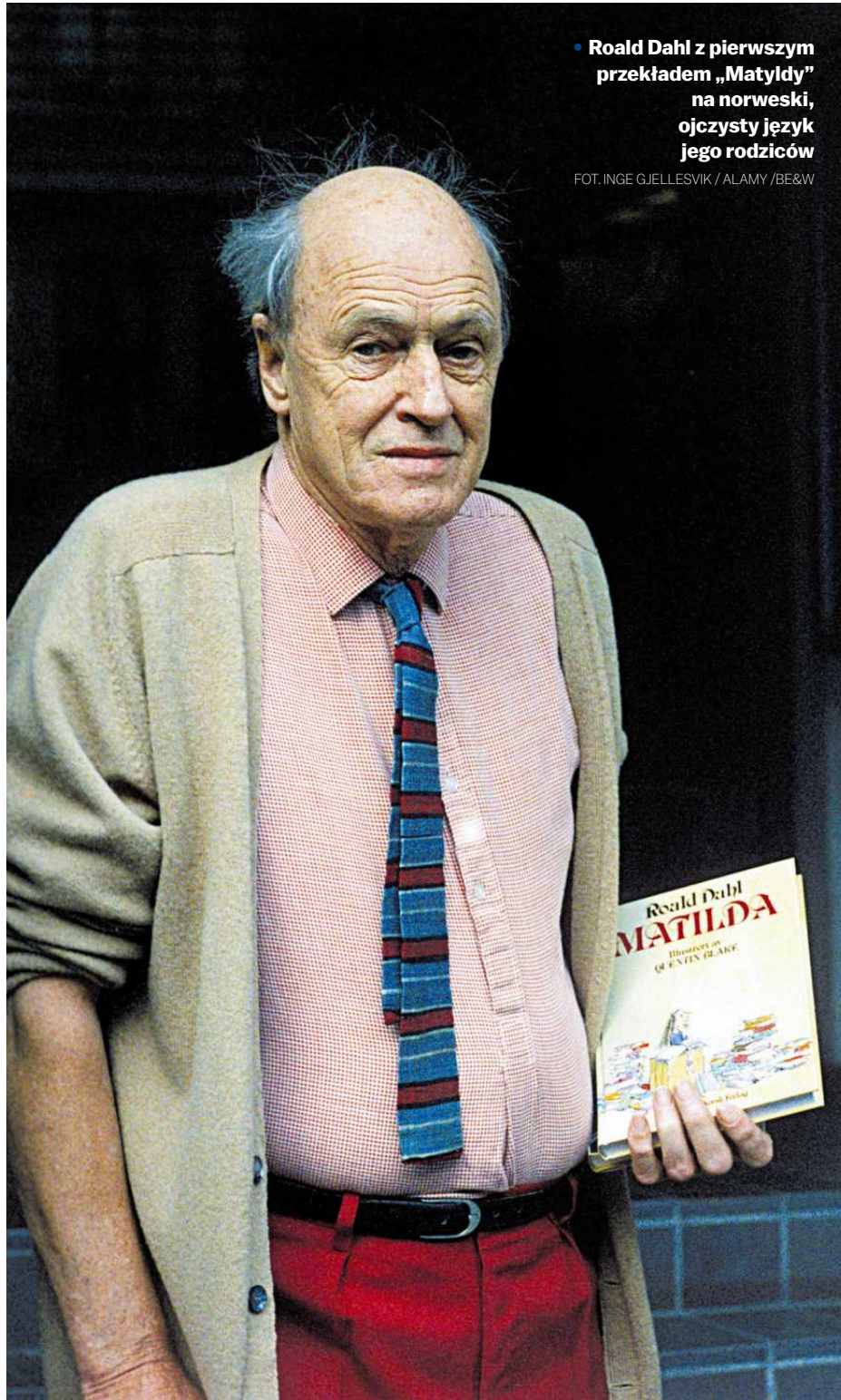
EL PAÍS

Lmiany w oryginalnych tekstach Roalda Dahla dokonane przez jego wydawcę i instytucję zarządzającą jego spuścizną mają stanowić próbę sformowania bardziej inkluzywnego przekazu dla współczesnych czytelników. Tymczasem wywołują raczej oburzenie.

Na przykład pisarz Salman Rushdie zatweetował: „Roald Dahl nie był aniołem, ale cenzurowanie go jest czystym absurdem”. To opinia, z którą zgadzają się tysiące ludzi na portalach społecznościowych i wielu publicystów w prasie na całym świecie. Nawet Rishi Sunak, premier Wielkiej Brytanii, kraju, w którym książki Dahla dla dzieci stanowią istotną część kanonu, oznajmił: „Ważne jest, by dzieła literatury były zachowywane dla kolejnych pokoleń, a nie retuszowane”.

Zmian wprowadzonych w nowych wydaniach są setki, większość z nich dotyczy takich kwestii jak terminy opisujące wagę, pleć, zdrowie psychiczne, przemoc czy kwestie rasowe. Retusze mają „uszanować wszystkie wrażliwości” i dotyczą najsłynniejszych powieści Dahla, od „Matyldy” po „Charliego i fabrykę czekolady”.

Sam autor – ekscentryk, bon vivant, weteran RAF-u – nie ma tu już nic do powie-



• Roald Dahl z pierwszym przekładem „Matyldy” na norweski, ojczysty język jego rodziców

FOT. INGE GJELLESVIK / ALAMY / BE&W

dzenia, gdyż zmarł w 1990 r. Właśnie między innymi z tego powodu niektórzy wątpią nawet w legalność tych poprawek. Na przykład gdyby sprawa miała miejsce w Hiszpanii, na mocy prawa do integralności dzieła zapisanej w ustawie o własności intelektualnej państwo mogłoby nawet podjąć kroki prawne w celu zagwarantowania zachowania oryginalnej formy dzieła.

Panowie w Chmurach z „Jamesa i ogromnej brzoskwini” stracili pleć i są teraz Ludźmi w Chmurach. Część małych lisów z „Fantastycznego pana Lisa” jest lisicami. W miejsce wzmianki o Rudyardzie Kiplingu (pisarzu o szowinistycznych i kolonialnych poglądach) w „Matyldzie” jest Jane Austen. Zniknęło także wiele epitetów, np. Augustus Gloop, chorobliwie ambitny i mający obsesję na punkcie jedzenia chłopiec z „Charliego i fabryki czekolady”, nie jest już „ogromnie gruby”, lecz tylko „ogromny”. Takie m.in. poprawki wprowadzono w wydaniach opublikowanych przez brytyjską oficynę Puffin (imprint giganta Penguin Books) za zgodą The Roald Dahl Story Company zajmującej się zarządzaniem spuścizną pisarza. Jej właścicielem jest Netflix, który nabył prawa do dzieł Dahla w 2021 r.

W reedytowanych powieściach Dahla nie ma już więc „grubych” czy „brzydkich” ludzi, a adnotacja głosi: „Ta książka została napisana wiele lat temu, więc regularnie przeglądamy jej język, aby upewnić się, że wszyscy mogą się nią cieszyć także dzisiaj”.

Netflix nagabywany w tej sprawie przez brytyjskie media odsyła do wydawcy, ponieważ umowa o wydaniu zmodyfikowanych edycji została zawarta przed przejęciem praw do dzieła Dahla przez tę firmę produkcyjno-streamingową.

300 milionów egzemplarzy w 63 językach

W Hiszpanii wydawcą książek Dahla jest duża oficyna Alfaguara, która wyjaśnia: „Posiadamy prawa do dzieł Roalda Dahla na wszystkich rynkach hiszpańskojęzycznych. W naszych wydaniach nie dokonano żadnych zmian. W związku z doniesieniami z Wielkiej Brytanii nasi edytorzy przed wydaniem kolejnych wznowień skonsultują, czy proponowane zmiany i kierunek, jaki one sugerują, są do zastosowania w naszych publikacjach”.

Czy niepoprawność Roalda Dahla warto chronić [komentarz redakcji „El Pais”]

Reedykcja tekstów pisarza to ostrzeżenie przed przerosłem politycznej poprawności, której miejsce w kulturze należałoby przemyśleć.

Decyzja o złagodzeniu kąśliwego stylu książek Roalda Dahla spowodowała presję, pod wpływem której jego wydawca zdecydował się opublikować powieści w dwóch formach równoległe: niezmiennionej i ze zmianami (czyli np. bez określenia „końska twarz” w odniesieniu do wstrętnej dyrektorki szkoły w „Matyldzie”, bez żadnych „grubych dziewczyn”).

Cała sprawa jest niewątpliwym sukcesem działu marketingu wydawcy Dahla, na którego dzieło ponownie zwrócono powszechnie uwagę, ale cała ta debata uwypukliła temat zasadności cenzury jako postępowego gestu, który może pomóc rozwiązać konflikty społeczne czy etyczne.

Rodzice mogą zdecydować się na to, by ich dzieci samodzielnie wykrywały różne napięcia w sarkastycznych lub kąśliwych tekstach, albo mogą wybrać ich maskowanie lub rozcieńczanie w wydaniach uładowanych (ryzykując zapewne, że młodzi ludzie będą wo-

leli „zejść do podziemia” i czytać wersje oryginalne po kryjomu).

Decyzja o rugowaniu pewnych terminów z języka debaty publicznej narodziła się na lewicy w latach 80. XX w. – celem było uwidocznienie poprzez język potrzeby szacunku, na jaki zasługują wszystkie mniejszości (klasowe, płciowe, etniczne), oraz położenie kresu dyskryminacji, która będąc przeźroczystą dla instytucji i społeczeństwa, krystalizuje się w języku. Język sam nie zmienia rzeczywistości, ale pomaga ją zmieniać. Postulat, by opisywać rzeczywistość bez jej stygmatyzowania, był pożądaną

społeczną zmianą: porzucić wykluczającą obelgę i znormalizować życie represjonowanych mniejszości.

To jednak spotkało się z przewrotną reakcją, gdy polityczna prawica, zwłaszcza w USA, przekształciła termin „poprawność polityczna” w karykaturę, by teraz z kolei stygmatyzować domniemane pragnienie cenzurowania ze strony lewicy, celowo zacierając pierwotny cel politycznej poprawności.

Dziś jednak problem, przed którym stoją demokracje, polega na tym, że słuszny cel, jakim jest poszanowanie praw mniejszości, staje się narzędziem purytańskiej

kontroli wolności słowa w sztuce i literaturze, a nawet prowadzi do regresu obywatelskiego.

Tymczasem edukacja demokratyczna nie polega na obkładaniu cenzurą, ale na rozumnym obnażaniu konfliktów w naszych społeczeństwach. Natomiast perwersja poprawności politycznej polega na uczynieniu z niej nowej prawomysłnej i nadopiekuńczej moralności. Przesada w jej stosowaniu jest przeciwieństwem tego, co tradycja oświeceniowa wypracowała na bazie praktycznego rozumu, tolerancji dla odmienności i pedagogiki obywatelskiej. ●

NASZA EUROPA

Książki Dahla zostały przetłumaczone na 63 języki i sprzedady się w ponad 300 milionach egzemplarzy na całym świecie, dlatego pisarz jest uważany za jednego z najważniejszych autorów literatury dla młodzieży w historii.

Jednym z powodów jego popularności jest właśnie transgresyjny i swobodny sposób portretowania i pisania o dzieciach – to jeden z najbardziej uwielbianych elementów jego twórczości, choć sławiącemu krnąbrność autorowi przy różnych okazjach zarzucano również rasizm czy mizoginię.

„Uważnie śledziliśmy debatę publiczną w ostatnich dniach, która potwierdziła siłę książek Roalda Dahla i jeszcze bardziej uprawomocniła pytanie, jak utrzymać znaczenie opowieści z minionej epoki dla nowego pokolenia” – oznajmiła Francesca Dow, dyrektorka wydawnictwa Puffin. W tej debacie głos zabrała nawet żona króla Karola III, Camilla – znana z tego, że prowadzi internetowy klub książkowy – apelując do wydawców o „pozostanie uczciwymi w swoim powołaniu”.

Koncern Penguin (którego częścią jest Puffin), jak oświadczył jego dyrektor Tom Weldon, jest „przywyczaiony do bycia w centrum narodowej debaty kulturalnej, nawet jeśli czasem jest to trudne”. Weldon mówił to, potwierdzając, że czytelnicy jednak „będą mogli wybrać, którą wersję Dahla wolą”, gdy jego książki w obu wersjach – kanonicznej i poprawionej – zostaną ponownie wydane pod koniec 2023 r.

A kolejne dodruki są potrzebne, bo w tej chwili zbiór poprawionych opowieści Dahla osiągnął już drugą pozycję na liście sprzedaży literatury dziecięcej na brytyjskim Amazonie. To także spowodowało komentatorów z branży do snucia podejrzeń, że cała sprawa była wyrachowanym chwytem marketingowym, który miał wpłynąć na sprzedaż książek Dahla jeszcze silniej, niż kolejne ekranizacje, w tym na Netflixie.

Poprawność polityczna czy już cenzura?

„Wydaje mi się, że to jednak przekroczenie pewnej granicy. Mam 42 lata, czytałam książki Roalda Dahla jako dziecko i zrobiłam to ponownie, gdy dorosłam, jako nauczycielka. I ponownie, razem z moją córką” – mówi Be-goña Regueiro Salgado, profesorka literatury dziecięcej i edukacji literackiej na Uniwersytecie Complutense w Madrycie.

„Należę do milionów fanów na całym świecie, którzy od dekad są zafascynowani tymi powieściami w ich oryginalnej formie. To nie jest autor, do którego podchodzi się w wieku czterech lat. Dzieci, które go czytają, mają już zdolność do oceny postaw i zjawisk. Nadmiernie je chronimy, a to im nie pomaga. Wręcz przeciwnie, podajemy w wątpliwość ich zdolność osądu i rozumienia kontekstów. Jasne, że Dahl kompletnie nie uwzględniał czegoś takiego, jak perspektywa genderowa. Zgadzam się, że źle jest nazywać kogoś grubym lub brzydkim, ale przecież to edukacja jest odpowiedzialna za wyjaśnianie młodym czytelnikom kontekstu, w jakim powstaje i jest interpretowane dzieło”.

„Potrzebne jest, aby dorośli – nauczyciele, rodzice, bibliotekarze – którzy są pośrednikami między tekstami a dziećmi, byli w stanie uświadomić kolejnym pokoleniom zaczynającym samodzielne lektury, że świat nie zawsze był taki sam, że ludzkość ma bardzo długą historię i była w stanie poprawić się w pewnych aspektach” – mówi Pilar Núñez Delgado, wykładowczyni w Katedrze Dydaktyki Języka i Literatury na Uniwersytecie w Granadzie, która specjalizuje się również w literaturze dziecięcej.

W zasadzie wszyscy nasi rozmówcy akademicy odrzucają retusze tekstów, podając alternatywne rozwiązania, takie jak dodanie wprowadzenia, które służy do nadania kontekstu, albo przypisów.

Nadmiar moralizatorstwa

Retusze są odrzucane, ponieważ nieuchronnie prowokują pytania o kolejne dzieła z przeszłości. Na przykład: czy należy pomijać fakt, że w czasie rewolucji przemysłowej dzieci były nieuduszko wykorzystywane w fabrykach i kopalniach. – Albo czy przyjdzie czas, kiedy mało wygodne epizody zostaną usunięte z „Don Kichota” – jak mówi Nunez Delgado – albo rasizm i mizoginia wygładzona w dziele barokowego klasyka Francisco de Quevedo, albo piwo imbirowe zastąpione lemoniadą w książkach Enid Blyton. „Wyobraźmy sobie, że w przeszłości co jakiś czas dokonywano przeglądu, aby sprawdzić, czy dane dzieło odpowiada gustom tamtych czasów. Pasowałoby nam, że dziś mamy do czynienia z inną wersją klasyki niż ta, którą wyszła spod ręki jej autorów?” – dodaje Núñez Delgado.

Xosé Ballesteros, szef wydawnictwa Kalandraka zajmującego się literaturą dla dzieci i młodzieży: „Literatura musi być przede wszystkim dobra. Jeśli jakieś dzieła trwają w obiegu publicznym, to przecież nie jest tak bez przyczyny. Poprawianie stylu autorów, którzy nie żyją i nie mają szansy się do tego ustosunkować, to po prostu nie fair”.

Wydawca zauważa też analogię z innym niedawnym protestem, ale wynikającym z całkiem innych pobudek ideologicznych: w 2015 r. ówczesny prawicowy burmistrz Wenecji Luigi Brugnaro zakazał kilku książek dla dzieci z powodu rzekomo głoszonej przez nie „ideologii gender”. Ballesteros określa więc zmiany jako „atak” na książki Dahla i twierdzi, że literatura dziecięca i tak od dawna boryka się z wewnętrzną debatą na temat nadmiaru moralizatorstwa.

„Dahl napisał, co napisał – i tyle. Prawa autorskie wykluczają majstrowanie przy jego dziele” – mówi Carlos Sánchez Almeida, prawnik zajmujący się własnością intelektualną. „Kiedy autor chce użyć danego języka i skojarzeń, aby przekazać pewne idee, niezależnie od tego, czy są one obraźliwe, czy nie, trzeba to uszanować. Bo czytelnicy mają prawo poznać dzieło w takiej postaci, w jakiej zostało wykonane” – dodaje Sánchez Almeida.

Ambasadorzy inkluzywności

Edycja tekstów Dahla została dokonana we współpracy z firmą Inclusive Minds i jej „ambasadorami inkluzywności”, czyli ludźmi o zróżnicowanych, czasem traumatycznych doświadczeniach życiowych, których zadaniem jest wykrywanie miejsc, w których tekst może być „lekceważący dla poszczególnych wrażliwości”.

Zresztą wielu nauczycieli zwraca uwagę, że w miarę jak zmieniają się gusta dzieci, uznają one coraz częściej pewne prze-zroczyste dotąd poglądy za przestarzałe, a niektóre sformułowania za obraźliwe.

Nie jest to pierwszy raz, kiedy twórczość Dahla budzi kontrowersje; jeszcze za życia zarzucano mu mizoginię, amoralność lub rasizm, na przykład w sposobie sportretowania Umpa-lumpów, plemienia małych pomocników Willy’ego Wonki, harujących w jego fabryce czekolady (nawiasem mówiąc, w nowym wydaniu istoty te są neutralne pod względem płci).

Jeszcze większe kontrowersje budził sam Wonka: dziwak zachowujący się, jakby był ponad normami moralnymi zwykłych ludzi, wegetarianin, który uwodzi dzieci zgubnymi słodyczami.

Rodzina Dahla przeprosiła w 2020 r. za jego antysemitckie uwagi: „Były one dla nas niezrozumiałe”, stwierdzili.

Sam Dahl przez całe życie tworzył wariacje na temat swoich opowieści, aby wymknąć się krytyce. Teraz czyni to The Roald Dahl Story Company, która wyjaśnia, że jej intencją było zachowanie „fabuły, postaci, surrealityzmu i kąśliwego ducha oryginalnego tekstu”.

Wyzwanie: jak utrzymać atrakcyjność Dahla, często spójną w licznych przekroczeniach, z nową wrażliwością kolejnych pokoleń? I to bez wiedzy autora. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

Masowe protesty przeciwko Netanjahu

Izrael pęka

– **Milcząca większość płaciła podatki, służyła w wojsku, ale trzymała się z dala od polityki. Teraz ta część społeczeństwa się budzi i dostrzega skalę zagrożenia. Wychodzimy na ulice w obronie zasad, z których zrodził się Izrael** – mówi pisarz David Grossman.

Francesca Caferri

la Repubblica

Grossman to jeden z najważniejszych powieściopisarzy izraelskich, laureat m.in. międzynarodowego Bookera. Wielokrotnie zabierał głos w debacie publicznej. Na przykład w sierpniu 2006 r. wraz z przyjaciółmi, także pisarzami – Amosem Ozem i Awhrahamem B. Jehoszuą – wezwał rząd do zawieszenia działań militarnych w Libanie, które określił jako groźne dla Izraela oraz przynoszące skutek przeciwny do zamierzonego. Dwa dni później jego służący w armii 20-letni syn Uri Grossman zginął w wybuchu rakiety przeciwzołgowej w południowym Libanie. Dziś pisarz wyjaśnia przyczyny protestów przeciw reformie sądownictwa, w których od dziewięciu tygodni uczestniczą wszystkie sektory izraelskiego społeczeństwa.

Od dziewięciu tygodni, w każdą sobotę, setki tysięcy ludzi (ostatnim razem 370 tys., jak podali organizatorzy) wychodzą na ulice, by protestować przeciwko reformie wymiaru sprawiedliwości forsowanej przez rząd Beniamina Netanjahu, który odzyskał władzę po przyspieszonych wyborach dzięki włączeniu do koalicji partii skrajnie prawicowych. Od samego początku protestu Grossman jest jedną z jego najbardziej znanych twarzy, wychodzi bowiem z założenia, że obecna walka toczy się o „duszę Izraela”.



Jest pan zaskoczony skalą obecnej fali protestów przeciwko polityce rządu?

– Nie, bo w tej chwili ludzie w moim kraju obawiają się, że zostanie nam narzucony całkiem nowy system władzy i że istota systemu sprawiedliwości Izraela zostanie podważona, a wraz z nią nieodwracalnie zmieniają się inne kluczowe aspekty naszego życia.

Jeśli reforma postulowana przez premiera przejdzie, Kneset, czyli parlament, stanie się instytucją nadrzedną wobec Sądu Najwyższego, który nie będzie już mógł uchylać ustaw uchwalonych przez parlament, powołując się na zasadę rozsądku i racjonalności stanowionych praw. Przykład: 120-osobowy Kneset będzie mógł uchylać, choćby nawet jednym głosem przewagi, dowolnej treści ustawy wymierzone w mniejszości (w tym izraelskich Arabów czy społeczność LGBT), a te od razu wejdą w życie.

Muszę zaznaczyć, że równowaga trójpodziału władzy w Izraelu jest bardzo krusza: nie mamy spisanej konstytucji, a parlament składa się tylko z jednej izby. Jeśli ta ustawa przejdzie, ten, kto kontroluje Kneset, będzie kontrolował wszystko w tym kraju. Uważam – i tak samo sądzą setki tysięcy ludzi – że żaden kraj nie może efektywnie funkcjonować w sposób demokratyczny, jeśli tylko jeden ośrodek – wykonawczy – sprawuje całą władzę.

Mówi pan o „narzuceniu nowego systemu”, ale przecież koalicja kierowana przez Netanjahu wygrała wybory...

– Oczywiście, różnicą zaledwie 30 tys. głosów w 10-milionowym kraju, ale wygrała. Nikt jednak nie głosował za tą radykalną reformą, w kampanii wyborczej Likud nie zajął się na jej temat: dlatego używam sło-

wa „narzucać”. Izraelscy wyborcy nie wypowiedzieli się w tej kwestii: można było o niej dyskutować, rozmawiać o skutkach, jakie miałyby dla wszelkich mniejszości. To nie przypadek, że – jak pokazują sondaże – także 40 proc. wyborców Likudu, partii Netanjahu, jest przeciwnych takiej reformie.

Dlaczego rząd tak bardzo chce przeformować teraz tę ustawę?

– Netanjahu kieruje koalicją złożoną z najbardziej skrajnych i rasistowskich ugrupowań w historii Izraela: tylko dzięki nim jest dziś u władzy, jednocześnie będąc ich zakładnikiem. A oni dążą do stworzenia autorytarnego reżimu jedynie przebranego za demokrację.

Pańskie słowa są kolejnym świadectwem pęknięcia, które od wielu lat dzieli Izrael. Po jednej stronie są liberalowie, rozbudowana branża zaawansowanych technologii i Tel Awiw jako ośrodek świeckiej wielkomiejskiej elity. Po drugiej: ultraortodoksi, ich zamknięte społeczności, osadnicy na terytoriach palestyńskich, nowi imigranci, m.in. z Rosji, duża część Jerozolimy. Tak jakby w jednym narodzie de facto istniały dwa, których niewiele łączy.

– Na tym polega dramat Izraela: rzeczywistość jesteście krajem ostro przedzielonym na pół. Ale trwające demonstracje dają mi nadzieję, że coś jednak się zmienia. Istnieje milcząca większość, która od lat stanowiła trzon izraelskiego społeczeństwa: płaci podatki, służy w armii, ale odmawiała jak dotąd angażowania się w politykę. Teraz ta część społeczeństwa ocknęła się, a to, co zobaczyła, nie podoba się jej. Mówię m.in. o byłych wojskowych, ludziach pracujących w branży high-tech, ludziach o nawet umiarkowanie liberalnych poglądach. Wszyscy oni pojęli, że jeśli nie przylączą się do obrony podstawowych zasad, na których zbudowano Izrael, to kraj stanie się zakładnikiem tych, którzy te zasady zamierzają wymazać. Rozumieją, że wszyscy będziemy za to płacić wysoką cenę.

Co stało się z Partią Pracy? Partia-zalążycielka Izraela w ostatnich wyborach uzyskała mniej niż 4 proc. głosów. Zniknęli jej wyborcy, czy też ona sama straciła zdolność przemawiania do nich, co zresztą staje się także udziałem innych partii lewicowych?

– Uważam, że ludzie z zasady rodzą się prawicowi: podejrzliwi, terytorialni, agresywni wobec innych. Dopiero długi proces edukacji pozwala im uzyskać większą otwartość. Tylko że łatwo jest pozostać prawicowcem w naszej części świata, w której od ponad stu lat rozlew krwi i absurdaalna przemoc są na porządku dziennym.

Czy obecne napięcia mogą jakoś wpłynąć także na debatę o kwestii palestyńskiej? To temat, który paradoksalnie chyba znika z wewnętrznej debaty w Izraelu, podczas gdy zachodni sojusznicy Izraela przywiązują do niego nadal wielką wagę.

– Trudno jest formułować prognozy. Z tej fazy konfliktu wewnętrznego Izrael może wyjść jako kraj bardziej skrajny i fanatyczny, uwięziony w swoich lękach i agresywnie nastawiony. Ale jest też możliwość, że dzięki protestującym, którzy zwrócili uwagę na moralny aspekt sporu, ludzie zaczną zastanawiać się nad własnym stosunkiem wobec innych, a wtedy nie będą mogli pominąć faktu, że od kilkudziesięciu lat okupujemy terytoria palestyńskie. Może wtedy ludzie zrozumieją wreszcie, że własnymi rękami niszczymy zarówno ich życie, jak i nasze państwo. ●

tłum. Bartosz Hlebowicz

Przez lata środowiska liberalne w Polsce oskarżano o konszachty z postkomunistami. Teraz ludzi tej formacji wini się za uległość wobec Kościoła katolickiego. Rzucając oskarżenia, trzeba mieć jednak na uwadze kontekst historyczny.

Katarzyna Wężyk, opisując niedawno w „Gazecie Wyborczej” perypetie ustawy aborcyjnej, przypomniała, że już w 1992 r. było blisko całkowitego zakazu aborcji, który próbowali przepchnąć pospół prawicowi posłowie i prymas Józef Glemp. Wężyk pisze: „Jeszcze w grudniu 1992 r. taki właśnie kształt miał złożony w Sejmie projekt ZChN. Dopiero tzw. lobby kompromisu, na którego czele był premier, a przy okazji członek Klubu Inteligencji Katolickiej Tadeusz Mazowiecki oraz lider Partii Konserwatywnej Aleksander Hall, przeforsowało niekaralność kobiet oraz trzy wyjątki od zakazu: w przypadku zagrożenia życia i zdrowia kobiety, ciężkiego i nieodwracalnego uszkodzenia płodu oraz gdy ciąża jest wynikiem przestępstwa. Mazowiecki w trakcie prac konsultował się z prymasem. Gdyż w kwestii kobiet oraz ciąży, jak wiadomo, Kościół jest największym ekspertem”.

Niby wszystko się zgadza, publicystka odaje sprawiedliwość Mazowieckiemu, wtedy już byłemu premierowi, że powstrzymał zapędy ZChN, a jednak pobrzmiewa w ostatnim zdaniu zarzut, że Mazowiecki, jako lider partii, śmiał w ogóle rozmawiać z Glempe. Środowisko Unii Demokratycznej, poprzedniczki Unii Wolności, rzeczywiście rozmawiało z przedstawicielami Kościoła, a o tych spotkaniach publikowane były komunikaty prasowe. Nie żyją już ani Glemp, ani Mazowiecki, więc nie możemy ich spytać, o czym rozmawiali. Być może któryś z nich opowiedział o tym na ucho Katarzynie Wężyk?

Jednak stawiam dolary przeciwko orzechom, że te tak zwane konsultacje były próbą przekonania Glempe, by poskromił swoje zapędy. Tak właśnie było choćby w 1991 r., gdy klub Unii Demokratycznej starał się powstrzymać zakaz aborcji, argumentując, że nie jest to skuteczny środek na powstrzymanie zjawiska i należy najpierw zatroszczyć się o stworzenie pomocy socjalnej kobietom. Wtedy posłowie Unii – w tym Józefa Hennełowa z „Tygodnika Powszechnego” – przekonali prymasa, że pomysły penalizacji aborcji są złe, a szykowana ustawa – wadliwa. W klubie Unii byli lekarze, także o poglądach lewicowych, i Mazowiecki miał dostęp do wiedzy specjalistycznej.

POLITYKA: SZTUKA MOŻLIWEGO

Ale dlaczego w ogóle ludzie ci rozmawiali z przedstawicielem Kościoła o kwestiach prawnych i dotyczących zdrowia obywateli? Takie konsultacje polityków z różnymi Kościołami są dość powszechne w Europie i Unii Europejskiej – mają zarówno formalny, zapisany w dokumentach, jak i nieformalny charakter. Parlament Europejski i inne instytucje stale rozmawiają z biskupami i dostojnikami związków wyznaniowych.

W Polsce ponadto decydowały trzy rzeczy: багаż historyczny, światopogląd liderów Unii oraz realny wpływ Kościoła na politykę. Nie tylko wśród polityków Unii dominoowało przekonanie o wielkich zasługach Kościoła w obaleniu komunizmu – podzielałi je nie tylko ci wywodzący się z ruchu Znak, lecz także „chrześcijanie bez Boga” z Jackiem Kuroniem na czele (choć po prawdzie Kościół nie zawsze był tak opozycyjny, jak to się prezentuje). To Adam Michnik w latach 70. XX w. postulował dialog lewicy z Kościołem. Nie tylko obóz posierpniowy liczył się ze zdaniem hierarchów – lewica postkomunistyczna także. Autorytet Jana Pawła II, może poza pismem Jerzego Urbana, nie był przez nikogo kwestionowany. Przypomniał o tym niedawno Adam Michnik w swej obszernej rozmowie z Dominiką Wielowieyską. Gdy Michnik mówi: „Jesteśmy świadkami czegoś nie-



CIENŃ OTWARTEGO KATOLICYZMU

Środowiska kobiece mają pretensje, że „ojcowie założyciele III RP” ich prawa złożyli na ołtarzu reform. Jednak, układając się z Kościołem, wprowadzili Polskę do UE. Kobiety mogą wyjechać za granicę, by dokonać zabiegu, dzięki temu, że jesteśmy w Unii.

Andrzej Brzeziecki*

słuchanego, tu w Polsce. Pod tym samym balonem papieskim w Krakowie, gdzie krzyczano »zostań z nami«, ludzie teraz krzyczą »wy...j.«, to warto pamiętać, że tych, którzy krzyczeli „zostań z nami”, było jednak zawsze więcej. I krzyczeli szczerze. A pewnie niektórzy z nich dziś są wśród demonstrujących przeciw Kościołowi.

Nie można przykładać dzisiejszej świadomości do tamtych czasów. Wielu polityków i liderów środowiska skupionego wokół „ojców założycieli III RP” było zaangażowanymi katolikami uformowanymi w pierwszej połowie XX w., w czasach, gdy dostojników kościelnych całowało się w pierścionki. Zнали polskich duchownych, z wieloma się przyjaźnili, w wielu kwestiach się ich radzili. Dla nich pewne rozwiązania ustrojowo-społeczne doby PRL, jak wyrugowanie religii ze szkół czy właśnie legalność aborcji, były elementem komunistycznego systemu. Dlatego nie moż-

na patrzeć ahistorycznie. Weźmy taki paradoks: Mazowiecki broniący za Gomułki nauczania religii w szkołach opowiadał się za swobodami obywatelskimi, ale w 1990 r., przywracając religię do szkół, postępował dokładnie przeciwnie.

Oczywiście trzeba pamiętać, że byli tacy, którzy już wtedy protestowali przeciw wprowadzeniu religii do szkół, generalnie jednak uważano, że to, czego zabraniali komuniści, było dobre.

Biorąc pod uwagę cały ten kontekst, rozumiemy, jak silne i naturalne było przekonanie, że argumentów ludzi Kościoła trzeba słuchać. Wreszcie Kościół sam przekonany o swych zasługach uważał, że ma prawo zabierać głos, a nawet wpływać na polską politykę. Skoro biskupi angażowali się w politykę wcześniej, to czemu nie teraz. Przecież to w PRL powstała komisja wspólna rządu i Episkopatu, to komuniści uważali biskupów za gwarantów politycznego porozumienia z opozycją przy Okrągłym Stole. Wreszcie, nie brakowało polityków, którzy gotowi byli się podeprzeć autorytetem Episkopatu czy Jana Pawła II, na którego wizerunku wówczas nie było większych rys. Gdyby Mazowiecki nie rozmawiał z Glempe, ten znalazłby spokojnie wielu rozmówców w ówczesnym Sejmie. Kościół miał wielką siłę i mogła to być siła pozytywna, ale także destrukcyjna. Mazowiecki zdawał sobie z tego sprawę. Rozmawiając z biskupami, twórcy III RP chronili reformy. Polityka to sztuka możliwości i szukając kompromisu w sprawie aborcji, szukano rozwiązania możliwego. Aborcja była jednak tylko fragmentem większej ofensywy zwolenników „wartości chrześcijańskich” w ustroju państwa. Kościół upadek komunizmu uznał za własny sukces – pojawiło się pytanie, czy walczył z komuną o demokrację, czy jedynie walczył z komuną?

JAN PAWEŁ II I KS. TISCHNER INACZEJ O ABORCJI

O tym, że o kompromis w sprawie przerywania ciąży będzie trudno, przekonano się, gdy w Sejmie pojawiały się projekty ustaw, a głos zabrał Jan Paweł II. Podczas czwartej pielgrzymki w 1991 r. opowiedział się za konkretnym projektem pełnej ochrony życia poczętego. Papież mówił w czerwcu 1991 r. m.in., że „każde dziecko jest darem Boga” oraz że dziecko poczęte jest „ludzką osobą, zatem ma prawo do tego, aby rodzice nie skąpili mu daru samych z siebie, choćby wymagało to od nich szczególnego poświęcenia”.

Zdaniem George’a Weigla, biografy papieża, to polski Kościół popełnił błąd, nie uświadamiając Jana Pawła II, jakie są nastroje społeczne. W efekcie ten skupił się na pouczeniu, a nawet karzeniu i dyscyplinowaniu Polaków, zamiast świętować z nimi odzyskanie wolności.

Czy jego głos mogli zlekceważyć ludzie, którzy go szanowali i wiele mu zawdzięczali? A jednak ludzie ze środowiska Znak i współtworzący Unię Demokratyczną, a potem Unię Wolności weszli w polemikę z Janem Pawłem II. Także ks. Józef Tischner publicznie formułował cokolwiek inne niż papież, bo bardziej empatyczne wobec kobiet, zdanie na temat aborcji.

To właśnie po czwartej pielgrzymce klub Unii Demokratycznej starał się odsunąć prace nad ustawą – ale także chciał powstrzymać referendum w sprawie aborcji. A pomysły referendum wychodziły przecież także z kręgów „ojców założycieli III RP” – choć natpotały sprzeciw Mazowieckiego wspieranego przez Halla.

Dziś ojcom założycielom wytyka się, że zablokowali referendum, gdy większość Po-



• **Kwiecień 1992, protest przeciwko ocenie z religii na świadectwie**

FOT. SEAWOMIR
KAMIŃSKI / AGENCJA
WYBORCZA.PL

laków była za legalną aborcją. Tyle że przewaga ta była niewielka, natomiast gdyby Kościół i prawica wytoczyły wszystkie swe armaty – mogłaby się zachwiać. Wszak wciąż ponad 90 proc. Polaków uważało się za katolików. To strach przed pełną demagogii wojną propagandową między zwolennikami i przeciwnikami zakazu aborcji popychał polityków Unii do poszukiwania kompromisu. Mazowiecki niedawną „wojnę na górze” traktował jako wielki narodowy dramat, za który czuł się także odpowiedzialny. Bał się dalszej polaryzacji społeczeństwa. I jeśli konserwatysta Aleksander Hall, wtedy jeszcze w Unii, chciał powstrzymać konfrontację i dążył do kompromisu, to robił to w imię odpowiedzialności za państwo i zapewne wbrew własnemu światopoglądowi, bo w ramach Unii ścierał się z Jackiem Kuroniem. Tylko jak dziś tłumaczyć takie postawy, gdy politycy grają na podziały i na nich budują polityczny kapitał?

Jeszcze podczas prac nad ustawą ważny działacz Klubów Inteligencji Katolickiej i bliiski przyjaciel Tadeusza Mazowieckiego Andrzej Wielowieyski zgłaszał poprawkę, by dopuścić aborcję z powodu szczególnie trudnych warunków życiowych, chciał także, by kobieta zastanawiająca się nad aborcją miała możliwość konsultacji. Wielowieyskiego popierały lewicowe posłanki UD, ale także Józefa Hennełowa – miał o to do niej pretensje ks. Stanisław Musiał, ten sam, który zbierał cieżgi za dialog z Żydami. Czy Wielowieyski i Hennełowa działali tak zupełnie wbrew Mazowieckiemu, który sam, jako „spinacz” w Unii, nie chciał dopuścić do rozłamu w partii? Po jednej stronie miał Labudę, Frasyniuka czy Kuronia, po drugiej Aleksandra Halla, Hannę Suchocką czy Kazimierza Ujazdowskiego. Efektem była oczywiście niejasność stanowiska partii.

Mazowiecki mówił wiosną 1992 r. podczas zjazdu swej partii, że jako chrześcijanin zdaje sobie sprawę z moralnego znaczenia ochrony życia, ale „w kwestiach prawne u uregulowania tego problemu Unia Demokratyczna jako organizacja światopoglądowo pluralistyczna nie może zajmować stanowiska wspólnego, wszystkich obowiązującego”. Zdawał się na sumienie każdego z członków partii. Rok później na radzie Unii brocił się przed stawianiem go przed wyborem „między Kościołem a demokracją”. Dopusz-

czał różnorodność poglądów członków partii i opowiadał się przeciwko penalizacji aborcji.

KLAUZULA SUMIENIA

Unia Demokratyczna i ludzie podobnie myślący to środowiska różnorodne. Były też w pewnym sensie urzeczywistnieniem idei Michnika o dialogu ludzi lewicy i Kościoła w imię wolności i demokracji. Być może w dojrzalej demokracji Tadeusz Mazowiecki czy Aleksander Hall nie spotkaliby się nigdy w jednej z partii z Jackiem Kuroniem czy Bronisławem Geremkiem. Ale okres budowania III RP był czasem, gdy starano się działać ponad podziałami.

Ważną polityczką tej partii była choćby Barbara Labuda, która angażowała się wraz ze Zbigniewem Bujakiem w akcje społeczne mające na celu powstrzymanie pełnego zakazu aborcji. Trzy dekady temu świadomość na temat wielu aspektów zdrowia człowieka i jego seksualności była naprawdę znacznie mniejsza. Metoda in vitro była nowinką, a kto wtedy w ogóle słyszał o LGBT+? Także aborcja była postrzegana albo prezentowana jako zjawisko naganne, odgrywające rolę li tylko spóźnionej antykoncepcji, a w mniejszym stopniu na przykład zabiegu koniecznego z przyczyn zdrowotnych.

Tragedia osoby, której ciążyą była upragniona, ale wadliwa i grożąca życiu, nie kła w propagandzie prawicowych radykałów. Wiele się musiało zmienić w świadomości Polaków. Ci sami ludzie, którzy uważali „kompromis aborcyjny” z 1993 r. za rozwiązanie bliskie ideału, dziś z reguły mają bardziej liberalne poglądy. To Adam Michnik nie bez racji pisał w 1993 r. na łamach „Wyborczej”: „laicki racjonalista piętnuje chrześcijański stosunek do aborcji także w wersji, która nie domaga się represji. Czyż jednak naprawdę można uznać, że aborcja jest aktem moralnie neutralnym?”.

A przecież sam Michnik i „Gazeta Wyborcza” przez ostatnie trzydzieści lat byli nieustannie atakowani za rzekomą wrogość wobec katolicyzmu i niemal konszachty z samym diablem.

Środowiska kobiece mają pretensje, że politycy, „ojcowie założyciele III RP” kłaniali się biskupom, a przed papieżem klękali, że prawa kobiet, będące przecież prawami człowieka, złożyli na ołtarzu reform gospodarczych. Jednocześnie jednak, układając się z Kościołem, ludzie ci wprowadzili Polskę do

czając aborcję z przyczyn społecznych, i to prawda, że wówczas Trybunał Konstytucyjny, któremu przewodził konserwatywny katolik prof. Andrzej Zoll, tę nowelizację zablokował. Ale, co ciekawe, jego werdykt z wiosny 1997 r., opierający się na Małej Konstytucji, wcale nie był tak jednoznaczny, jak dziś się sądzi i jak to przedstawiało PiS, zakazując niedawno aborcji.

Po drodze to zresztą tamten zdominowany przez SLD Sejm wprowadził w grudniu 1996 r. w ustawie o lekarzach „klauzulę sumienia”, która stała się furtką do podważania „kompromisu aborcyjnego”. Bo jeśli ktoś łamał tamtą ustawę z 1993 r., to raczej przeciwnicy aborcji, a nie jej zwolennicy.

Te okropne Unia Demokratyczna i Unia Wolności rządziły w sumie Polską, jeśli dodać rząd Mazowieckiego, Suchockiej i koalicję z AWS, może jedną pełną kadencję i nigdy samodzielnie. Ich koalicje były chwiejne i wymagały wielu ustępstw. Niemniej od tamtego czasu każda opcja polityczna miała dużo czasu, by wszystko po Mazowieckim i jego partiach naprawić – i „grubą kreskę”, i te zbrodnicze reformy Balcerowicza, i religię w szkołach.

O BOGU TAK, O PIENIĄDZACH NIE

Oskarżenia ludzi pokroju Mazowieckiego o kłanianie się biskupom nie są jednak zupełnie bezpodstawne. Wprowadzenie religii do szkół było błędem, przyznanie swoistego immunitetu Kościołowi było błędem, tak jak przepychanie na chybcika konkordatu przez rząd Suchockiej, którym teraz Episkopat się zasłania, broniąc się przed polskim wymiarem sprawiedliwości. W latach 90. XX w. wiedza o przestępstwach seksualnych ludzi w sutannach była znikoma, ale o zachłanności finansowej Kościoła wiedziano zawsze. Nikt, nawet lewica, nie zdobył się na opodatkowanie Kościoła, zaś dzieje komisji majątkowej rzekomo zwracającej Kościołowi utraczone dobra, to scenariusz na thriller. Ksiądz Stanisław Musiał, którego hierarchowie kościelni tępilili za dialog z Żydami, mawiał ironicznie, że na łamach „Tygodnika Powszechnego” można nawet powątpiewać w istnienie Boga, ale nie można napisać, że Kościół ma lewą kasę.

Dziś jednak padają pytania o to, co działo się w polskim Kościele także przed 1989 r., oraz o zachowanie Karola Wojtyły jako pa-

W latach 90. XX w. wiedza o przestępstwach seksualnych ludzi w sutannach była znikoma, ale o zachłanności finansowej Kościoła wiedziano zawsze

Unii Europejskiej, która gwarantuje swobodę przemieszczania się ludzi. Kościół wówczas poparł integrację europejską. Gdzie byśmy byli dziś, gdyby Kościół uznał UE za cywilizację śmierci i zagrożenie dla niepodległości? Jeśli dziś wciąż kobiety mogą wyjechać za granicę, by dokonać zabiegu, to właśnie dzięki temu, że jesteśmy w Unii.

Kobiety ponadto stanowią w Polsce wciąż większość, a przecież i wielu mężczyzn jest za legalną aborcją. Od tamtego czasu, gdy uchwalano ustawę, środowiska antyaborcyjne nie próżnowały, lobbowały, agitowały, środowiska kobiece chyba za to przespały sprawę i odpuściły edukację społeczną. Przebudzenie nastąpiło cokolwiek późno.

To prawda, że rządząca w latach 1993-97 lewica znowelizowała ustawę, dopusz-

pieza i wcześniej, gdy kierował krakowskim Kościołem, wobec afer w Kościele. Czy środowiska katolicyzmu otwartego o tym, co działo się w Kościele, po sąsiedzku, nie wiedziały? Czy Jerzy Turowicz, o którym Stefan Kisielewski mówił, że z zawodu jest przyjacielem papieża, nie wiedział? A inni? Nie wiedzieli czy wiedzieli, ale milczeli? Być może jako świeccy nie mieli dostępu do tej wiedzy. A księża, czyli insiderzy? Liczni duchowni, którzy bywali w Watykanie za pontyfikatu Wojtyły, pełnili tam odpowiedzialne funkcje albo kierowali innymi kościelnymi instytucjami? Nic nie widzieli, nic nie słyszeli? Żadna odpowiedź nie jest dobra – zwłaszcza jeśli chodzi o duchownych z tego środowiska. Jeśli nie wiedzieli, to jakimiż byli specjalistami od Kościoła, redagując najważniejsze pi-

sma katolickie w Polsce i nie tylko? A jeśli wiedzieli? To jeszcze gorzej. Czasem słychać było, że ten czy inny ważny redaktor, może nawet sam Jarosław Gowin, jeździ do biskupów i naciska na nich, by podjęli stosowne kroki, że ktoś pojechał do Rzymu, rozmawiał z papieżem, przedstawiał dowody itp., ale to wszystko.

Janusz Poniewierski, ważny autor środowiska, przyznał właśnie na łamach miesięcznika „Znak”, że pisząc książkę o pontyfikacie Jana Pawła II, w ogóle nie zadawał sobie pytań, jakie stawia Marcin Gutowski. Bo, pisze Poniewierski, bielmo zakrywało oczy nie tylko papieża, ale wszystkich tych, którzy chcieli w nim widzieć nieomylnego herosa: „rzucaliśmy gromy na tych, którzy niczym biblijni prorocy – przestrzegali nas przed papolatrią i kultem »złotego cielca«”.

Gdy Roman Graczyk, niegdyś publicysta „Gazety Wyborczej” ostro krytykujący Jana Pawła II za próby narzucania państwu katolickiego światopoglądu (przez co rozstał się wówczas z „Tygodnikiem Powszechnym”), opublikował przed dekadą książkę o relacjach „Tygodnika Powszechnego” z komunistami, sformułował w niej zarzut, że liderzy środowiska nie wyjaśnili młodszemu kolegom, jak to naprawdę za komuny było. Graczyk wysnuł chybione oskarżenia pod adresem „TP” o zbytnią uległość wobec partii, ale wspominam o nim tylko po to, by pokazać, że każda epoka zadaje przeszłości inne pytania.

Felieton Katarzyny Wężyk, publicystki „Gazety Wyborczej”, której redaktor naczelny złego słowa o Janie Pawle II nie powie i który przez lata wspierał „otwarty katolicyzm”, jest tego najlepszym przykładem. Dziś pod adresem tego środowiska formułowane jest więc pytanie o to, dlaczego, mając przez chwilę spory wpływ na ustrój Polski, na tak wiele pozwoliło Kościołowi i dlaczego naprawdę nie dokonało rozdziału Kościoła od państwa. Czy byli jedynie naiwni co do intencji Kościoła, czy jednak forowali katolicyzm świadomie? Wiele zarzutów, jak ten, że Mazowiecki radził się Glempa, jest nietrafionych albo ahistorycznych, podobnie jak oskarżanie przez młodą lewicę rządu Mazowieckiego o całe zło dzikiego kapitalizmu w III RP.

Zarazem nie wszystko da się zważyć na ZChN, Radio Maryja, „Nasz Dziennik”, Alicję Grześkowiak, LPR, a teraz na PiS. Brak rozdziału państwa i Kościoła, uprzywilejowanie tej instytucji to także dziedzictwo „otwartego katolicyzmu” i... jego przyjaciół z „Gazety Wyborczej”. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Andrzej Brzeziecki

• historyk i dziennikarz. Autor książek reporterskich i historycznych, m.in.: „Czerniawski. Polak, który oszukał Hitlera”, „Wielka gra majora Żychonia. As wywiadu kontra Rzesza”. Ostatnio wydał „Kocio, Kozioł, Senator. Biografia Krzysztofa Kozłowskiego” (Znak, Kraków 2022). Laureat m.in. nagrody Jerzego Turowicza (2016) oraz Nagrody Klio (2022).



Dzietność spada przez edukację kobiet? Dziś najchętniej dzieci planują Polki z wyższym wykształceniem.

Z DEMOGRAFKĄ I PSYCHOLOŻKĄ
MONIKA MYNARSKA* ROZMAWIA
ALICJA GARDULSKA

Polska to raczej nie jest kraj dla demografów.

– (*śmiech*) A to ciekawie postawiona teza. Ale coś w tym jest. Demografia to w Polsce temat gorący i bardzo intensywnie wykorzystywany w dyskursie politycznym. Wykorzystywany niestety dość powierzchownie.

Mam wrażenie, że nikt was nie słucha. Choć jesteście dość cyklicznie odpytywani przy każdej publikacji danych na temat dzietności.

– Śmiejemy się wtedy, że znowu wszyscy się obudzili, że urodzenia spadają.

Bo spadają. W 2022 roku urodziło się 305 tys. dzieci, o 141 tys. mniej niż rok wcześniej. I, jak podał GUS, to najmniej w powojennych czasach.

– Tak, tylko nie ma w tym nic zaskakującego. Od lat mamy w Polsce do czynienia ze spadkiem wskaźników urodzeń, które około 2004 roku wyładowały na dramatycznie niskim poziomie. Potem było kilka wahan, kilka delikatnych wzrostów, ale także wpisyjących się w prognozy demograficzne.

Mówi pani, że „katastrofa demograficzna” to pomylenie pojęć.

– Tu trzeba oddać sprawiedliwość pani prof. Irenie Kotowskiej, bo ona to podkreśla. A ja za nią. Katastrofa to coś nagłego, nieoczekiwane. A my mamy liczby, wskaźniki, dane i potrafimy je czytać. Nie ma tu szczególnie nieoczekiwanych zwrotów akcji.

A co panią drażni w dyskusjach na temat dzietności?

– Może panią zaskoczę, ale mnie w ogóle irytuje to, że ciągle dyskutujemy o tym, co zrobić, żeby się rodziło więcej dzieci.

Dlaczego?

– Bo rodzi się nas coraz mniej. To jest fakt. I nie da się ot tak odwrócić tego trendu. A my cały czas upieramy się, że ma być inaczej, że duża populacja i rodzenie dzieci są dobrem samym w sobie. Dzieci mają być remedium, które uratuje system. A nas będzie mniej i kropka.

Czas przestawić dyskusję na inne tory. Postawić inne pytania. Pierwsze: jak ułatwić życie parom, które chcą mieć dzieci. I drugie: co zrobić, by przy spadającej dzietności nie zapadła się gospodarka i system emerytalny.

Mam wrażenie, że polskie podejście do dzietności jest dosyć przemocowe. Jakbyśmy nie zauważali, że w kobietach, ale i szerzej – w społeczeństwie – zaszła zmiana, i chcieli ją na siłę odwrócić.

– Dokładnie. Mamy do czynienia z trwałą zmianą, trendem, który mogłaby odwrócić tylko jakaś rewolucja, a na to się nie zanosz. Proszę spojrzeć na to w kategoriach historycznych, cofnąć się do XVII, XVIII wieku. Nie ma kontroli urodzeń w dzisiejszym rozumieniu. Mamy wysokie wskaźniki urodzeń, ale ogromna liczba niemowląt umiera, a i potem dzieci z trudem dożywają do

trzeciego, piątego, dziesiątego roku życia. W ogóle niewiele dożywa sędziwego wieku z powodu chorób, wojen itd.

Wraz z rozwojem nauki wchodzimy w dynamikę czegoś, co w nauce nazywamy „pierwszym przejściem demograficznym”. Coraz lepiej umiemy zadbać o zdrowie matek i dzieci, poprawia się sytuacja medyczna, spada umieralność – szczególnie umieralność niemowląt, z czasem uczymy się bardziej racjonalnie, z rozmysłem decydować, ile dzieci chcemy mieć i kiedy.

Uważano, że ten etap zakończy się mniej więcej w połowie XX wieku. Po II wojnie światowej, w latach 50., 60. oczekiwano, że reżim demograficzny unormuje się na poziomie około dwójki dzieci na rodzinę, może trochę więcej. Liczono na utrzymującą się prostą zastępowalność pokoleń. Ale tak się nie stało. Okazało się, że wskaźniki urodzeń nadal spadają dużo poniżej zastępowalności pokoleń. Weszliśmy w coś, co nazywamy drugim przejściem demograficznym.

Pierwsi opisali to Holendrzy, w późnych latach 80. Zauważyli, że procesy demograficzne zmieniły swój charakter. Wskaźniki urodzeń spadły poniżej magicznej liczby dwójki dzieci na kobietę. Młodzi ludzie zaczęli zakładać rodziny później, niekoniecznie zawierając związki małżeńskie. Znacząca część literatury demograficznej lat 90. i pierwszej dekady XXI w. koncentruje się na wyjaśnianiu niskiej dzietności. Dyskutowane są różne wątki, ale bardzo silny nurt z tamtego okresu mówi, że kobiety zyskały prawa w sferze publicznej, prawo głosu, pracy, wyszły z domów. Tyle że po ich stronie nadal zostały obowiązki domowe. I dopóki role kobiece i męskie się nie wyrównają, zarówno w sferze publicznej, jak i prywatnej, to dzietność będzie niska.

Rozumiem, że Polska jest dokładnie w tym samym miejscu?

– Mniej więcej, choć u nas to, co nazywamy drugim przejściem demograficznym, zaczęło się później niż w Europie Zachodniej, za to dużo bardziej gwałtownie. Procesy zachodzą u nas trochę inaczej, ale ogólny kierunek tych zmian jest identyczny.

W Polsce wskaźniki urodzeń spadają systematycznie od lat 80. Mamy więc za sobą czterdzieści lat zmian demograficznych. A ciągle oczekujemy, że pary będą myślały o prokreacji jak wtedy, kiedy był jeden dominujący model życia. Małżeństwo, dzieci, przydział na mieszkanie, praca, która każdemu się miała należeć.

Mamy się cofnąć w rozwoju? Albo podłapać to, co mówią Węgrzy, gdzie raptem się okazało, że wszystkimu winna jest edukacja kobiet? Owszem, kiedyś ogólnie kobiety były mniej wykształcone i równocześnie rodziło się więcej dzieci, ale sam fakt edukacji nie sprawia, że kobiety nagle przestają myśleć o potomstwie. Tym bardziej że dziś w Polsce najchętniej dzieci planują kobiety z wyższym wykształceniem i z dużych miast. Więc o czym my mówimy?

Nie da się namówić do założenia rodziny kogoś, kto tego nie chce, tak samo, jak nie da się do tego zniechęcić kogoś, komu na założeniu rodziny bardzo zależy. Można pomóc lub utrudnić.

A gdybyśmy odwróciły pytanie i powiedziały, co motywuje kobiety do zajścia w ciążę?

– To zabrzmiałoby jak truizm, ale po prostu chęć posiadania dziecka. Wiemy to z badań dotyczących osób bezdzietnych, w których szukaliśmy tego momentu decyzji o byciu rodzicem. Myśl o zostaniu mamą łączyła się u badanych kobiet z przeświadczeniem, że

mając dziecko, będą się czuły potrzebne, będą miały kogoś do kochania i będą kochane, będzie to pozytywne emocjonalnie doświadczenie. Zresztą, co ciekawe, u mężczyzn jest podobnie. Różnica polega tylko na tym, że panowie przywiązują większą wagę do późniejszego etapu rozwoju dziecka. Kiedy pytamy kobiety, co dla nich jest najlepsze w posiadaniu dziecka, mówią o tuleniu noworodka i poczuciu bliskości. Mężczyźni zaś o dziecku, z którym będzie można się bawić, wybrać na plac zabaw itd.

Nie ma w tych odpowiedziach tego, że chcieliby kogoś, kto by na ich emeryturę pracował. Owszem, niezwykle rzadko, ale zdarzają się wątki tej przysłowiowej szklanki wody na starość, ale chodzi po prostu o to, by nie być samotnym w podeszłym wieku.

Co jeszcze wynika z tych badań? Według szacunków nawet 20 proc. kobiet może nie zostać nigdy matkami. Jakie są powody?

– Nie ma jednej odpowiedzi. Możemy, nieco upraszczając, podzielić bezdzietne kobiety na trzy grupy.

W pierwszej są te, które bardzo chciały mieć dzieci, ale nie mogły z powodów medycznych. I nie chodzi wyłącznie o niepłodność, ale także o bardzo różne przewlekłe choroby, począwszy od takich schorzeń jak stwardnienie rozsiane czy nowotwory, a na depresji skończywszy.

W drugiej grupie widzimy kobiety, którym tak się po prostu życie ułożyło. Napotkały różnego rodzaju trudności: w stworzeniu związku, w założeniu rodziny, w pracy. Chodzi o takie życiowe okoliczności, które nie pozwoliły im zdecydować się na dziecko.

Chodzi też o to, że nie znalazły odpowiedniego partnera?

– Też. Rzeczywiście najbardziej różnicującym czynnikiem pomiędzy kobietami, które mają i nie mają dzieci, jest kwestia partnera. I nie chodzi tylko o to, czy są w związku, ale też jaki ten związek jest. Mogły czuć się w nim za mało bezpiecznie, by zdecydować się na dziecko. Albo związać się za późno, by jeszcze móc urodzić. Ale faktycznie posiadanie stałego partnera sprzyja decyzji o dzieciach.

A trzecia grupa?

– To kobiety, które w mniejszym lub większym stopniu podjęły świadomą decyzję o tym, że nie chcą być matkami. Widzimy, że liczba takich wyborów w ostatnich latach rośnie – a przynajmniej kobiety bardziej otwierają się do nich przyznają. To kobiety, które albo skoncentrowały się na innych celach w życiu, albo z innych powodów – na przykład obaw o przyszłość swoich potencjalnych dzieci – podjęły decyzję, że lepiej będzie pozostać bezdzietną.

Powiedziała pani, że ważne jest bycie w związku. A czy ma znaczenie, jaki to jest związek? Ze wstępnych danych ze spisu powszechnego widać, że nadal 72 proc. rodzin stanowią małżeństwa. Choć liczba związków nieformalnych rośnie lawinowo. Mamy ich dziś 553 tys., dekadę temu było 317 tys.

– Jeśli chodzi o dane GUS-u, to trzeba pocze-

kać na szczegóły dane, żeby z pełną stanowczością je komentować. Ale jeśli pani

mnie pyta, czy małżeństwo sprzyja posiadaniu dzieci, to odpowiadam: w Polsce nadal tak. Tyle że, po pierwsze – znaczenie małżeństwa spada, a po drugie – ma ono znaczenie przy planowaniu pierwszego dziecka, później już nie.

Badania pokazują, że para, która jest w związku nieformalnym, ma już dziecko, sprawdziła się i czuje się ze sobą bezpiecznie, nie będzie potrzebowała formalności do tego, by planować kolejne. Z punktu widzenia posiadania potomstwa, w modelu idealnym, wskazany jest stabilny związek. A związek małżeński ciągle wielu osobom w Polsce kojarzy się ze stabilnością. Choć i to się powoli zmienia.

Czyli Strategia Demograficzna 2040, którą rząd PiS pokazał w 2019 roku, a która stawia na pomoc wyłącznie małżeństwu, to nietrafiony pomysł.

– Tu znowu wracamy do tego, czy trudno jest być demografem w Polsce (*śmiech*). Bo jeśli pani mnie zapyta, czy małżeństwo sprzyja prokreacji, to muszę odpowiedzieć uczciwie, że według badań – tak. Tylko że trzeba zrozumieć, co za tym stoi. Bo wiele wskazuje na to, że chodzi o pewną stabilność, z którą to małżeństwo się kojarzy.

W dokumencie, o którym pani mówi, mamy wyciągnięcie z kontekstu jednego wyniku badań i stwierdzenie na tej podstawie: będziemy wspierać małżeństwo, żeby się nas więcej rodziło. Dodatkowo będziemy przeciwdziałać rozwodom. To tak nie działa. Bo autorzy tej strategii przemilczeli nie tylko to, że bardzo dużo dzieci rodzi się obecnie poza związkiem małżeńskim, ale też inne badania, które przykładowo pokazują, że czasem rozwód może sprzyjać posiadaniu większej liczby dzieci. Bo kiedy wchodzimy w nowy związek, to chcemy mieć dziecko z nowym partnerem.

Chcę przez to powiedzieć, że kwestia dzietności jest bardzo złożona i tu nie ma jednej odpowiedzi. Rozumiem, że trzeba ten ogrom ogarnąć, i rozumiem, że politycy muszą szukać pewnych uproszczeń. Tylko nie jest dobrze, kiedy te uproszczenia idą zbyt daleko i są podszyte ideologią.

Porozmawiajmy jeszcze o planach kobiet. Ostatnio mocno komentowane było badanie CBOS, z którego wynikało, że 68 proc. Polek nie planuje dzieci. Szokujące.

– Ale przecież część z tych 68 proc. badanych już ma dzieci! Nie wiemy, ile dokładnie, bo opublikowany raport nie pokazuje tych danych tak szczegółowo. W tej grupie są młode Polki, 18-lletnie, które raczej nie myślą jeszcze o potomstwie, ale też te najstarsze, 45-lletnie, które już nie myślą. Wśród młodych bezdzietnych kobiet ten odsetek wynosi o połowę mniej – 33 proc. Poza tym one nie wszystkie powiedziały, że nie planują dzieci. Część powiedziała: „nie wiem”. Tylko znowu nie wiemy ile, bo obie odpowiedzi zostały połączone w jedną kategorię. Oczywiście, w tych deklaracjach widać pewien wzrost, ale w żaden sposób nie lawinowy czy szokujący.

A czy ma znaczenie to, że CBOS pytał o te plany w połowie 2022 roku, świeżo po wybuchu wojny w Ukrainie?

– No właśnie. Nie możemy zapominać o tym, że jesteśmy po trzech latach pande-

mii i że jeżeli chodzi o warunki sprzyjające posiadaniu dzieci, to wpadliśmy z deszczu pod rynnę. Historyczne dane z różnych krajów pokazują, że po wszelkich katastrofach, kryzysach, zapaściach, pandemiach, następuje odbicie w liczbie urodzeń. W złych czasach ludzie się wstrzymują, zostawiają decyzję o dziecku na potem. W Polsce też tak było, w czasie pandemii rodziło się mniej dzieci, nie tylko ze strachu przed samym wirusem, ale też dochodziła kwestia obciążenia służby zdrowia, izolacji i tego, że kobiety bały się być w szpitalu same, bez partnera. Myśleliśmy, że po pandemii to się zmieni. Ale przyszedł jeszcze większy kryzys.

Czasem rozwód może sprzyjać posiadaniu większej liczby dzieci

Trzeba to sobie powiedzieć wprost: żyjemy w warunkach, które nie sprzyjają prokreacji. Wojna za wschodnią granicą, szalejąca inflacja, duża niepewność ekonomiczna, problemy z dostępnością kredytów (a własne mieszkanie to w Polsce czynnik, który sprzyja prokreacji), wyższe rachunki za ogrzewanie, prąd, problemy ze spłatą kredytów. Do tego kryzys w edukacji, w służbie zdrowia. To nie są warunki, w których chce się rodzić dzieci.

Wszystko, o czym mówimy, mam wrażenie, sprowadza się do tego, że do decyzji o rodzicielstwie potrzebna jest pewna stabilność.

– Dokładnie. Gdyby zapytała mnie pani o to dziesięć lat temu, udzieliłabym podobnej odpowiedzi, tylko mówiłabym o stabilności w kontekście stałego zatrudnienia, możliwości zapewnienia dziecku opieki, żeby swobodnie łączyć obowiązki opiekuńcze i zawodowe, posiadaniu miejsca do mieszkania, najlepiej własnego. Tak wtedy była ta stabilność definiowana.

Ale dziś pojawiły się dodatkowo czynniki, które wprowadzają brak stabilności na zupełnie innym poziomie, którego myśmy dziesięć lat temu w ogóle nie przewidywali. Bo nikt nie przewidywał pandemii, która na dwa lata zamknie nas w domach, ani wojny w Ukrainie, która wywróci nasz świat. Ale też nikt nie myślał wtedy o tym, że rząd wycofa się z programu finansowania in vitro ani że pójdzie w kierunku zaostrzania prawa aborcyjnego. A to też wpływa na poczucie bezpieczeństwa kobiet, które planują posiadanie dzieci. Do tego dochodzi cała paleta lęków związanych z kryzysem klimatycznym.

Myślę, że wiele osób ma dziś w sobie, może nie do końca uświadomiony, lęk przed posiadaniem dzieci. Jak zdołam wychować dziecko w takim świecie?

I teraz nałożmy na to, na cały zestaw lęków, ten – jak pani powiedziała – przemocowy dyskurs, że przychodzi ktoś i mówi: macie rodzić dzieci. Powiem pani szczerze, że gdybym była dwadzieścia lat młodsza, to sama bym odpowiedziała: „o nie!”. Im bardziej będziecie mnie zmuszać, tym bardziej nie.

A co na to mężczyźni? Skupiamy się na decyzjach i planach kobiet.

– Tak, tu jest kłopot, bo twarde wskaźniki demograficzne są liczone w odniesieniu do liczby kobiet. Ale racja, że panów trzeba badać i tych badań mamy za mało. Wiemy za to, że plany kobiet i mężczyzn są mniej więcej podobne. Mężczyźni chętniej niż kobiety myślą o drugim dziecku. Panie są ostrożniejsze. Widzimy, że panowie chcą się coraz bardziej angażować, być aktywnymi ojcami. Dla obu płci ważne są te czynniki emocjonalne, o których mówiliśmy. Ale, co ciekawe, kobiety jednak troszkę bardziej obawiają się kosztów.

Tego, że życie im się zmieni? Że wszystko jednak spadnie na nie?

– I tego, że będą miały problemy na rynku pracy, że będą musiały się wycofać z pewnych aktywności, że spadnie na nie więcej obowiązków domowych. Myślę, że te przemiany związane ze społecznymi rolami kobiet i mężczyzn, o których mówiłyśmy wcześniej, zaczęły się w Polsce później i że jeszcze nie zdążyliśmy się z nimi do końca uporać, a już doszły nowe czynniki niesprzyjające planowaniu potomstwa. Coraz więcej nowych niepewności. Nie mieliśmy tego momentu, jak w innych krajach, że coś we wskaźnikach urodzeń drgnęło, nie zdążyliśmy. Wpadliśmy w pandemiczno-wojennopolityczne okoliczności.

A czy w tak niepewnych czasach da się jeszcze coś prognozować?

– Czasą są tak niepewne, że często rozkładam ręce, bojąc się prognozować. Wydaje się, że niskie wskaźniki urodzeń będą się utrzymywać. Nawet jeśli zmienimy podejście, zacniemy systemowo dbać o te wszystkie rzeczy, o których rozmawialiśmy, to pozwoli pewnie na zatrzymanie spadku, na jakiś nieznaczny wzrost. Ale nie spodziewam się spektakularnych zmian. ●



*Prof. Monika Mynarska

• demografka społeczna i psycholożka, kierowniczk Centrum Badań nad Biegiem Życia Człowieka i Rodziny w Instytucie Psychologii UKSW i badaczka w Instytucie Statystyki i Demografii SGH

Pinokjo z disnejowskiej klasyki jest najbardziej zatrważający. Dlaczego? Wyjaśnia Marcin Wicha

+ Czy warto pisać książki, ale się pod nimi nie podpisywać? **Natalia Szostak** o losie ghostwriterów

+ Po co nam portrety, skoro mamy selfies? **Maria Poprzęcka** zastanawia się, dlaczego wciąż wolimy, żeby ktoś nas namalował

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

Harry & Meghan: Kończąc stado

Witajcie na Wyspie Organow

KSIAZKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

Marcin Wicha:
Dlaczego *Pinokjo* mnie przeraża

+7 baśni dla dorosłych wybiera Radek Rak

Wściekła jak Jelinek
Weronika Marek o wyjątkowej Austriaczce

Spominajka numeru
Wisława Szymborska
nieznany wiersz miłośnicy

Magazyn w sprzedaży!

Premiera przedświąteczna dla dużych i małych

Jak nie pruderią, to faszyzmem, jak nie faszyzmem, to choćby w przebraniu queer, ale zawsze górą jest ten sam oportunistą i karierowicz, gotów zniszczyć każdego, kto wyrasta ponad jego poziom

RZĄDZĄ NAM

Jan Hartman*

Mąją większą chorobą naszych czasów stał się literalizm – tendencja do ograniczającej myślenie dosłowności – to słynne już zdanie Olgi Tokarczuk z jej przemówienia na pogrzebie Marii Janion trafia w sedno celniej i boleśniej niż kasandryczne wizje wrogów kapitalizmu.

Bo tępotą jest gorsza od chciwości. Ograniczenie umysłowe, kulturowe równanie w dół w życiu publicznym, ekspulsja ironii, brak poczucia honoru i humoru oraz krytycznego dystansu do siebie, do świata i jego autorytetów wytwarzają większą presję kulturową i polityczną niż pazerność kapitalistów i żądza władzy demagogów czy politycznych gangsterów.

Ślepa i bezwzględna pogorń za zyskiem jest zła. Złe jest lekceważenie praw i potrzeb biednych i bezsilnych. Zła jest brutalna eksploatacja przyrody. Całe szczęście, że nasze czasy nie stawiają już żadnych ograniczeń w potępianiu tego zła. Ów luksus wolnej krytyki dotyczy jednakowoż wyłącznie zła rodzącego się w świecie możnych i potężnych. Ich można – i słusznie – oskarżać i piętnować bez ograniczeń. Gdy jednak trzeba by wskazać palcem na tych, którzy nie są uprzywilejowani albo wręcz są dyskryminowani, wtedy biada śmiałkowi! Pełna swoboda bycia i mówienia zastrzeżona jest dla biednych i delikatnych. Kto pretenduje do wyższych stanowisk i dochodów, musi być uprzedzająco grzeczny, formalny i poprawny – zwłaszcza w stosunku do nieuprzywilejowanych. Elity mają zbyt wiele do stracenia, aby co bardziej błyskotliwi a niesforńi ich członkowie z powodu zamilowania do dowcipkowania i formułowania krytycznych opinii ściągali na bogatych mieszczan kolejną falę rewolucji.

Zmowa elit tego świata polega na odstąpieniu od wszelkiego elitaryzmu i manifestowaniu zajadłego egalitaryzmu. Cel: zażreć w oczach mas hierarchię społeczną, ukryć bogactwo i przewagę, uprzedzić wszelką krytykę nierówności i przejąć nad tą krytyką kontrolę. Do tego trzeba być w pełni wiarygodnym. Wszelki fałsz i protekcyjność zostaną od razu zauważone przez kontrolerów czystości intencji podających się za rzeczników godności mas uciskanych przez dyskryminację oraz postkolonialne i patriarchalne przesady.

Jak osiągnąć wiarygodność? To proste – wystarczy być autentycznie, a nie na niby, tępy, ograniczonym dogmatykiem, z dobre wyrobionym odruchem resentymetu w stosunku do wszystkiego, co jest śmiałe, dowcipne, przekorne, inteligentne.

A jak nie dogmatykiem, to przynajmniej patentowanym tchórzem, drażącym przez każdą wydelikacjonowaną ofiarę losu, czyniąc sobie wyspów na życie z obwiniania innych i skarżenia się na wyimaginowane krzywdy. Dlatego w świecie zanegowanej i w tym zanegowaniu bezpiecznie się ukrywającej elitarności prawdziwą przewagę mają oportuniści i tępi biurokraci. A jeszcze niedawno świat należał do mądrych, błyskotliwych literatów i polityków, głoszących postępowe idee! Dziś ludzie z krwi i kości muszą się zamknąć w domach przed mydlkami. Spełnił się koszmarny sen Nietzschego.

Przejęcie przez elity dyskursu rewolucyjnego nie jest nowym pomysłem, bo już podczas rewolucji 1968 r. liderzy mieszczańskie opinii zaczęli stosować tę strategię. Dokonywało się to jednakże w sferze politycznej i w związku z realnymi

opóźnieniami procesów emancypacyjnych oraz w tragicznym kontekście wojny w Wietnamie. Dlatego moralne rozbudzenie klas wyższych było z grubsza wiarygodne i postępowe. Pół wieku temu trzeba było bronić osób LGBT i mniejszości etnicznych naprawdę, a nie na siłę. Mentalna reorganizacja elit była szczerą i potrzebną. Lecz i wówczas ten, kto brał na siebie rolę krytyka, musiał wypić kielich goryczy. Tym większa zasługa takich ludzi jak Theodor Adorno, którzy się na to zdecydowali. Krytyka jest bowiem potrzebna zawsze, a elitom nowoczesnego społeczeństwa potrzebna jest jak tlen.

W miarę postępów równości i fairness w życiu publicznym zapal rewolucyjny elit wyrażał się jednakże w konwencji i rytuały, coraz bardziej uciążliwe i kosztowne. Poeciwa stara pruderia znalazła nowe ujęcie w epoce rządowych reform językowych, a rolę kozłów ofiarnych zajęli nieszczeni ekscentrycy, niezdolni powstrzymać się od łamania zasad politycznej poprawności. Za jedno nieostrożne słówko, choćby wypowiedziane żartem lub nawet autoironicznie, już od wielu lat można w USA i w innych krajach stracić posadę profesora, dyrektora teatru, dyrygenta, nie mówiąc już o posadzie urzędnika. Miała być wolność słowa, otwarta i krytyczna, nieznająca tabu debata publiczna, a wyszło jak zwykle. Znowu zwyciężył kołtun, oportunistą i tępak. Ludzie niezależni i dowcipni znów muszą się kryć po kawiarniach. A i tam mogą zostać sfotografowani, nagrani i skompromitowani.

Rewolucja emancypacyjna osiągnęła spektakularny sukces. Rasizm, niewolnictwo, dyskryminacja kobiet, a nawet dyskryminacja osób LGBT w całym świecie zostały potępione. W licznych krajach jest jeszcze wiele do zrobienia, lecz sama idea moralna równości i szacunku w życiu społecznym ostatecznie zwyciężyła. Gorzej poszło z tą drugą rewolucją, z powodu której „nowoczesność” stała się niemalże synonimem „oświecenia”.

Oblaskawianie „ludu” i jego obywatelsko-egalitarna „reedukacja” obywa się w atmosferze smętnego ugrzecznienia. Fałszywa słodycz, deklaratywna empatia stały się tonem obowiązującym od telewizji informacyjnych, poprzez sale wykładowe, po zebrania gremiów rządowych

Nie udało się stworzyć masowych społeczeństw obywatelskich złożonych ze światłych, wykształconych i krytycznie myślących jednostek. Tylko w nielicznych bardzo bogatych i niewielkich krajach ogół mieszkańców jest taki, jak wyobrażali sobie entuzjaści powszechnego szkolnictwa przed 100 laty. W wielkich społeczeństwach się nie udało. Nadal składają się one w większości z warstwy ludowej, czyli ludzi zwanych przed wielką reformą językową „prostymi”. A skoro jest lud, to jest też konflikt klasowy i lęk elit przed ludową rewolucją.

Dlaczego tak się stało? Może po prostu dlatego, że połowa Polaków i połowa Amerykanów jest mniej inteligentna od połowy Polaków i połowy Amerykanów? Może z przeciwnego człowieka nie da się zrobić samodzielnie myślącej, krytycznej i samokrytycznej osoby, w dodatku poczuwającej się do obywatelskich obowiązków, wychodzących poza obronę osobistych i grupowych interesów? Wygląda na to, że nie da się tego uczynić z większością ludzi, przynajmniej za pomocą takich narzędzi, jaki-

mi dysponuje wielkie masowe państwo mające wielokulturowe i bardzo złożone społeczeństwo.

Paternalistyczne z natury starania oświaty publicznej przybrały charakter równościowej „reedukacji” prowadzonej normalnymi, sprawdzonymi w epoce nacjonalizmu, metodami dydaktycznymi. Szkoły i w ogóle cała podporządkowana władzy sfera publicznego komunikowania się, łącznie z językiem urzędowym i mediami publicznymi, stała się domeną protekcyjnego literalizmu i paternalistycznego infantylizmu. Oblaskawianie „ludu” i jego obywatelsko-egalitarna „reedukacja” obywa się w atmosferze smętnego ugrzecznienia, zrytualizowanego konformizmu i retorycznego uwstecznienia. Fałszywa słodycz, płytko i pozorna troska, deklaratywna empatia i zdziecinienie stały się tonem obowiązującym – od telewizji informacyjnych, przez sale wykładowe, aż po zebrania gremiów rządowych.

Mityczny „drobnomieszczanin” znów przyszedł po swoje. Jak nie pruderią, to faszyzmem, jak nie faszyzmem, to choćby w przebraniu queer, w różach i tęcach, ale zawsze górą jest ten sam oportunistą i karierowicz, napędzany lękiem i resentymetem, gotów zniszczyć każdego, kto wyrasta ponad jego poziom i mógłby go ośmieszyć lub pozbawić dochodów.

Drobnomieszczańskie rewanżysty święci triumfy. Niemalże już wszędzie na Zachodzie elity żyją w strachu przed drobną gafą, nieopatrzonym słówkiem, którym można się narazić strażnikom rewolucji-kontrrewolucji. Jakikolwiek sprzeciw wobec tego, co „ministerstwa progresu” zechciały ogłosić jako obowiązującą doktrynę i obowiązkowy sposób wyrażania się, kończy się publicznym „skasowaniem” delikwenta. Aż strach podawać przykłady, bo samo ich przywołanie może zostać odebrane jako sprzyjanie drapieżcom seksualnym, rasistom, męskim suprematystom, klasistom i innej cholerze. Dobrze, że choć emeryt albo rentier może zachować jako taką niezależność i prowa-



mokracjach. Jak widać, „plemienna socjologia”, sięgająca archaicznych warstw społeczeństwa, nie przestaje działać i narzucać swych na wpół naturalnych praw nawet najbardziej nowoczesnym społeczeństwom. Znów górę wzięły społeczne rytuały, a ten, kto kontroluje obrzędy i zakłada, ma też władzę. Zmieniają się ideologiczne formułki, zmieniają się symbole i ceremonie więzi ludu z jego elitami, lecz jedno się nie zmieniło – jak zawsze szafarz ideologii w imieniu uprzywilejowanych schlebia ludowi i wskazuje mu wroga, którego wolno mu pożreć, aby uśmierzyć narastającą w nim okresowo frustrację i agresję.

Nadzór ideologiczny tężeje. Nie ma już gazety, wydawnictwa, katedry uniwersyteckiej, do której na inspekcję nie zaglądają panie i panowie w różowych czapkach. Sprawdzają, czy wszyscy przedstawiciele ludu mają aby pełen komfort. Czy nie dzieje się nic, co przewrażliwiona i ograniczona osoba mogłaby odczytać jako lekceważenie, dyskryminację albo choćby

DROBNOMIESZCZANIE



FOT. DAVID ŽUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL, GETTY IMAGES

tylko krytykę. Czy na pewno jest dostatecznie słodko, wyrozumiale, empatycznie, równościowo, inkluzywnie i nikt się aby nie wywyższa, nie staje się dwuznaczny i niezrozumiały, elitarny i godny podziwu. Zwłaszcza to ostatnie jest niewybaczalne!

Epidemia narcystycznego nihilizmu i wyuczzonego wydelikacenia, infantylnego roszczeniowości posługującej się szantażem moralnym i denuncjacją opanowała już cały Zachód. Niestety, rynek i demokratyczna polityka sprzyjają regresji, czyli infantyilizacji społeczeństwa. Grając na ludzkich próżności i egoizmie, utwierdzają masy w poczuciu bezpieczeństwa, zadowolenia z siebie, a przede wszystkim w zapamiętaniu skupianiu się na zarabianiu i konsumpcji. Między masami konsumentów a marketingiem (rynkowym i politycznym) pracuje sprzężenie zwrotne: elity podpowiadają coraz to nowe narracje miłości własnej, generujące coraz to nowe potrzeby, a masa – lepiej czy gorzej reagując zakupami i głosami wyborczymi na przekaz marketingowy – uczy je, w jaki sposób powinny

modyfikować swój „przekaz”, aby wielka różowa kula globalnego narcyzmu bez przeskód toczyła się nadal.

Książki o człowieku jednowymiarowym, o społeczeństwie zabawy, o neurotyzmie i narcyzmie człowieka masowego, o szale konsumpcji, powszechnym ogłupieniu i duchu faszyzmu, który się w tym wszystkim kryje, pisze się już od dobrych 100 lat. Niektóre stały się zbanalizowanymi klasykami, tyleż sławnymi, co bezsilnymi. Nawet kabotyn i oportunista-karierowicz jest dziś wystarczająco wygadany, by umieć włączyć elementy zrytualizowanej krytyki społecznej do arsenału smalltalkowych grepsów. Wszyscy to wiedzą, przez co właściwie straciło już znaczenie, czy ćwiczysz jogę i seks tantryczny, czy też może nie golisz nóg i jesz porosty. Wszystko nadaje się do manifestowania wszystkiego, co mieć należy: wolności, indywidualności, uważności, świadomości, postępowości, duchowości. Czego nie wolno, to krytykować, mieć innym za złe, a w szczególności nie wolno odmawiać empatii nikomu, kto nie będąc zamożnym

mieszczaninem, skarży się na jakąkolwiek krzywdę czy dyskryminację. Bo współczucie i troska są różowe i słodkie jak smoothie, a ocenianie, krytycyzm i sceptycyzm są jak lupież i plamy z wina.

Różowy świat jest pełen resentymentu, złości i gniewu. Jest brudny. Lecz te wszystkie małe frustracje ludzi niemogących otwarcie manifestować swojego pragnienia realnego awansu oraz cierpiących od zawiści w stosunku do tych, którzy otrzymują więcej uwagi i zarabiają więcej pieniędzy, gdzieś muszą znaleźć ujście. „Ludzie ostatni”, jak nazywał ich Nietzsche, bardzo dbają o swoje bezpieczeństwo. Nie będą się narażać. Wolą się skarżyć władzy i walczyć o swoją nigdy nie dość rozpieszczoną godność cudzymi rękami. Są po prostu tchórzliwi i pozbawieni honoru. Jednakże ich agresja wciąż się kumuluje i kiedyś musi znaleźć ujście. Różowa kula musi kogoś zmiażdżyć. Kogo?

Najłatwiej dobierać się do swoich. Są łatwym celem. Jak pisze w esej „Woke – kultura przesady i cynicznych ofiar” (Wei.org.pl, 14.09.2022) Katarzyna Szumlewicz: „W cancel culture, czyli kulturze anulowania, nie chodzi o eliminowanie z dyskursu jawnych obrońców i beneficjentów ucisku. Są oni z jednej strony nie do ruszenia, a z drugiej – nudni jako przeciwnicy. Nie da im się zarzucić maskowania przywileju, skoro bronią go zupełnie jawnie. »Anulowanie« dotyczy więc ludzi z własnych szeregów, którzy okazali się nie dość radykalni w tropieniu wszędzie ucisku. Dlatego wśród osób wyganianych ze sfery publicznej większość stanowią postępowcy: feministki, antyrasiści, obrońcy praw gejów i lesbijek, przedstawiciele liberalizmu i lewicy. Potępiana zbrodnia jest ukryta, zawiera się w niewłaściwie użytym słowie czy nawet lajku. Świadczy o niej brak zachwyty nad brawurowymi odwróceniami pojęć”.

Z pewnością koszty ofiarne „wojny kulturowej”, rekrutujące się ze środowisk aspirujących do awansu za pomocą ideologii lub nawet należące do postępowych elit, stanowią pierwszy cel różowych wojowników. Nie jest jednak wcale takie oczywiste, czy ten konflikt, od czasów Nietzschego opisywany jako walka wolnych i inteligentnych z drobnomieszczkańskim kołtunem, zastępuje walkę klas bądź jest jej przejawem, jak chce Slavoj Žižek w artykule „Co ma wspólne altprawica z »woke« lewicą?” (Dwutygodnik, 5.08.2022): „Zachodnia poprawność polityczna (wokeness) zastąpiła dawną walkę klas, tworząc w efekcie liberalną elitę, która twierdzi, że chroni zagrożone mniejszości rasowe i seksualne, co ma na celu odwrócenie uwagi od jej własnej uprzywilejowanej pozycji ekonomicznej i politycznej”. A „wojny kulturowe przejęły rolę walki klas jako siły napędowej polityki”.

Nie ma wątpliwości, że różowa ideologia powszechnej miłości, wykluczająca jedynie tych, którzy nie chcą dostatecznie silnie miłować, to strategia ideologiczna elit. Nic nowego – stosowano ją już wielokrotnie, budując teokratyczne i świeckie imperia. Jednakże teza o walce klas wydaje się wątpliwa. Poniekąd broni jej Bradley Campbell w głośniejszej książce „The Rise of the Victimhood Culture”. Twierdzi on (w kontekście konfliktów na amerykańskich uniwersytetach), że dawna kultura oparta na godności i honorze zastępowania jest przez kulturę słabości i bycia ofiarą. Prawica, również ta alt-, jawi się wobec tego jako konserwatywna obrona pewnego starego porządku etycznego, w którym ceniono się sprawczość, samodzielność, hierarchię, hart ducha i honor. Rzecz jasna, konserwatyści całego świata chętnie temu przyklasną.

Sądzę jednak, że nie ma żadnej walki „normalnych” z „postępowymi”, a tzw. wojna kulturowa jest zastępcza i pozorna. Nie dlatego jednak, że u spodu toczy się klasyczna walka klas, ani dlatego, że trzeba czymś zapłacić próżni po niej. Walka klas nie ma się już skończyła. Wszyscy chcą tego samego i dawno już syty i głodny doskonale się rozumieją. Masa chce nie zmiany ustroju, ale wyższych dochodów. Co więcej, bogaci „konserwatyści” mają te same interesy, co bogaci „liberalowie”, a uwodzenie mas ideologią ksenofobiczną oraz ideologią powszechnej równości i inkluzji to dwie dopełniające się strategie manipulacji. Jednakże klasy niższe od dawna nie mają już własnych interesów, gdyż ich dostęp do awansu społecznego jest nieporównanie szerszy niż kiedykolwiek w historii. Owszem, istnieją zawiść i resentyment, lecz drabiny awansu stoją wszędzie i wszyscy grają w tę samą grę. Jej stawką jest dochód, a w pewnym stopniu również sława (internetowy „fejm”), natomiast prestiż jako odrębny od zamożności wyróżnik pozycji społecznej zanika na naszych oczach.

Nie, nie ma już walki klas, bo niemal wszyscy szczerze godzą się dziś na równość. Ta wielka idea zwyciężyła naprawdę. Pomógł w tym zapal kołtuna do „równania w dół”, lecz tak czy inaczej cel demokracji został osiągnięty. A spór o sprawiedliwy podział zasobów i społeczna niezgoda na wielkie nierówności majątkowe to nie to samo, co walka klas. To zwykła rywalizacja i konflikt o udział.

Kto więc będzie nie doraźną, lecz prawdziwą ofiarą różowej kuli toczącej się przez świat? Na razie zgniata ona dość przypadkowe jednostki, które nie wykazały się dostateczną gorliwością. Na razie ta rewolucja pożera własne dzieci. Z pewnością jednak to jej nie wystarczy. Ostrze resentymentu ponury kołtun z cynicznym oportunistą skierują wkrótce nie przeciwko jednostkom, lecz całym instytucjom i środowiskom. Już dziś szkoły i uniwersytety na Zachodzie cierpią pod presją różowego nadzoru. Czy przeistoczy się on w różowy terror?

W sferze kultury, a więc w filmie, literaturze czy plastyce, również narasta lęk przed tępą dosłownością i agresywnym doktrynerstwem. To nie biedni walczą z bogatymi ani zacofani obrońcy starych przywilejów z ludźmi postępu i wolności. To walczą głupcy i nieuki z ludźmi inteligentnymi i wykształconymi. Ci pierwsi nie mogą tym drugim wybaczyć ich kulturalnej i osobowościowej przewagi. Przede wszystkim jednak nie są w stanie w ogóle ich zrozumieć.

Nigdy w dziejach świata głupota nie miała takiej mocy i takiej władzy. To cena, którą płacimy za emancypację. Trzeba ją płacić z pokorą i godnością, lecz nie posuwając się do tchórzostwa. Kto dziś chce zachować wolność i godność jako badacz, literat czy artysta, musi się liczyć z wykluczeniem. Warto się po prostu z tym pogodzić. Różowa kula musi się przetoczyć i spaść w swoją przepaść. Nie takie inwazje już ludzkość przeżyła. ●



***Jan Hartman** - ur. w 1967 r., filozof i etyk, profesor UJ, publicysta

Moda na depresję? Niech trwa!

Jeśli skłoni nastolatka w piekle beznadziei, matkę nieodnajdującą radości w rodzicielstwie czy starszego, samotnego człowieka do poszukania pomocy i być może cofnięcia się znad samobójczej przepaści.

Milska-Wrzosińska*

*Żle, źle zawsze i wszędzie
Ta nie czarna się przędzie:
Ona za mną, przede mną i przy mnie,
Ona w każdym oddechu,
Ona w każdym uśmiechu,
Ona we łzie, w modlitwie i w hymnie...*

Cyprian Kamil Norwid o depresji wiedział wiele, bo sam jej boleśnie doświadczył. I to ponad 100 lat przed pojawieniem się pierwszych leków antydepresyjnych. Gdy redakcja „Wyborczej” zwróciła się do mnie z prośbą o komentarz w sprawie burzy wokół depresji, pomyślałam najpierw właśnie o tym wierszu. Jak wielu ludzi cierpiało, bo nie mieli dostępu do pomocy?

Depresja nie jest nowomodnym pomysłem. Od setek lat historia, filozofia i literatura piękna pełne są opisów kondycji ludzkiej, które spełniają kryteria depresji i ilustrują ogrom cierpienia przez nią powodowanego. Wydawałoby się, że możliwości leczenia, które pojawiły się w ciągu ostatnich 50 lat, powinny nas cieszyć. Tymczasem ostatnio publicznie prezentowany był pogląd, że to medykalizująca wszystko, co się da Big Pharma oraz chciwi psychiatrzy i psychoterapeuci rozpętali modę na „naddiagnozowanie” depresji. W rezultacie zdaniem tak myślących komentatorów otumanione i zesnobizowane społeczeństwo tłumnie rzuciło się po recepty na nieskuteczne, ale uzależniające leki, niekiedy ustawiając je w łazience przed przyjściem gości, a zdrowi, lecz ulegający owczemu pędowi modnisie topią u psychoterapeutycznych hochsztaplerów ciężko okupione pracą swoją lub rodziców nadwyżki finansowe.

Co więcej, osoby bez odpowiednich kompetencji decydują się nie tylko publicznie oceniać sytuację, lecz także doradzać. Jeden autorytet głosi, że wystarczyłoby się więcej ruszać i spać, a mniej używać, wtedy żadnych depresji by nie było. Inny, że los człowieka to smutek i cierpienie, w ogóle Weltschmerz i spleen, należy to znosić i osiągać wyższe poziomy rozwoju, a nie eskapistycznie sięgać po ulgę. Jeszcze inny, że depresja to skutek neoliberalizmu: jakby ludzie mogli żyć godziwie (oświata, służba zdrowia, mieszkania, umowy o pracę itp.), to cierpienie psychiczne by ich nie dopadało, więc trzeba się zająć naprawą systemu, a nie wsparciem jednostek. Leczenie odbiera społeczeństwu energię do walki, buntu i zmiany, bo gniew ludu jest pacyfikowany przez establishment lekami i psychoterapią.

Wynika z tego, że człowiek szukający ulgi w psychicznym cierpieniu sam sobie jest winien, bo dał sobie to cierpienie wmówić, jest niedojrzały, charakteryzuje go bierność, naiwność i gnuśność. Być może niektórzy cierpią naprawdę, ale większość podążała za modą, a lekarze i psychoterapeuci tę modę aktywnie podtrzymują, kierowani osobistą pomyślnością finansową.

Odniosę się do tego pokrótce:

Tak, korporacje farmaceutyczne (jak i wszelkie inne) są nastawione na zysk i zależy im na jak największej sprzedaży leków (i suplementów diety), więc chętnie medykalizują, czyli przekazują w świat informację, że w zasadzie wszystko jest chorobą, którą można wyleczyć, biorąc dwa razy dziennie odpowiedni środek. Skłaniają lekarzy do naddiagnozowania (czyli przypisywania danej etykiety medycznej coraz

szerszej grupie potencjalnych odbiorców), więc każdy może wyjść z gabinetu z diagnozą wymagającą zyskowej dla dostawcy interwencji medycznej.

Z upodobaniem słucham reklam radiowych, więc wiem, że jak starsuszek (czyli zapewne ktoś około sześćdziesiątki) nie je dużo, to trzeba mu dać „suplement” na pobudzenie apetytu, a jak się potem źle poczuje po golonce z frytkami i pucharku lodowym, niechże jak najrychlej zażyje pastylkę na trawienie, a jutro powtórzy proces. Chce nadużyć wódki, to jak najbardziej, wódka też dla ludzi, tylko niech ma w pogotowiu jakiś „kac minus”. Jeśli się odwodni, to niech woda mu posłuży do popicia rewolucyjnie skutecznej tabletki nawadniającej.

Producenci leków psychiatrycznych nie są wyjątkiem, a jeśli państwo sobie z tym zalewem bałamutnych szkolidowych diagnoz, leków i pseudoleków nie radzi, to przeciwny obywatel tym bardziej nie ma narzędzi, by bronić się przed kuszącymi obietnicami.

Wspomniane teorie spiskowe są o tyle prawdziwe, że w istocie psychiatrzy przepisują leki przeciwdepresyjne, a one nie zawsze i nie od razu działają. O istocie depresji (i innych formach psychicznego cierpienia) i mechanizmach działania leków wiadomo wciąż niewiele. U jednego pacjenta zadziała lek antydepresyjny z jednej grupy, u drugiego z innej, u trzeciego żaden, u czwartego będą dolegliwe skutki uboczne, piątemu niezbędna jest przede wszystkim psychoterapia, a szóstemu lek jest zbędny – może pomogłoby zwolnienie z pracy albo konsultacja pary.

Mówiąc o depresji, poruszamy się w sferze wciąż jeszcze niedookreślonej. Po pierwsze, nie mamy jasności, czy rzeczywiście w ciągu ostatnich 20 lat faktem jest, że więcej osób cierpi na depresję, czy też cierpiących jest tyle samo, ale więcej spośród nich szuka pomocy, bo pojawiła się nadzieja, że taka pomoc jest możliwa, a ponadto korzystanie z psychoterapii i leków już nie stygmatyzuje tak bardzo, jak to było do tej pory. Nie wiemy również, czy wzrost liczby reakcji depresyjnych jest pochodną obecnego stanu naszego świata. Steven Pinker dowodzi, że kondycja współczesnego świata jest najlepsza w historii. Cóż, widocznie jeszcze nie dość dobra, skoro wywołuje tyle cierpienia. To wszystko, co się nam przydarza przez ostatnie lata (by wymienić tylko pandemię, wojnę, inflację i zmiany klimatyczne), jest dla wielu osób trudne do zniesienia, generuje dużo niepewności, napięcia, pobudzenia czy lęku. Ale można się zastanawiać, czy większość tych osób i tak prędzej czy później nie przeżyłaby kryzysu psychicznego, bo brakuje im swojego rodzaju odporności nierówno i niesprawiedliwie między ludzi rozdzielonej.

Po drugie, stany nazywane depresją mogą bardzo różnić się od siebie przyczynami i objawami – nigdy dość przypominania słów Johna Norcrossa: „Nie patrz, jaką chorobę ma pacjent, tylko jaki pacjent ma chorobę”. Reakcja depresyjna u osoby funkcjonującej na poziomie borderline może się różnić obrazem klinicznym i planem leczenia od reakcji pacjenta, który np. doświadczył złożonej traumy wczesnodziecięcej, utraty najbliższej osoby, szkodliwego użycia substancji zmieniających świadomość, lub kogoś, kto po prostu – bez łatwo uchwytanego powodu – codziennie cierpi. Precyzyjne dobranie leku wy-

magaloby uprzedniego (długiego, kosztownego i rzadko jednoznacznego) badania, np. predyspozycji genetycznych, ewentualnej nierównowagi neuroprzebiegu, stanu flory bakteryjnej jelit. Dlatego nie każdy lek jest skuteczny w każdym przypadku, nie zawsze od razu wiadomo, czy i jakie skutki uboczne spowoduje u danego pacjenta. Jedyna droga leczenia to w razie potrzeby przepisywanie leku z kolejnej grupy i omawianie efektów z pacjentem. Zresztą tak jest z wieloma innymi lekami.

Czy to prawda, że psychiatrzy zapisują leki, a nie kierują na psychoterapię? Wśród psychiatrów jest już coraz mniej osobistych wrogów psychoterapii. Znaczna ich większość ma świadomość, że psychoterapia psychodynamiczna ograniczona w czasie, psychoterapia poznawcza i behawioralna, a także wiele form psychoterapii grupowej mają bardzo solidnie potwierdzoną i udowodnioną skuteczność. Wiedzą, że badania wykazują skłonność do samobójstw wśród pacjentów depresyjnych rozpoczynających farmakoterapię (zwłaszcza z grupy SSRI), więc zazwyczaj wymagają łączenia leków z terapią. Tyle że lekarz wie, ile czasu trzeba czekać na psychoterapię refundowaną przez NFZ. W dużych miastach można mieć szczęście i czekać na terapię ledwie kilkanaście tygodni, ale w większej części kraju czeka się latami (zwłaszcza po wyhamowaniu reformy, która miała

ni są za to „ulegający modzie” pacjenci? A może jednak państwo, które choćby częściowo nie refunduje sprawdzonych rzetelnych szkoleń? Państwo od 30 lat nie jest w stanie stworzyć i uchwalić ustawy o zawodzie psychoterapeuty. Skądinąd nie jest pewne, czy ustawa cokolwiek by załatwiła, skoro z kolei ustawa o zawodzie psychologa świętowała niedawno dwudziestolecie niewprowadzenia jej w życie... Jednak na pewno trzeba się tym zająć poważnie, zamiast – jak obecnie próbują nasze władze – narzucić namordnik w postaci rozporządzenia o specjalizacji, wyjątkowo zgodnie kontestowany przez zdecydowaną większość środowiska.

Jeśli chodzi o samych pacjentów – tak, niekiedy nietłumim im współczuć. Bywają trudni, czasem wydają się niewdzięczni, a nawet roszczeniowi. Albo mimo naszej najlepszej woli i wysiłków sabotują proces zdrowienia. Czasem zachowują się bezwzględnie wobec swoich bliskich. Zdarza się, że prowadzą wyniszczający tryb życia wspierający depresję, bo w istocie uzależnienie często wiąże się z depresją (choć nie zawsze da się określić, jaki jest kierunek zależności przyczynowej). Czy zatem to możliwe, że diagnoza i leczenie stanowią dla kogoś alibi do zaniedbania swoich zadań, uzasadnienie szkodliwego używania substancji, agresywnych zachowań czy żądania taryfy ulgowej? Owszem, tak może się zdarzyć.

Big Pharma oraz chciwi psychiatrzy i psychoterapeuci rozpętali modę na „naddiagnozowanie” depresji – otumanione społeczeństwo rzuciło się po nieskuteczne, ale uzależniające leki, ustawiając je w łazience przed przyjściem gości. Czyżby?

pokryć kraj siecią centrów zdrowia psychicznego). Wiadomo też, ile kosztuje psychoterapia prywatnie. A ponieważ często psychiatra musi pomóc szybko, lek bywa jedynym wyjściem.

Co do samej psychoterapii – gdzieniegdzie krążą opinie o psychoterapeutach jako swojego rodzaju komiwojażerach przekonujących, że każdy psychiczny kłopot jest depresją (albo maską depresji), więc wymaga ich pomocy. Na skutek tej rzekomej sprawnej indoktrynacji w przestrzeni społecznej (w tym w mediach) sprytni psychoterapeuci mieliby zyskiwać naiwnych chętnych na swoje, na ogół zbędne, usługi i dzięki temu dobrze żyć. Zdaje się, że mamy do czynienia z paradoksalną idealizacją tego zawodu, bo prawdę powiedziawszy, zdecydowana większość psychoterapeutów nie potrafi ani przekonująco pisać, ani wiecować, ani lobbować. Są raczej mistrzami kameralistyki – słuchania i patrzenia na innych ludzi w bezpiecznych, spokojnych warunkach.

W Polsce jest kilka tysięcy w miarę dobrze i wszechstronnie wyszkolonych psychoterapeutów, dalsze dziesiątki tysięcy to osoby korzystające z nieuregulowania prawnego tego zawodu, niektóre z nich po szkołach legitymujących się wprawdzie odpowiednimi tytułami i liczbą godzin, ale z wątpliwą wartością i kwalifikacjami „nauczycieli”. W Polsce certyfikat może wystawić każdy każdemu, założyć szkołę psychoterapii też może ktokolwiek, dziki rynek kwitnie. Jednak czy odpowiedział-

Czy niektórzy nie tyle potrzebują pomocy, ile ulegają modzie? Czasami słyszeć można, że pani X nie przyszłoby do głowy pójść do psychiatry czy psychoterapeuty, gdyby nie to, że jej dwie koleżanki z pracy już chodzą, biorą leki, jedna ma zdiagnozowaną depresję, a druga zaburzenia lękowe i obie bardzo ją namawiają, żeby też poszła. Ale to nie oznacza, że pani X bez powodu i bez zastanowienia uległa modzie. Być może dzięki koleżankom odważyła się zająć swoimi symptomami na wczesnym etapie i dzięki temu mniej i krócej cierpieć. A wystarczająco przenikliwy psychoterapeuta podczas konsultacji zastanowi się, co motywuje kogoś do podążania za trendem i czy tylko o swoisty owczy pęd tu chodzi.

Przed wszystkim jednak nawet jeśli połowa diagnoz depresji jest na wyrost, ale „moda na depresję” skłoni zrozpaczoną kobietę, nastolatka w piekle beznadziei, matkę nieodnajdującą radości w rodzicielstwie czy starszego, samotnego człowieka do poszukania pomocy i być może cofnięcia się znad samobójczej przepaści, to niech ta moda trwa do końca świata i o jeden dzień dłużej – żeby więcej ludzi oplecionych Norwidową czarną nicią mogło szybciej i sprawniej znaleźć pomoc. Czasami da się tylko rozluźnić splot nici, lecz nawet taka mała zmiana może uratować życie. Dlatego warto wspierać ludzi, by pytali, badali się, a jeśli trzeba, brali leki i chodzili na terapię. A na pewno nie należy ich do tego zniechęcać... ●



* **Zofia Milska-Wrzosińska**
– Laboratorium Psychoedukacji, supervisor psychoterapii Polskiego Towarzystwa Psychologicznego

PO PRAWDZIE

Uwaga, będą zakłócenia

Duda w prawnym chaosie wokół Przyłębskiej kapie swoje ego.

Agnieszka Kublik

Pieniędzy z KPO nie będzie. Prezydent przesłał nowelę o Sądzie Najwyższym do Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej. A tam nie są w stanie jej prezesury ani potwierdzić, ani zakwestionować. Cokolwiek więc orzeknie TK, zawsze będzie prawnie podejrzaną i do podważenia. TK już na początku tej władzy został zarażony bezprawnością (gdy PiS dopuścił do orzekania trzech tzw. dublerów wybranych w grudniu 2015 na już obsadzone stanowiska sędziowskie). Teraz Trybunał Przyłębskiej zaraża swoją chorobą całe państwo.

Oczywiście trudno zakładać, że Duda to przeoczył, bo gwałci konstytucję od początku pierwszej kadencji nie z powodu braku wykształcenia – ma wszak doktorat z pra-

wa – a z powodu nadmiaru partyjnych interesów.

Od 20 grudnia 2022 status Przyłębskiej jest co najmniej podejrzany. Dla jednych nie jest już prezesem, dla innych będzie nim do końca kadencji, czyli do grudnia 2024. Przypomnijmy: Duda wręczył jej akt powołania 21 grudnia 2016. Przepisy określające kadencję na sześć lat zostały już ogłoszone, ale weszły w życie dwa tygodnie później. Ale kadencyjności prezesa TK nie przewidywała wcześniejsza ustawa o Trybunale.

Czyli – jak twierdzą np. eksperci Fundacji Batorego – przepis o sześcioletniej kadencji dotyczył Przyłębskiej. I to PiS wymyślił kadencyjność prezesa TK. Wcześniej prezesi sprawowali tę funkcję, dopóki orzekali w Trybunale.

– Niekonstytucyjny Trybunał, niekonstytucyjna prezes – kwituje prof. Wojciech Sadurski, filozof prawa i konstytucjonalista.

Teraz aż sześciu (a może i ośmiu) z 15 sędziów TK twierdzi, że kadencja Przyłębskiej skończyła się 20 grudnia, więc jako najstarsza stażem ma obowiązek zwołać Zgromadzenie Ogólne, by wybrać kandydatów na prezesa. To fundamentalna sprawa, bo cokolwiek uczyni Przyłębska jako nieprezeska, będzie mogło zostać prawnie zakwestionowane. A więc także i ocena zgodności noweli o Sądzie Najwyższym z konstytucją.

Kim zatem Przyłębska jest dla Dudy? „Niech się TK odklóci, skoro jest wewnętrznie skłócony, i weźmie się do roboty, zajmie

się tym, co do niego należy” – radził niedawno. W domyśle – niech dogadają się co do prezesury Przyłębskiej.

Dziwaczne to, że prawnik brak prawnych podstaw do prezesowania sądowi konstytucyjnemu nazywa „klótnią”. Na imieninach u ciotki można się pokłócić, tu chodzi o fundamenty praworządności.

Więc Duda jakieś wątpliwości co do funkcji Przyłębskiej ma, ale nie bardzo mu to przeszkadza. Gorzej, w prawnym chaosie chętnie kapie swoje ego – niby o coś dba (pieniądze dla polskiej gospodarki, czyli dla nas), ale jak nie wyjdzie, to nie jego wina.

W Trybunale chcieli się może i „odklócić”, ale się „dokłócili” i podejrzewam, że o to właśnie szło. Bo i Ziobro świetnie pływa w takim prawnym chaosie.

Otóż Przyłębska chciała za wszelką cenę formalnie potwierdzić prezesurę (choć prawo tego nie przewiduje) i zwołała Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK. Stawiło się 10 sędziów, pozostała piątka twardo stoi na stanowisku, że Przyłębska już nie ma kompetencji, by takowe zgromadzenie zwoływać.

Przyłębska kazała im przegłosować przygotowaną przez siebie uchwałę, że jej kadencja się nie skończyła i nadal jest prezesem. Dwóch sędziów – Piotr Pszczółkowski i Bogdan Świączkowski (prawa ręka Ziobry) – odmówiło udziału w głosowaniu. „Za” zagłosowało ośmiu.

Oficjalny komunikat TK głosi: „Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK, bezwzględ-

nie większością głosów, w obecności dwóch trzecich sędziów podjęło uchwałę, w której stwierdzono brak podstaw do zwołania zgromadzenia w celu wyboru kandydatów na prezesa Trybunału”.

Ale pojawił się kolejny problem – czy było kworum? Bo ustawa o funkcjonowaniu Trybunału w art. 8 par. 1 powiada, że uchwały podejmuje się „w obecności” co najmniej dwóch trzecich sędziów. Czyli dziesięciu. Było dziesięciu, ale zagłosowało ośmiu. Czy zatem kworum dotyczy „obecnych” czy „głosujących”? Przyłębska uznała, że „obecnych” i uważa się za prawomocną prezeskę.

Świączkowski zapewne wiedział, że takie interpretacje się pojawiają. Dlaczego zatem po prostu Zgromadzenia nie opuścił, by nie było wątpliwości, że kworum nie było? By się Trybunał „dokłócił”. Bo tylko takim da się manipulować, a przecież od początku o to chodziło. A teraz doszedł bonus – taki Trybunał można wykorzystywać nie tylko do wojenek z opozycją czy Brukselą, ale i wewnątrz obozu władzy.

Tak oto PiS pokazał, że naprawdę zrujnował praworządność. Bo skoro sam Kaczyński już nie może niczego Przyłębskiej kazać, to co to za władza? Zakłócona! Sami są zakłóceni i zakłócają życie innym.

A co dalej z TK? Przyłębska utraciła nad nim władzę, a tym samym i Kaczyński ją stracił. Co teraz wykombinuje? ●

PRZEŁOMOWE ŚLEDZTWO EKKE OVEREEKA

SĄ DOWODY, ŻE JAN PAWEŁ II KRYŁ KSIĘŻY PEDOFILÓW ZANIM ZOSTAŁ PAPIEŻEM



Relacje między Kościołem, SB i polskim społeczeństwem w czasie, gdy Karol Wojtyła był arcybiskupem krakowskim pozwalają lepiej zrozumieć, dlaczego tuszowanie przestępstw seksualnych na nieletnich w Kościele możliwe było na taką skalę. Książka zawiera wstrząsające relacje świadków.

KSIAŻKA, EBOOK I AUDIOBOOK JUŻ W SPRZEDAŻY

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA KULTURALNY SKLEP.PL
W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA publio.pl



Wydawnictwo
Agora

Adam Michnik poleca. **Teolog Domu Papieskiego dla „Wyborczej”**

STUDIUJCIE NAUKI ŚW. TOMASZA

Z czasem podstawowym odruchem staje się zachwyt nad dobrem. A nie fascynacja złem czy ciągle oburzenie się na nie

o. Wojciech Giertych OP*

Ważnym wydarzeniem w kulturze polskiej jest ukazanie się tłumaczenia dzieła św. Tomasza z Akwinu „Objaśnienie »Polityki«”, w którym ten średniowieczny dominikański uczony pochylił się nad dziełem Arystotelesa. Waga tego wydania przekracza samą pozycję, ponieważ jest to tom inauguracyjny 70-tomowej serii. Warszawski Instytut Tomistyczny, toruńska Fundacja Pro Futuro Theologiae oraz poznańskie wydawnictwo W drodze planują razem w ciągu 14 lat udostępnić w języku polskim cały dorobek Akwinaty, wielkiego doktora Kościoła, filozofa i teologa, żyjącego w latach 1225-74, którego studia i syntezy ciągle są źródłem zapładniającym myśl na różnych polach.

Właściwie najlepiej jest studiować św. Tomasza, czytając jego dzieła w oryginale. Jego średniowieczna łacina nie jest trudna, wszak posługiwał się językiem zwięzłym, precyzyjnym, wręcz technicznym. Niemniej jednak w głównych obszarach językowych dokonuje się tłumaczeń i publikuje się niekiedy wersję dwujęzyczną, z obszernymi wyjaśnieniami i komentarzami. Większość dzieł św. Tomasza jest dostępnych w języku angielskim.

Swego czasu londyńskie wydawnictwo Veritas pod kierunkiem ks. Stanisława Belcha wydało całą wielotomową „Sumę teologii” św. Tomasza po polsku. Był to okres komunizmu, przedkomputerowy, a zatem tłumacze przebywający w Polsce, w Rzymie czy też w Wielkiej Brytanii nie mieli możliwości się spotkać i ustalić wspólnej terminologii. Za usługą ówczesnej polskiej emigracji było podjęcie się tego ogromnego dzieła, ale dziś wiadomo, że to wydanie najważniejszego dzieła św. Tomasza trzeba poprawić.

Współpraca polskich środowisk naukowych daje nadzieję na przyszłość. Dominikański Instytut Tomistyczny wydał już „Kwestie dyskutowane o mocy Boga”, W drodze wydało „Summę contra gentiles”, a wydawnictwo Antyk „Kwestie dyskutowane o prawdzie”. Zaplanowana praca jest rozłożona na wiele lat, i trzeba odnotować i pogratulować odwagi i zapału przedsięwzięcia.

Studiowanie dzieł św. Tomasza uczy precyzyjnego myślenia oraz dokonywania istotnych rozróżnień, daje pewny i uzasadniony pogląd o najważniejszych wymiarach rzeczywistości i w końcu pozwala na wypracowanie syntezy prawd poznawanych rozumem i przyjętych wiarą bez ich wymieszania.

Od czasów oświecenia, pomimo początkowego wyniesienia, rozum stał się sceptyczny, a wiara została zepchnięta do poziomu sentymentów. Niesie to niepewność w odniesieniu do podstawowych zagadnień życia. A to z kolei rodzi płynny relatywizm i w ostateczności wiedzę do nihilizmu.

Tymczasem bez poznawczego fundamentu człowiek się gubi. Ten, kto nie ma przekonań na poziomie rozumu, choć może ma domysły i zna opinie, łatwo ulega manipulacjom medialnym, o czym dobrze wiedzą mistrzowie skłócenia.

Zmierzający do rządów autorytarnych zawsze preferują ochłokrację, czyli dominację gęstego pogubionego tłumu. A wiara, zawężona do uczuć religijnych, niekształtująca myślenia, niewpływająca na wybory i decyzje, a zatem nieintegrująca osobowości, też okazuje się podatna na wypaczenia i manipulacje, ideologiczne lub polityczne lub jest uznawana za nieistotną i wtedy jest całkowicie zmarginalizowana.



• „Św. Tomasz z Akwinu”, obraz Carla Crivellego, XV wiek. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Częstą odpowiedzią na te zjawiska, w każdym razie duszpasterską, jest staranie się o to, aby być blisko ludzi. Są księża, którzy idą w tym kierunku. Niewątpliwie unikanie sztywności w relacjach międzyludzkich jest odbierane pozytywnie. Troska o jakość kontaktów skłania również do unikania ideologizacji przekazu. Ideologie chwytają się jakiejś prostej prawdy lub półprawdy i przerabiają ją na podstawowy klucz hermeneutyczny, który ma wszystko wyjaśnić. I temu myśleniu na siłę starają się wszystko podporządkować.

Człowiek instynktownie broni się przed takim zniewoleniem umysłu. Reakcje są podobne, bez względu na to, czy dotyczy to świata świeckiego, czy porządku wiary. Sama jednak życzliwość, czarowanie ludzi i zastępowanie wyjaśnienia wywieraniem wrażenia, czasem poprzez posługiwanie się chwytliwymi frazesami, są niewystarczające. W końcu w myśleniu i w decydowaniu człowiek potrzebuje jasności,

a więc chce takich wyjaśnień, które kierują ku prawdzie, na której można się oprzeć, nie z powodu autorytetu jakiejś postaci wiodącej czy też jej sympatycznego sposobu bycia, ale ze względu na samą prawdę, która pociąga.

Trudno bawić się w prorocтва, ale wygląda na to, że w reakcji na będącą niejako w powietrzu atmosferę relatywistyczną czy wręcz nihilistyczną pojawi się wkrótce głośnie wołanie o precyzyjną, systematyczną filozofię i teologię.

Napięcia społeczne, groza wojny i zamęt ideowy w końcu spowodują szukanie szkół myślenia, które są pożywne, pozwalają się rozeznać w stojących wyzwaniach, dają pewność, i to nie za cenę rezygnacji z myślenia i własnej wolności, ale właśnie dzięki samodzielnemu myśleniu i wyrabianiu osobistej wewnętrznej wolności. Sygnały takich poszukiwań intelektualnych są już obecne w świecie.

Przeważające w edukacji publicznej nastawienie rodzi zaufanie do matematyki i do metod poznawczych nauk em-

pirycznych, natomiast w odniesieniu do zagadnień istotnych dla życia sugeruje intelektualną płynność. Pozytywizm pozostawia ludzi w pozycji człowieka rozbrojonego, który nie potrafi sobie poradzić, gdy musi się zmierzyć z najbardziej fundamentalnymi kwestiami.

Potocznie uważa się, że takie terminy, jak prawda, dobro, natura, celowość, osoba ludzka, szczęście, rozum, intelekt, wola, wolność, sfera zmysłowa, uczucia, sumienie, prawość, sprawiedliwość, miłość, uczciwość czy nadzieja to w gruncie rzeczy pojęcia puste, pasujące tylko do poezji i literatury.

Zakłada się, że mówią one o tym, co nierealne, czysto subiektywne, mgliste, bo jest wymysłem idei. Ja odbieram je tak, a ty inaczej, natomiast ważne jest, abyśmy byli wobec siebie tolerancyjni i nie oburzali się na to, że w naszych odczuciach jawią się różnice. A nawet ta różnorodność ujęć jest ceniona, gdyż pozwala na wielość poglądów i postaw w kolorowym kalejdoskopie życia społecznego.

A więc oznacza to, że te zagadnienia, które najbardziej rzutują na życie i osobiste, i publiczne, są wyłączone z poważnego myślenia naukowego. Dopuszcza się jedynie przeprowadzanie sondaży, które stosując poprawną socjologiczną metodologię, dają dokładny opis niepewnych i zmiennych opinii obecnych w danej społeczności. Natomiast wyklucza się możliwość dojścia do tego, czym naprawdę są dobro, natura, wolność, szczęście, sprawiedliwość, ład w uczuciach i w płciowości czy też nieskorumpowanie. Zakłada się bowiem, że te etyczne rzeczywistości same w sobie są niepodatne na poznanie naukowe i dlatego możliwe jest jedynie obserwowanie zjawisk społecznych i pobieranie o nich mierzalnych danych.

Tymczasem wyniki sondaży zbierających różne opinie, nawet ludzi pogubionych, prawdziwie podliczone i przedstawione są niewystarczające do dogłębnego poznania rzeczywistości.

Wszystkie nauki, a zwłaszcza te, które zajmują się człowiekiem i społeczeństwem, potrzebują metafizycznego fundamentu. I ten musi być zbadany i uzasadniony na własnym gruncie. Różnice pomiędzy szkołami historiografii, ekonomii, nauk prawnych czy też pedagogiki lub psychologii najczęściej mają swe źródło w uprzednich założeniach filozoficznych, leżących u podłoża tych nauk, które niekiedy są przyjmowane bezrefleksyjnie. Natomiast to, co się faktycznie sądzi o osobie ludzkiej, jej godności i miejscu w społeczeństwie, a także o naturze woli i wolności oraz o wzajemnej relacji sfery duchowej i cielesnej, rzutuje nie tylko na nauki humanistyczne, ale także na postawy i zachowania ludzi w życiu prywatnym i publicznym.

Scholastyka, której najznakomitszym reprezentantem jest św. Tomasz z Akwinu, trwała w przekonaniu, że umysł ludzki ma swą przyrodzoną godność i celowość, a zatem sfera duchowa jest poznawalna, choć oczywiście do jej rozpoznania trzeba stosować specyficzne metody, różne od tych, które są właściwe dla nauk eksperymentalnych.

Gdy rozum poznaje takie niematerialne, ale realne rzeczywistości, jak celowość, przyczyna, dusza, rozum, intelekt, wola, wolność czy sprawiedliwość, może je ująć zgodnie z prawdą lub też z powodu wadliwego rozumowania może się z prawdą rozminąć, a więc ująć je błędnie. W poznaniu naukowym konieczne jest dojście do ostatecznych racji, pozwalające na sformułowanie precyzyjnej i uzasadnionej definicji danej rzeczywistości. Tylko wtedy wie się, o co chodzi. I dlatego w swych spekulatywnych poszukiwaniach scholastycy się spierali. Chodziło im bowiem o to, aby umysł w końcu przylgnął do prawdy, która sama pociąga.

„Szkolny proces poznawczy zmierza nie tyle do usunięcia błędu, co do takiego wykształcenia, w którym prawda jest zrozumiana. Dlatego trzeba oprzeć sprawę na racjach dochodzących do korzeni prawdy, aby studenci rozumieli, w jaki sposób to, co się dowodzi, jest prawdziwe. Gdy profesor tego nie wykaże i oprze swe rozstrzygnięcie na samych autorytetach, słuchacz rzeczywiście będzie wiedział, jak się rzeczy mają, ale nie nabędzie żadnej wiedzy ani zrozumienia i odejdzie z pustą głową”.

Św. Tomasz z Akwinu

Metoda dociekania prawdy wypracowana przez średnio-wieczną scholastykę wymagała intensywnego wysiłku umysłowego. Najpierw stawiano pytanie, gdyż zdaje się, że jest tak a tak; potem zestawiano najpoważniejsze argumenty przemawiające za postawioną tezą; następnie odwoływano się do tradycji, która stwierdza coś przeciwnego; w końcu, w zasadniczym wywodzie, w konsekwencji porównania różnych sprzecznych zdań dociekano, jak rzecz się ma w rzeczywistości, i precyzyjnie ją wyjaśniano, najczęściej odrzucając sformułowaną na początku sugestię; nie pozostawiano jednak na tym, tylko potem po kolei z szacunkiem odpowiadano na wszystkie wcześniej przedstawione racje, wykazując, co w nich jest prawdziwego, a gdzie tkwi błąd, może wynikający z ubocznego spojrzenia lub nieświadomego wtłoczenia jakiegoś nieistotnego lub błędnego założenia.

Ta metoda nie gardziła tymi, którzy mają przeciwny pogląd, i nie dobierała sobie łatwych partnerów dialogu. Cho-

dziło w niej o to, by zmierzyć się z poważnymi argumentami, a także świadectwami tradycji po to, aby wydobyć z nich to, co wartościowe, ale i też faktycznie dojść do lepszego, pełniejszego ujęcia prawdy.

Stosowanie tej metody w nauczaniu uniwersyteckim nie pozwalało na intelektualną bierność, ponieważ studenci sami wyszukiwali argumenty i je odpierali. Nieraz przedstawiali 20 racji za stawianą tezą i podobną liczbę przeciwnych. Dzięki temu można było dociec prawdy, dostrzec wartość w niej implikacje, a zarazem zbadać najtrudniejsze argumenty przeciwnie, i to rzetelnie, z kurtuazją, by z czasem wyrobić sobie spójną syntezę poznawanych prawd.

Nie było tam agresji wobec przeciwnych poglądów czy też zbywania ich, nawet jeśli były głoszone przez pogańskich, żydowskich czy muzułmańskich myślicieli. Odnoszą się do nich z szacunkiem, sięgając jednak dalej i głębiej do samej prawdy. Zapoznanie się ze sprawozdaniami z tych scholastycznych dysput kształci umysł i od razu pokazuje, jak błędne i naładowane ideologicznie są pogardliwe opinie o średniowieczu!

W korpusie dzieł św. Tomasza znajdują się sprawozdania z takich dysput, komentarze do Arystotelesa i do ksiąg Pisma św., pomniejsze studia i szeroko opracowane syntezy, dające całościowy pogląd w ramach dokładnie przemyślanego ujęcia. We wszystkich tych dziełach, nawet w komentarzach biblijnych, w których najczęściej są zestawiane różne dopuszczalne interpretacje bez rozstrzygania, która jest najwłaściwsza, widzi się echo scholastycznej metody.

Najdłuższe dzieło św. Tomasza, jego „Suma teologii”, całe składa się z kwestii i artykułów, w których zazwyczaj są zestawiane tylko trzy czy cztery rozbieżne stanowiska, które następnie po wyjaśnieniu zagadnienia są omawiane w celu wydobycia jądra prawdy, które może być ukryte w niedokładnym czy błędnym ujęciu.

■
Od czasów oświecenia rozum stał się sceptyczny, a wiara została zepchnięta do poziomu sentymentów. Niesie to niepewność co do podstawowych zagadnień życia. Na końcu tej drogi jest nihilizm

Metoda wyłożenia materiału stosowana przez św. Tomasza jest trudna, nieprzystająca do współczesnego sposobu wykładania, ale można się do niej przyzwyczaić. Jej celem nie jest łatwe pedagogiczne wytłumaczenie trudnych spraw, tylko samo dojście do prawdy, dla niej samej, a więc także najpierw dla siebie samego. Dzięki temu się wie, o co chodzi, gdyż ma się precyzyjne i systematyczne ujęcie. Umysł ludzki potrzebuje wiedzy uporządkowanej.

Następne zaś przekazanie tych treści to jest dalsza sprawa, w której trzeba się liczyć z możliwościami percepcji rozmówców. Inaczej się mówi do intelektualistów, a inaczej do dzieci, ale zarówno jedni, jak i drudzy mają prawo otrzymać takie pouczenie, które kształci umysł i doprowadza do wiedzy pewnej.

Skierowanie uwagi nie na metodologię przekazu, która musi się liczyć z ograniczeniami umysłów, ale na samą prawdę jest istotne. Nauczyciel, który ucieka od prawdy czy też ją przesiewa według własnego uznania o jej stosowności czy też społecznej akceptowalności, nie szanuje prawdy. Bardziej mu zależy na tym, aby się wpisał w aktualne oczekiwania czy też spotkał się z ludzką afirmacją. Oznacza to zatem, że prawda dla niego nie jest najważniejsza, a więc i też do niej nie kieruje.

Jest to zdrada misji nauczyciela, a także oznaka nieposzanowania rozumu swych słuchaczy. Dobry pedagog ceni ich rozum, ma do niego zaufanie i doprowadza ich do tego, aby sami zostali zauroczeni poznaną prawdą. Starożytny Plutarch uczył, że umysłu nie trzeba napelniać niczym butelkę, ale raczej trzeba go rozpałić jak drewno, aby wytworzył się w nim impuls do samodzielnego myślenia i żarliwego pragnienia prawdy.

Wdobie dominacji neotomizmu w Kościele, a więc od czasów Leona XIII do Soboru Watykańskiego II, prezentacja dorobku średniowiecznego myśliciela była niekiedy ideologiczna. Nauczanie opierało się na podręcznikach, które dokonywały przystosowania jego myśli i starały się przekonać co do racjonalnej oczywistości jego nauki, zarówno w sferze filozofii, jak i wiary. Równocześnie panowała nieufność wobec świata nowożytnego i stąd traktowano doktrynę św. Tomasza jako panaceum na trudności jawiące się w życiu intelektualnym.

Neotomizm odczytywał św. Tomasza przede wszystkim jako filozofa. Uważano, że racjonalnymi argumentami przekona się do nauki tomistycznej i w konsekwencji wzmocni się wiarę i chrześcijańskie spojrzenie na rzeczywi-

stość, dając przy tym odpowiedź na ideologie nowożytności. To w konsekwencji spowodowało odwrót od św. Tomasza i rozwój teologii „resourcement” [powrotu do źródeł], uznającej wiodącą rolę biblijnego Objawienia oraz preferującej pisma starożytnych Ojców Kościoła.

Sobór Watykański II, nie negując roli św. Tomasza, zaczerpnął ze świeżych teologicznych kierunków odnowy. Wskazał na potrzebę korekty szeregu potocznych założeń, mających zresztą swe źródło nie w nauce wielkiego średnio-wiecznego myśliciela, lecz w teologii czasów nowożytnych. A zatem polecono przywrócenie w życiu i intelektualnej orientacji prymatu Słowa Bożego, czyli przede wszystkim Wcielonego Słowa, jakim jest Osoba Boga-Człowieka, Jezusa Chrystusa, ale także i Pisma św.

Skorygowano rozumienie relacji natury i łaski. Zainicjowano przedstawienie umiejscowienia Kościoła w świecie współczesnym, wychodząc z życzliwością do żydów i innych religii oraz do chrześcijan niekatolików. Ogłoszono deklarację o wolności religijnej. Przypomniano też rolę świeckich. Celem tej reformy nie było przerobienie Kościoła na coś nowego, tylko zadbanie o to, aby oblicze Zmartwychwstałego odsłaniało się w postawach i działaniach chrześcijan. Nic dziwnego, że owoce Soboru rodzą się powoli.

Powrót do źródeł okazał się ożywczy również dla studiów tomistycznych. Powolne opracowanie wydań krytycznych jego dzieł i następne ich przetłumaczenie na języki nowożytne pozwoliło z czasem na odnowione odkrycie ich wartości. Stało się oczywiste, że nie należy przerabiać nauki św. Tomasza na ideologię. Zresztą na ideologii nie odpowiada się kontradeologią. Gdy narastają spięcia społeczne i intelektualne, trzeba sięgać głębiej.

A zatem ideę christianitas, średniowiecznego chrześcijańskiego porządku społeczno-politycznego, traktowaną zresztą przez św. Tomasza z dystansem, należy przenieść do lamusa historii. Nie należy mylić Kościoła z konkretnym ładem czy też nieładem politycznym i nie należy podpieierać niegodziwych czy też chylących się reżimów jego autorytetem.

Odnowa studiów nad myślą św. Tomasza ostatnich dziesięcioleci, a więc już po Soborze, dostrzega, iż przede wszystkim był on teologiem, wczytany w Słowo Boże, sięgającym do Ojców Kościoła, i to bardziej niż filozofem. Posługiwał się uważnie dorobkiem Arystotelesa, dopiero co odkrytym w XIII w., ale w celu lepszego naświetlenia tajemnic wiary.

Ta filozofia, wypracowana w świecie greckim, przed Chrystusem, a więc całkowicie poza wiarą, okazała się niezwykle ciekawa, gdyż wskazuje na to, do czego samodzielnie drażący rozum może dojść. Temu należy się szacunek. A więc w pochylaniu się nad treścią Objawienia i jej eksplikowaniu można z tego skorzystać, gdyż wiara nie zabrania rozumowi myśleć ani poza wiarą, ani wewnątrz wiary. Co więcej, żywa wiara pobudza myślenie i współpracuje z umysłem szukającym zrozumienia i ładu.

Ważnym też, i to całkiem niedawnym odkryciem, oczyszczającym spojrzenie na myśl wielkiej scholastyki, jest zauważenie, jak wiele nowych, i to błędnych ujęć, zostało wprowadzonych w myślenie europejskie przez XIV-wieczną filozofię nominalizmu. Aby zatem właściwie odczytać wielkich myślicieli XIII w., trzeba odłożyć nominalistyczne okulary, które niepostrzeżenie deformują rozumienie zasadniczych pojęć. Ma to szczególne znaczenie w odniesieniu do rozumienia natury woli.

W konsekwencji w wiekach nowożytnych w wyjaśnianiu moralności doszło do przesunięć, z przerostem powinności, z woluntarystycznym rozumieniem prawa moralnego, z stawianiem na pierwszym miejscu przykazań i równoczesnym wyciszeniem refleksji o cnotach, w których przejawia się osobista odpowiedzialność jednostek, z nieufnością wobec sfery uczuciowej, z zapomnieniem o cnocie kardynalnej roztropności, generującej twórczą zaradność, i z wyeksponowaniem na jej miejsce sumienia.

Uświadomienie sobie, iż przystępując do lektury św. Tomasza, należy się uwolnić od tych nowożytnych schematów myślenia, sprawia, że w jego doktrynie odnajduje się świeże optymistyczne przedstawienie drogi człowieczej.

Współczesna digitalizacja całego „Corpus Thomisticum” [dzieła wszystkie św. Tomasza po łacinie] pozwala szybko wychwycić wszystkie przypadki posłużenia się danym łacińskim terminem. Zestawiając je razem, można dojść do precyzyjnego rozumienia jego znaczenia oraz wychwycenia ewentualnych zmian wynikających z poszukiwań św. Tomasza. Aktualne badania korzystają z tego narzędzia, które jest dostępne w internecie.

Wporównaniu z nauką św. Augustyna synteza św. Tomasza wyróżnia się swym optymizmem. Punktem wyjścia jego myślenia nie jest upadek pierwszych rodziców i potem ukazywanie naprawy zranionego człowieczeństwa, tylko wszystko się zaczyna od stworzenia człowieka, i to przeznaczonego do synowskiego obcowania z Bogiem. A zatem boskie zamierzenie, uprzednie wobec stworzenia i nigdy nieodwołane, każe dostrzec fundamentalną dobroć natury ludzkiej. Nawet powtarzający się grzech nie jest w stanie zniszczyć tego zasadniczego do-

bra, które jest w każdym człowieku i które może być w nim wydobyte.

To optymistyczne i realistyczne spojrzenie św. Tomasza jest wyrazem nastawienia pierwszego pokolenia dominikanów, zakonu, który został założony do zwalczania manichejskiej herezji albigensów. A zatem św. Tomasz wyjaśniał, iż dobro tłumaczy się samo przez się, natomiast zło jest brakiem dobra. Zło nie ma samostnej konsystencji, gdyż jest ono odebraniem, a nie dodaniem czegoś do rzeczywistości. Stąd grzech jest przede wszystkim brakiem tego dobra, do którego cnota może skłaniać.

Dlatego w swej nauce moralnej św. Tomasz zawsze najpierw omawiał cnoty, te twórcze zdolności, do których natura ludzka, i to wzmocniona łaską, jest zdolna, i dopiero w przeciwieństwie do nich analizował grzechy. Natomiast przykazania wspominał skrótowo, na końcu, jako pomocne pedagogiczne pouczenie. Dlatego też, gdy omawiał pokój, widział w nim wyraz ładu i wewnątrz osobowości, i w relacjach zewnętrznych, dzięki czemu w człowieku dobro może zakwitnąć. Natomiast wojna jest brakiem pokoju. Ważniejsze jest zatem dobro niż zło, i myśl św. Tomasza drążyła szerokie implikacje tego faktu.

Studiowanie nauki tego wielkiego teologa sprawia, że z czasem podstawowym odruchem staje się zachwyt nad dobrem, a nie fascynacja złem czy też ciągle oburzanie się na nie. Można powiedzieć, że to niuanse, ale właściwe ujęcie sprawy zmienia nastawienie życiowe i ma szerokie konsekwencje. Ci bowiem, którymi kieruje głęboki pesymizm, są ciągle nieufni i podejrzliwi, skłonni do permanentnego oskarżania innych i łatwego bagatelizowania własnych upadków. I nawet przykrywanie tegoż pesymizmu idealistyczną fasadą niczego nie zmienia.

Kilka przykładów zaczerpniętych z nauki św. Tomasza świadczących o jego optymizmie pokazuje, jak aktualna jest jego perspektywa i jak potrzebna do duchowego odrodzenia jednostek, społeczeństwa i Kościoła.

Tomaszowe spojrzenie na człowieka jest poprzez pryzmat Chrystusa, w którym jest pełnia bóstwa i pełnia nieskażonego człowieczeństwa. Podobnie Sobór Watykański II naucza rozumieć ludzkie istnienie i powołanie. Zdaje się niekiedy, że w poszukiwaniach św. Tomasza przeważa wkład Arystotelesa, ale cel jego spojrzenia jest zawsze głębszy, dalszy. Niewątpliwie, przedstawiając ludzką naturę oraz jej władze, korzystał z ustaleń greckiego filozofa, ale zasadnicze ujęcie jest teologiczne.

W „Sumie teologii” dwa razy św. Tomasz przystąpił do analizy człowieczeństwa. Pierwsze ujęcie podane w pierwszej części dzieła jest jakby filozoficzne, choć w rzeczywistości ono też jest teologiczne, gdyż jest to spojrzenie w kontekście stworzenia.

Św. Tomasz bada tam, co składa się na naturę ludzką w jej wymiarze duchowo-cieleśnym, gdy się ją widzi tak, jak ona wyszła ze stwórczych rąk Boga. Znajdujemy tam dokładną analizę metafizyki osoby, zjednoczenia ciała i niematerialnej duszy oraz omówienie natury i funkcjonowania władz

duchowych, umysłu, woli, a także współdziałającej z nimi sfery zmysłowej.

W świecie stworzonym, a więc w całym kosmosie i w naturze ożywionej, nie znaleziono niczego, co by przewyższało ludzką osobę. Wiedzie to zatem do zdziwienia i zachwytu człowieka nad samym sobą i jeszcze bardziej nad hojnością Dawcy ludzkiego istnienia. Zrozumiała jest więc troska ludzi o takie ułożenie wzajemnych relacji, w których rozwija się personalizm, a także odraza wobec systemów społecznych, które nim gardzą.

„Zawarta w definicji osoby natura wybija się wśród wszelkich natur najwyższą godnością, gdyż jest ona intelektualnego gatunku. Podobnie również sposób istnienia osoby jest najgodniejszy, ponieważ sprawia, że istnieje sama przez się”.

Św. Tomasz z Akwinu

Drugie spojrzenie, podane w drugiej części „Sumy”, jest praktyczną antropologią teologiczną. W tym obszernym dziele św. Tomasz wyjaśnia, jak to człowiek przemieniony łaską w swym działaniu nakierowanym na ostateczną szczęśliwość odsłania w sobie obraz Boga. U tego, kto miał okazję zobaczyć taką osobę, dojrzała, wewnętrznie wolną i zarazem ofiarną, natychmiast rodzi się odruch chwalenia Ojca niebieskiego.

U podłoża całego tego obszernego wykładu, rozłożonego na część ogólną i szczegółową, leży Chrystusowe „Kazanie na górze”. Ono, bardziej niż starotestamentalny Dekalog, jest podstawowym tekstem uczącym pełni chrześcijańskiej egzystencji.

Ten, którego wiara skierowana ku Zbawicielowi przekłada się na miłość i liczne dalsze cnoty, odsłania w sobie moc Ducha Świętego. Opis tej tajemniczej transformacji moralności zakłada u podłoża wiarę w moc nadprzyrodzonego

i soteriologii także jest postrzegający wpływ Arystotelesa.

Wszecchobecność pogańskiego filozofa w teologicznej syntezie św. Tomasza może zdziwić wręcz zaniepokoić. Tak też zareagował Marcin Luter, gdyż zdawało mu się, że scholastyka była jakby pogańskim rakiem na ciele chrześcijańskiego Objawienia.

Wątpliwość ta jest nieuzasadniona, gdyż św. Tomasz nigdy nie podporządkowywał objawionych prawd naturalnemu rozumowi. Nie starał się udowodnić racjonalnie tego, w co wierzymy. Bardzo dokładnie rozróżniał to, co wiemy dzięki wysiłkowi naturalnego rozumu, i to, co wiemy jedynie na mocy Bożego Objawienia. Ale treściom objawionym się przyglądał, starając się wydobyć ich zasadnicze kontury, wewnętrzną spójność, praktyczne implikacje oraz zgodność z tymi prawdami, które samodzielnym rozum może poznać.

Główną jednak troską św. Tomasza było wyłożenie „sacra doctrina”, tego świętego pouczenia, które otrzymaliśmy od samego Boga, który nieproszony pierwszy do nas przemówił.

Tomaszowa antropologia teologiczna, czyli opis przetworzonej przez łaskę moralności, może przerażać. Początkujący student nieraz stawia sobie pytanie: gdzie ja się w tym wszystkim mieszczę? Św. Tomasz nie dostarczył nam teologii rozwojowej. Nie stawiał duszpasterskiego pytania, jak należy zacząć rozmowę z dzieckiem, z człowiekiem zagubionym czy też spowitym w grzechu. On ukazywał horyzont i swym scholastycznym myśleniem próbował ująć istotę rzeczy. A zatem to, co pisał o akcie czy cnotie wiary lub o specyfice nadprzyrodzonej miłości zasadzonej przez łaskę w ludzkiej duszy, odnosi się i do początkującego dziecka, i do zaawansowanego w świętości mistyka.

który św. Tomasz wsiewa w umysły, można zauważyć w kilku przykładach.

Święty teolog z Akwinu miał głębokie zaufanie do mocy poznawczej naturalnego rozumu, przy czym uznawał możliwość jego wychylenia dalej ku zbawczej tajemnicy, co się dokonuje wiarą. Oznacza to, że rozumiał, iż wiara i rozum muszą być odrębne i niez mieszane. Nie udowadniał się prawd wiary za pomocą argumentów filozoficznych czy empirycznej obserwacji. I nie uzasadniał się twierdzeń naukowych wiarą. Nie zawsze w dziejach Kościoła pamiętano o tym rozróżnieniu, z czego wynikały smutne nieporozumienia.

Przykładem tego rozróżnienia było przekonanie św. Tomasza, że nie mamy żadnych dowodów, ani filozoficznych, ani eksperymentalnych, świadczących o stworzeniu świata w czasie czy też zapowiadających jego kres. Spoglądając racjonalnie, świat równie dobrze mógłby być wieczny, co zresztą niekoniecznie podważałoby wiarę, bo Bóg mógłby stworzyć wieczny świat. Z Objawienia jednak wiemy, że świat miał początek i że kierujemy się ku eschatologii, ale, przestrzegając św. Tomasza, nie narażajmy się na śmieszność i kpinę, twierdząc, że racjonalnie, naukowo, na bazie metafizyki czy też fizyki, poza wiarą, mamy na ten temat pewną wiedzę.

Uznanie godności rozumu, czego zresztą wyrazem jest ludzka ciekawość i potrzeba usystematyzowania sobie w głowie tego, co się wie, i tego, w co się wierzy, wskazuje na wartość zarówno filozofii, jak i teologii spekulatywnej. Jest oczywiście miejsce dla teologii pozytywnej badającej, jak w historii zbawienia Bóg odsłaniał prawdy i jak dalej w dziejach Kościoła starano się je przybliżyć przy uwzględnianiu oporów intelektualnych niesionych przez zmieniające się kultury. Ale też po-

wo uczyć. W wolności, czyli w panowaniu nad sobą, i umiejętności sensownego wybierania prawdziwego dobra można wzrastać, stąd wolność potrzebuje wyzwolenia i wychowania. Dopiero ukształtowana przez rozpoznane wartości wolność uzdalnia do dobrych wyborów. Tak jest, ponieważ tylko ten, kto wybiera dobro nie dlatego, że ktoś mu to nakazał, ale dlatego, że ono jest dobre, i to widzi, ten jest naprawdę wolny.

„Ten, kto unika zła nie dlatego, że ono jest złe, ale ze względu na przykazanie Pana, nie jest wolny; kto zaś unika zła, ponieważ ono jest złe, ten jest wolny”.

Św. Tomasz z Akwinu

Podobnie św. Tomasz uznawał fundamentalną dobroć cielesności, a więc także sfery zmysłowej i uczuć. A zatem spokojne zgranie razem zmysłów i władz duchowych, i to bez represji, jest możliwe, przy czym jest to ułatwione przy wrażliwości na porządkujący wpływ łaski. Toteż nie zgadzał się on z opinią franciszkanina, św. Bonawentury, który sądził, że cnoty moralne, takie jak umiarkowanie w jedzeniu czy czystość w sferze seksualnej, są zlokalizowane w woli. W tym nieco stoickim ujęciu tkwiła nieufność wobec pożądlivosti i przekonanie, że trzeba ją ujarzmić siłą woli.

Św. Tomasz się temu sprzeciwiał, gdyż z natury wewnątrz zdrowej zmysłowej skłonności jest podatność na światło rozumu, a zatem spokojne pogodzenie sił cielesnych i duchowych jest możliwe. Samo doznanie zmysłowe w jakiegokolwiek sferze, także seksualnej, nie jest podejrzaną. Jego siła zależy od konstytucji psychicznej danej jednostki i nie powinna być kwestionowana.

Oznacza to, że cnota nie podważa zmysłowych doznań, a jedynie reguluje przyleganie do nich. A więc kierowca, który w imię sprawiedliwości powstrzymał się od wcześniejszego picia alkoholu, jadąc na autostradzie, może sobie powspominać i cenić specyficzny smak dobrej szkockiej whisky. Doznawana i zapamiętana przyjemność nie jest zaprzeczeniem trzeźwości.

To samo trzeba powiedzieć o innych naturalnych przyjemnościach zmysłowych, które z istoty są dobre i nie powinny być demonizowane, nawet jeżeli zdarzają się poślizgi w ich zintegrowaniu przez władze duchowe, bo umiejętności skierowania ich ku prawdziwemu dobru trzeba się uczyć.

To optymistyczne podejście do cielesności, tak ważne w syntezie św. Tomasza, uległo zapomnieniu w czasach nowożytnych, co niekiedy generowało niezdrowe, wręcz neurotyczne reakcje. Średniowieczny teolog wiedział, że na styku ducha, psychiki i zmysłów zdarzają się zaburzenia, ale one nie były zasadniczym przedmiotem jego zainteresowania. On ukazywał, jak funkcjonuje zdrowa, poukładana wewnętrznie osobowość. To jego spojrzenie wciąż jest aktualne, ponieważ aby właściwie określić psychiczne i moralne odchylenia, najpierw trzeba wiedzieć, jak funkcjonuje zdrowy, dojrzały człowiek.

Pełne ufności podejście do człowieka rzutuje także na myślenie o życiu społecznym. Fundamentalny optymizm przy re-

W średniowiecznej scholastyce nie było agresji wobec przeciwnych poglądów czy zbywania ich, nawet jeśli głosili je ludzie całkiem od nas inni

wsparcia, ale skoro łaska nie niszczy natury, całość przyrodzonego ludzkiego wyposażenia, wyzwolenego i nieokaleczonego musi znaleźć swe miejsce w tym opisie.

„Łaska jest skuteczniejsza od natury, ta zaś jednak w człowieku jest bardziej istotna, a zatem jest trwalsza”.

Św. Tomasz z Akwinu

Trzecia część „Sumy teologii” omawia zjednoczenie natur boskiej i ludzkiej w jednej osobie Chrystusa oraz owoce Jego odkupieńczego dzieła. A więc spojrzenie teologa, wychylające się tak daleko, daje punkt odniesienia, który naświetla to, co było podane wcześniej. Uświęcenie człowieka i wydobyćcie z niego jego pełnej potencjalności staje się możliwe jedynie poprzez przylgnięcie wiarą do Zbawiciela. W tej analizie chrystologii

Precyzyjne nazwanie tej rzeczywistości nie jest bez wagi. Dokładne definicyjne poznanie rzeczy pozwala bowiem zauważyć to, co jest jedynie domysłem czy przeczućciem, w którym prawda miesza się z błędem.

Znając efekt końcowy dokonywanej przemiany ludzkiej egzystencji, a to się nabywa, studiując systematyczną teologię św. Tomasza, wie się, dokąd działania ła- ski zmierza. Dokładne poznanie celu podróży nie daje gwarancji, że się do niego dojedzie, ale przynajmniej chroni przed wybraniem błędnych ścieżek.

Przemyslenie wniosków wynikających ze stworzenia, a wszystko, co Bóg stworzył, zobaczył, że było dobre, i jeszcze bardziej implikacji ofiarowanego zbawienia, potwierdza fundamentalne przekonanie o dobroci człowieczeństwa. Ten realistyczny optymizm,

trebna jest spekulatywna metoda św. Tomasza, która dociera do prawdy wprost i ją ujmuje precyzyjnie, nawet jeśli potem jej przyswojenie i wyłożenie komuś innemu jest trudne. Ten wysiłek umysłowy pozwala oprzeć się na poznanej prawdzie i mieć zdecydowane przekonania.

Również wola ma swą fundamentalną dobroć i godność, choć św. Tomasz nie przesadzał w przypisywaniu jej siły, jak to nastąpiło w myśli nowożytnej. Wola jest władzą duchową, która daje się porwać rozpoznanemu dobru, a zatem doznaje ona impresji tego, co prawdziwe, i ją pociąga. Nie jest zatem ona obojętna wobec wartości.

Natomiast wewnętrzna wolność jest konsekwencją wspólnego zadziałania woli i rozumu, które nawzajem na siebie wpływają, z tym że tego trzeba się stopnio-

alistycznej wiedzy o zdarzających się ludzkich upadkach ułatwił św. Tomaszowi spokojne rozważanie podstaw życia publicznego. Podejmując refleksję nad prawem moralnym, w której omówił rozpoznane rozumem prawo naturalne oraz przyjęte wiarą prawo Boże, w jego dwóch etapach, starym i nowym, dał również wciąż przydatne omówienie istoty prawa ludzkiego, a więc zasad leżących u podłoża prawa stanowionego państw i społeczności międzynarodowych.

Św. Tomasz nie miał złudzeń i wiedział, że dobroć publicznego ładu społecznego jest zawsze relatywna. Oznacza to, że etos, który może być wymuszony przez prawo karne, jest niższego rzędu i nie powinien być mylony z duchowością i moralnością ewangeliczną. Poziom nadprzyrodzony oczywiście jest wyższy, bo i Chrystus oferuje uzdrawiającą łaskę, ale ta rzeczywistość realizuje się tylko u tych, którzy faktycznie żyją łaską. Nie można tego oczekiwać od państwa i jego struktur, ponieważ jest ono doczesne, niesakramentalne.

Oczywistym zatem jest, że prawo Nowego Przymierza nie pokrywa się z prawem ludzkim, które ma swą odrębną autonomię i naturalne uzasadnienie. Ustawodawcze rozstrzygnięcia o penalizacji złych czynów i jej zakresie są więc decyzją polityczną.

Powinny one zmierzać do zachowania sprawiedliwości, ale ich uzasadnienie jest naturalne, racjonalne i także uwzględniające realne możliwości i etos danego społeczeństwa. Zaś ocena tego, co w danej chwili, w danym kraju jest możliwe, może wypaść różnie i na ten temat ustawodawcy mogą się spierać i wypracowywać prawne kompromisy. Te praktyczne decyzje przynależą do dziedziny „ars”, sztuki rozgrywania sytuacji politycznych. Nie są one więc prostym przełożeniem wiedzy moralnej czy tym bardziej teologicznej doktryny wrażliwej na wsparcie daru łaski.

Dobrze oczywiście jest, gdy życie społeczne jest tak ustawione, aby jak najwięcej ludzi mogło dawać z siebie to, co mają najlepszego do zaoferowania, i gdy skorumpowani zbrodniarze są karani, ale nie należy się spodziewać zbyt wiele po ładzie prawnym. Zawsze natomiast jest miejsce dla wyższego etosu prawa nowego przymierza, ale kształcenie w nim, czyli też otwieranie na moc nadprzyrodzonej łaski, nie jest zadaniem państwa i jego instytucji. Tym niech się zajmują duchowni, a jeśli brak im wiary i kompetencji w uczeniu świętości i dlatego uciekają od tego zadania, licząc jedynie na siłę państwa, to znaczy, że sprzeniewierzają się swej misji i myślą porządki.

Optymistyczne i zarazem realistyczne, ograniczone, niezbawcze odczytanie roli państwa i jego prawodawstwa, jakie znajdujemy w nauce św. Tomasza, przestrzega przed takimi pomyłkami.

Traktat o prawie moralnym nie odgrywa pierwszoplanowej roli w syntezie moralnej św. Tomasza. Ważniejsze są wewnętrzne sprężyny działania, zarówno naturalne, jak i wsparte przez łaskę w przypadku żywej wiary. Prawo moralne ma zaś funkcję mądrościową. Jest ono cennym wskazaniem i ukierunkowaniem rozumu działającego ku dobru wspólnemu.

Niestety myśl nowożytna przesunęła akcenty i stąd zaczęto dostrzegać w prawie jedynie wyraz woli ustawodawcy, Boga czy człowieka,

i co więcej, sądzono, że ta wola może być arbitralna i nierozumna.

Dla św. Tomasza takie pojmowanie prawa jest przykładem tyranii, a więc jest ono bezprawiem. Gdy przyjmie się to błędne założenie, w konsekwencji pierwszym zadaniem etyki stanie się ciągle artykułowanie powinności. Nic dziwnego, że takie moralizujące podejście rodzi słuszne opory.

Prawda o dobru, a więc stojące przed człowiekiem wyzwania rodzą powinności, ale życie nie składa się tylko z ich rozpoznawania i ślepego wykonywania. Jest jeszcze kierunek odwrotny. To z wnętrza człowieka wyrasta pragnienie czy wręcz miłość dobra i ta dynamika najbardziej go porusza.

A zatem mądre pouczenie zawarte w prawie moralnym jest na służbie cnót, tych psychicznych zdolności, które pozwalają łatwo, szybko, z przyjemnością i nade wszystkim kreatywnie realizować to dobro, które po prostu warto podjąć. Prawo Nowego Przymierza, które jest prawem łaski, animuje jednostki od wewnątrz, zapalając do podjęcia osobiście rozeznaczonych pól działania. Wówczas przy okazji doznaje się smaku ofiarności, czyli i też szczęśliwości.

Nauka św. Tomasza jest nadzwyczaj świeża. Zapoznanie się z jego dziełami, choć trudne i wymagające wysiłku, jest zawsze owocne. Wyzwała z niezdrowych podświadomych schematów myślowych i przywraca zaufanie do umysłu, a także do wiary chrześcijańskiej, która okazuje się nie wrogiem, lecz przyjacielem uporządkowanego myślenia, a więc i kultury.

Dobrze, że rozpoczęto prace nad udostępnieniem wszystkich pism św. Tomasza w języku polskim. Warto przy okazji wiedzieć, że od szeregu lat dominikański Instytut Tomistyczny w Waszyngtonie przeprowadza wykłady i seminaria na licznych uniwersytetach anglosaskich, głównie amerykańskich, ale nie tylko, w tym na uczelniach katolickich, protestanckich i państwowych.

Te spotkania inspirowane nauką św. Tomasza przełamują niechęć do średniowiecznej scholastyki i pokazują, jak jej najwybitniejszy przedstawiciel uczy pryncypiów wiedzy filozoficznej i teologicznej, rzucając światło na rozumienie, na tyle, na ile to jest możliwe, Boga, świata, człowieka, jego natury, etyki i także uświęcenia. ●



***o. Wojciech Giertych** – dominikanin, Teolog Domu Papieskiego. Mieszka w Watykanie.
Tytuł - „Wyborcza”

„Objaśnienie »Polityki«” („Sententia libri Politicorum”) w przekładzie Marcina Beścia i Mateusza Przanowskiego OP to 43. tom z serii „Dzieła wszystkie Tomasza z Akwinu” – kompletnego, 70-tomowego wydania dzieł Tomasza z Akwinu po polsku, które ukazuje się nakładem dominikańskiego wydawnictwa W drodze we współpracy z Instytutem Tomistycznym i Fundacją Pro Futuro Theologiae. Więcej na Akwinata.net/pl oraz wdrodze.pl.



Robak

Nie ma się co dziwić, że teraz Unia Europejska, w gruncie rzeczy niemiecka, próbuje zniszczyć mięsożerną kulturę chrześcijańską właśnie szarańczą.

Michał Rusinek



Od ponad miesiąca polska prawica zajmuje się tematem robaków. Są w tej żenującej narracji dwa ważne wątki, które uszły uwadze komentatorów. Jeden ma charakter językowy, a drugi – literacki. Oto i one.

Wątek pierwszy. Robak stoi, a właściwie pelża, na samym dole drabiny stworzeń. Juliusz Słowacki był zdania, że nawet pod tą drabiną, bo robaków do stworzeń Bożych nie zaliczał: „Widzę, że nie jest On tylko robaków/ Bogiem i tego stworzenia, co pelża,/ On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,/ a rozhułkanych koni On nie kielża” – czytamy w „Beniowskim”. Czy na dole drabiny czy pod drabiną – wszystko jedno. Ważne, że odczuwamy wobec robaków pogardę połączoną ze wstrętem, czasami nawet lękiem. Odrobaczamy stworzenia, które na tej drabinie stoją lub siedzą (i szcze-kają lub miauczą przymilnie) wyżej. Obawiamy się pasożytów, które dostają się do naszych organizmów. Wstrętem napawają nas już same ich nazwy: pierwotniak wywołuje w nas pierwotny lęk, bo kojarzy się z czymś odpornym na cywilizację, jest reprezentantem świata, który już nie powinien istnieć, a istnieje – i nam zagraża. Płazińce kojarzą się z pogardzanymi cechami ludzkiego charakteru, z fałszywą uniżonością, za którą kryje się skłonność do zdrady. Obłeńce są po prostu obłeśne.

Ciekawym słowem jest „szarańcza”, która też się pojawia w prawicowym dyskursie. Jest to bowiem zarówno ogólna nazwa owadów podobnych do przyjemnie brzmiącego pasikonika, jak i określenie chmary tych owadów, a więc rodzaj synekdochy (totum pro parte). W samej nazwie zawarta jest mnogość, nawet niepoliczalność owych szkodników, co dodaje jej złowróżbności. Chmara jest pojęciem amorficznym, a szkodnik, czyli wróg, który nie ma jednej formy i może przyjąć każdą, wywołuje jeszcze większy lęk. W czasach o wiele mniej zglobalizowanych, czyli we wczesnym PRL-u, funkcję egzotycznej szarańczy pełniła stonka – słowo mniej złowróżbne, ale też będące synekdochą, określające i pojedynczego owada, i jego mnogość. Pod koniec 1950 roku na łamach „Trybuny Ludu” ukazał się komunikat Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych informujący o amerykańskich samolotach, które miały zrzuścić ogromne ilości stonki ziemniaczanej na pola Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Czechosłowacji, a także nad Bałtyk. Dlaczego amerykańskie? Bo stonka ziemniaczana, zwana także czule żuczkiem z Colorado, została odkryta w zachodniej części Gór Skalistych. Już w czasie I wojny światowej zastanawiano się, czy jej nie użyć jako broni biologicznej, która mogłaby wywołać klęskę głodu. Do tego pomysłu wróciła III Rzesza, nie ma się zatem co dziwić, że żuczek z Colorado mógłby posłużyć amerykańskiemu imperialistom, kontynuującym – według narracji peerelowskiej – tradycje hitlerowskie, do walki z socjalizmem. I nie ma się co dziwić, że teraz Unia Eu-

ropejska, czyli w gruncie rzeczy niemiecka, próbuje zniszczyć mięsożerną kulturę chrześcijańską właśnie szarańczą.

Szarańcza i stonka to już nie robaki, lecz owady. Owady łążą, skaczą i fruwią po drabinie bytów nieco wyżej niż robaki, bo przywodzą na myśl skojarzenia ambiwalentne: bywają piękne i pożyteczne, ale także obrzydliwe i szkodliwe. Owszem, ni-by wiemy, że są takie kultury, w których owady się je, ale są to kultury odległe i egzotyczne. Żeby Polak jadł owady zamiast mięsa? Czysta groza! A skoro motywem przewodnim – i skutecznym, choć absurdalnym – poprzedniej kampanii wyborczej były ośmiorniczki, to jak na razie znakiem tej kampanii są robaki i owady. Jeśli wybory wygra PO – mówią prawicowi politycy i usłudźni im publicyści, zresztą w ślad za propagandą rosyjską – to wprowadzi dyktat UE ograniczający Polakom spożycie mięsa i nakazujący jedzenie czegoś, co wzbudza w nas wstręt i lęk. „Opozycja chce, aby Polacy jedli robaki” – krzyczał niedawno pasek w „Wiadomościach” TVP. Zaraz też panowie Jaki, Mejza i Ozdoba sfotografowali się nad mięsnymi potrawami, co miało być formą protestu przeciwko – jak to skomentował ks. Dariusz Oko – administracyjnemu zmuszaniu nas do ograniczenia konsumpcji, które „może mieć totalitarny charakter”. Było to jednak działanie nieprzemyślane, bo internauci szybko zauważyli, że tylko nielicznych stać na tak kosztowne dania, jak te na fotografiach. Opozycja przegrała wybory przez ośmiorniczki nie dlatego, że były obrzydliwe, tylko dlatego, że wmówiono nam, że są drogie (choć to nieprawda) i że zwykłego Polaka na nie nie stać. No i dlatego, że są egzotyczne, a więc obce i wywołujące lęk. Słowacki się na ich temat nie wypowiadał, bo nie pelżają, ale niewykluczone, że także nie zaliczyłby ich do stworzeń bożych.

A skoro już jesteśmy przy literaturze, to czas na wątek drugi. Jeśli padło nazwisko Słowackiego, to nie może nie paść nazwisko Mickiewicza. Otóż nie zapominajmy, że najsłynniejszym robakiem w literaturze polskiej jest ksiądz Robak z „Pana Tadeusza”. Postać tragiczna, bohater niepoliczalnej jak szarańcza lub stonka ilości rozprawek, charakterystyk i wypracowań maturalnych, ulubiona postać z „humoru zeszytów szkolnych”, w tym niezapomnianych fraz: „Jacek Soplica przybrał nazwisko Robak, by podgryzać korzenie znienawidzonego caratu”, „Ksiądz Robak żył w tajemnicy przed samym sobą”. Zwróćmy uwagę, że jego przybrane nazwisko miało wprawdzie charakter pokutny, ale to właśnie w czasie, gdy nosił nazwisko prawdziwe, dopuścił się czynów niegodnych: morderstwa i zdrady (z miłości). Kiedy był już Robakiem, to żył skromnie, zabił groźnego niedźwiedzia i osłonił własnym ciałem Hrabiego przed rosyjską kulą, nie mówiąc już o tym, że był napoleońskim emisariuszem i miał zadanie przygotowania szlachty do powstania przeciwko caratowi. Do tego wszystkiego – był księdzem! Ja wiem, że z absurdalnymi zarzutami polityków PiS-u trudno jest walczyć, ale proponowałbym opozycji posłuszenie się w tej walce postacią z poematu naszego narodowego wieszczą. Nie tylko pozwoli to zachować adekwatny do prawicowej narracji poziom absurdu, lecz także wpisać nasz dyskurs polityczny w toczący się od romantyzmu wielki spór między antyrobaczym Słowackim a prorobaczym Mickiewiczem. Do broni, opozycjo! Szlachta na koni wsiędzie, wy z Robakiem na czele i – jakoś to będzie!

PS W mój poprzedni felieton pt. „Papuga” wkrađł się błąd. W Operze Wrocławskiej wystawiano oczywiście nie „Carmen” (jak raz napisałem), ale „Cyganerię” Pucciniego. Miłośników włoskiej opery proszę o wybaczenie. Niestety, informacja o wykonaniu po „Cyganerii” utworu „Majteczki w kropeczki” jest prawdziwa. ●



RUPI KAUR

COELHO POEZJI PODBIJA INSTAGRAM

Fenomenem ostatnich lat jest **Rupi Kaur**. Po raz pierwszy zwróciła na siebie uwagę w 2015 roku, gdy w ramach studenckiego projektu opublikowała na Instagramie serię autoportretów z plamami krwi menstruacyjnej na ubraniach i prześcieradłach.

Instagram początkowo zdjęcia Kaur usunął, a ona napisała krytyczny wobec portalu tekst. Artykuł stał się wiralem i zwrócił uwagę internautów na twórczość młodej Kanadyjki. Jak się okazało, Kaur zamieszczała w internecie krótkie wiersze zilustrowane własnymi rysunkami, a rok wcześniej wydała tom wierszy, „Mleko i miód”.

Książka z dnia na dzień stała się bestsellerem. „Mleko i miód” przez ponad trzy lata utrzymywało się na liście bestsellerów „New York Timesa”, a jego sprzedaż szacuje się na ponad 5 milionów egzemplarzy. Również w Polsce Rupi Kaur przez wiele miesięcy była na szczycie. Sukcesowi towarzyszyło pogardliwe i niechętnie przyjęcie krytyczne. Karolina Sulej na łamach „Wysokich Obcasów” stwierdzała, że „poezja Rupi Kaur jest taką samą katastrofą dla poezji, jaką dla prozy był Paulo Coelho”.

Nazywana „instapoezją” twórczość poetki podejmuje tematy takie jak status i tożsamość osoby migranczej, kobiecość czy dzieciństwo. Poetka nie unika pisania o swoim codziennym doświadczeniu, stanach psychicznych, ale też historii Indii. Jednym z ważnych dla jej twórczości tematów jest pogromów Sikhów, do którego doszło w Delhi w 1984 roku, i społeczne zmiany, które wywołał.

Wszystkie wiersze są dostosowane do gością do możliwości publikacji w mediach społecznościowych.

W 2022 roku Kaur wydała „Healing Through Words” („Uzdrowianie przez słowa”), książkę mającą być „zbiorem wyselekcjonowanych przez pisarkę ćwiczeń twórczych zachęcających do zgłębiania tematów traumy, straty, bólu serca” i „miłości, uzdrowienia i celebrowania siebie”.

Gigantyczny sukces Kaur sprawił, że została wybrana pisarką dekady przez amerykański magazyn kulturalny „New Republic”, na Instagramie śledzą ją ponad cztery miliony osób, a rynek księgarski od czasu jej sukcesu próbuje podbić grono młodych poetów i poetek, dla których media społecznościowe są najważniejszą platformą do publikacji wierszy.

Na fali popularności Kaur swoje pięć minut mieli też polscy twórcy, jak Anna Ciarłowska czy Krzysztof Kościelski, który pisał o sobie, że jest „Mickiewiczem Facebooka”.

W 2023 roku, dziewięć lat od pierwszego wydania, „Mleko i miód” Kaur zajmuje czwarte miejsce na liście bestsellerów Amazonu w kategorii poezja.

MEGAGWIAZDA „SPOKEN WORD”

Sukces Rupi Kaur sprawił, że – zwłaszcza młodzi – czytelnicy na całym świecie zainteresowali się poezją. W 2018 roku w Wielkiej Brytanii kupiono tomy poetyckie o łącznej wartości 12 milionów funtów. Niemal dwukrotnie więcej niż w 2012 roku.

Poetką, którą w ostatnich latach oglądał niemal cały świat, jest **Amanda Gorman**. W styczniu 2021 roku wystąpiła na inauguracji prezydentury Joego Bidena, czytając wiersz „The Hill We Climb”. Inspirowany m.in. atakiem na Kapitol wiersz w styluście nawiązywał do „spoken word”, w luźnym tłumaczeniu to „poezja wygłasza-



AMANDA GORMAN

na”, gatunek, który łączy tradycję recytacji i performance’u.

W Stanach Zjednoczonych „spoken word” najczęściej kojarzone jest z kulturą czarnych twórców i twórczyń, Renesan-



WARSAN SHIRE

szy pełnowymiarowy tom wierszy opublikowała dopiero w 2022 roku.

Warsan Shire urodziła się w 1988 roku w Kenii, w rodzinie somalijskich uchodźców, wychowała w Wielkiej Brytanii, dzi-



LOUISE GLÜCK

rozpoznawalność. W Polsce ukazały się dwa tomy jej wierszy – „Ararat” i „Zimowe przepisy naszej wspólnoty” w przekładzie Krystyny Dąbrowskiej.

Choć nagroda dla amerykańskiej poetki była sporym zaskoczeniem, to gdy przeanalizujemy jej dotychczasowe sukcesy, Nobel staje się oczywistym i logicznym zwieńczeniem. Glück kilkakrotnie otrzymała prestiżowe stypendium Rockefellera i Guggenheima, nagrodę Amerykańskiej Akademii Sztuk Pięknych, za tomy poetyckie zdobyła m.in. National Book Award i Pulitzera.

Jej poezję charakteryzuje kompozycja, przytłaczający momentami smutek, a w ostatnim tomie do głosu dochodzi – jak zauważa Krystyna Dąbrowska – „surrealistyczna wyobraźnia elnym odwołań do innych tekstów kultury, a jak pisze o nim Julia Fiedorczuk: „Tajemnica talentu kanadyjskiej pisarki polega między innymi na tym, że przy całej swojej erudycji potrafi ona po prostu wzruszać”.

Podobnie jak Glück Carson jest laureatką wielu prestiżowych nagród poetyckich, w tym Nagrody Księcia Asturii w dziedzinie literatury i nagrody amerykańskiego PEN Clubu. Uważana jest za jedną z najważniejszych kandydatek do literackiego Nobla, a w ostatnich latach polscy czytelnicy w końcu otrzymali przekłady jej książek. Renata Lis przełożyła „Słodko-gorzkiego erosa”, Maciej Topolski „Autobiografię czerwonego”, a Olga Kubińska „Piękno męża”, poetycką opowieść o małżeństwie i zdradzie.

GEOLOG EKO-KRYTYCZNY

Nie stroni od literackich eksperymentów **Forrest Gander**, urodzony w 1956 roku amerykański autor nagradzany m.in. Pulitzere. Zadebiutował w 1988 roku tomem wierszy „Rush to the Lake”, o którym recenzent „Library Journal” pisał, że reprezentuje „świeży i wymagający styl”.

Z wykształcenia geolog i literaturoznawca, Gander uważany jest za jednego z czołowych przedstawicieli nurtu ekokrytycznego w literaturze. Jest również tłumaczem: z języka hiszpańskiego przekłada poetów związanych z nurtem ekokrytycznym. Co ciekawe, najważniejszą amerykańską nagrodę za przekład otrzymał za tłumaczenie poezji z japońskiego. Wraz z Kyoko Yoshidą przełożył wiersze Kiwao Nomury, jednego z najważniejszych poetów pochodzących z Japonii.

Po polsku ukazał się jeden tom poezji Gandra – „Bądź blisko” przełożyła Julia Fiedorczuk, a opublikowała oficyna Lokator.

NIE TYLKO PO ANGIELSKU

Jak podaje Biblioteka Narodowa, w 2021 roku ukazało się w Polsce 1890 tomów poezji. Przekłady to zaledwie pięć procent z nich. Najwięcej – dziesięć – ukazało się tytułów tłumaczonych z angielskiego, sześć z niemieckiego. Na trzecim miejscu podium stanęły trzy języki – ukraiński, bułgarski i francuski. Polski czytelnik, jeśli nie zna języków obcych, ma niewielką możliwość poznania poezji, która fascynuje czytelników w innych krajach. Problem szczególnie dotyczy poetek. Nigdy nie ukazały się po polsku tomy takich gigantek, jak Marge Piercy, Carol Ann Duffy czy Diane Seuss. Choć nawet **Robert Hass**, autor uważany za jednego z najwybitniejszych amerykańskich poetów, laureat

WYCZULONE ANTENY PLEMIENIA

Kandydaci do Nobla, instapoetka, autorka wspierana przez Beyoncé i chiński dysydent.
Kim są najważniejsi poeci i poetki na świecie?

Wojciech Szot

sem Harlemu, ale też beatnikami, jak Allen Ginsberg. Inspirowana jazzem, bluesem i spiritual poezja „spoken word” przypomina spontaniczność polskich slamów poetyckich i jest dzisiaj jednym z najważniejszych ruchów poetyckich.

Gorman, która zadebiutowała w 2015 roku tomem „The One for Whom Food Is Not Enough” („Ten, dla którego jedzenie to wszystko”), jest reprezentantką pokolenia poetów, którzy nie boją się nie tylko popkultury, lecz także komercji. Pisała wiersze na zamówienie firmy Nike, została pierwszą poetką na okładce „Vogue” (zdjęcie zrobiła Annie Leibovitz), wystąpiła w kampanii reklamowej Estée Lauder i była jedną z prowadzących Met Galę w 2021 roku. Gorman została również pierwszą poetką, która wystąpiła na Super Bowl, podczas którego wygłosiła wiersz „Chorus of the Captains”.

W 2022 roku organizatorzy nagród Grammy zdecydowali, że poetyckie nagrania „spoken word”, które do tej pory rywalizowały z albumami prezentującymi też formy prozatorskie, otrzymają własną kategorię. Wśród nominowanych nie zabrakło Gorman i jej nagrania tomu poezji „Call Us What We Carry”.

W przeciwieństwie do Kaur Gorman jest raczej chwalona przez krytykę, choć Molly Young w „New York Timesie” zwróciła uwagę na nierówność poezji zaprezentowanych w ostatnim tomie i nadmiar dydaktyzmu. Podkreśliła jednak, że cieszy się popularnością Gorman i jej celebryckim statusem. – Im więcej sławnych poetów, tym lepiej – pisała krytyczka.

POETKA Z TWITTERA PODBIJA ŚWIAT

Na wskroś amerykańską gwiazdą poezji od kilku lat jest twórczyni, która swój pierw-

siaj mieszka w Los Angeles. Zadebiutowała w 2011 roku arkuszem poetyckim „Teaching My Mother How To Give Birth” („Ucząc matkę, jak rodzić dzieci”). I choć kolejne wiersze poetki publikowały prestiżowe czasopisma, to światowy rozgłos przyszedł dzięki Beyoncé. Amerykańska megagwiazda na albumie „Lemonade” kilkakrotnie zacytowała wiersze Shire.

– Otworzyłam skrzynkę mailową i zobaczyłam, że jedna wiadomość przyszła od Parkwood, czyli firmy Beyoncé. Myślałam, że ktoś sobie ze mnie żartuje, ale okazało się, że to oni. Akurat byłam w Los Angeles, więc wszystko potoczyło się bardzo szybko. Obudziłam się tego ranka i tego popołudnia siedziałam z Beyoncé i słuchałam jej przyszłego albumu. Dorastałam, słuchając Destiny’s Child i Beyoncé, więc to było bardzo surrealistyczne uczucie – opowiadała w rozmowie z Bernardine Evaristo.

Po sukcesie „Lemonade” Shire pracowała z Beyoncé nad albumem i filmem „Black is King”, a także napisała wiersz „I Have Three Hearts” („Mam trzy serca”), który towarzyszył ogłoszeniu przez piosenkarkę ciąży. Nie byłoby jednak współpracy z Beyoncé, gdyby nie talent poetki. W 2015 roku jej wiersz „Home” był cytowanym na całym świecie hymnem kryzysu uchodźczego.

Jak pisze recenzentka „The Harvard Crimson” Ella L. Jones, problemem tomu Shire jest brak zróżnicowanej i dynamicznej narracji, a jej przesłanie „zagubiło się w monotonii wierszy”. Jednak większość recenzentów chwali poetkę za wyrazistość i efektywność.

(NIE)ZNANA NOBLISTKA

Literacka Nagroda Nobla przyniosła amerykańskiej poetce **Louise Glück** światową



FORREST GANDER

wszystkich – poza Noblem – prestiżowych nagród, doczekał się zaledwie dwóch wyborów wierszy przełożonych na język polski. Sam na angielski tłumaczył m.in. Czesława Miłosza i Wisławę Szymborską.

Amerykanie też nie mają wielu powodów do dumy – przekłady poezji są rzadkością. Charakterystyczne, że nawet nagroda amerykańskiego PEN Clubu za przekład poezji w ostatnich latach przyznawana jest za tłumaczenia dzieł twórców nieżyjących. Ostatnie wyróżnienie przypadło Jennifer Grotz i Piotrowi Sommerowi za przekład tomu wierszy „Everything I Don't Know” Jerzego Ficowskiego.

– Patrzymy z określonego miejsca w Europie, które jest pod silnym wpływem kultury anglosaskiej – mówi badaczka poezji i pisarka Julia Fiedorczuk. – Wystarczy spojrzeć na Amerykę Łacińską, żeby zorientować się, że ważni poeci i poetki nie piszą tylko po angielsku. Warto przyjrzeć się, kim interesują się znani poeci amerykańscy. Moi ulubieni często patrzą na wschód. Kilka lat temu wielkim olśnieniem był dla mnie chiński poeta dysydent Bei Dao, którego spotkałam w Hongkongu.

CHIŃSKI BOB DYLAN?

Bei Dao (to pseudonim) uważany jest, obok Duo Duo, za najwybitniejszego z tzw. poetów mglistych. To określenie na urodzonych na przełomie lat 40. i 50. poetów chińskich początkowo zafascynowanych maoistowską ideologią, którzy zaczęli sprzeciwiać się „rewolucji kulturalnej” i krytykować jej efekty. W swojej twórczości – jak pisze Joanna Krenz, badaczka literatury chińskiej – „postulowali oddzielenie literatury od polityki rządu centralnego”, a „ich poezja towarzyszyła w 1989 roku upominającym się o demokrację studentom na placu”.

W 1976 roku Bei Dao napisał „Odpowiedź”, wiersz, który stał się manifestem studenckiego ruchu prodemokratycznego i był porównywany do „Blowin' in the Wind” Boba Dylana. Pisał:



ROBERT HASS

*Nie wierzę w błękit nieba,
nie wierzę w odgłos pioruna,
nie wierzę, że sen to uluda,
nie wierzę, że śmierć się nie mści*
(tłum. Izabella Łabędzka)

W czasie masakry na placu Tiananmen Bei Dao przebywał w Berlinie. Do Chin nie wrócił. Osiadł w Stanach Zjednoczonych. Chińskie władze dopiero po sześciu latach pozwoliły na wyjazd jego żonie i dziecku. Na stałe wrócił do Chin w 2006 roku, osiadł w Hongkongu i rzadko bywa w samych Chinach.

W 2014 roku postanowił stworzyć (po chińsku) antologię wierszy dla dzieci. Zawierający 101 wierszy (70 poetów zagranicznych, 31 poetów chińskich) wybór był pierwszą w historii kraju taką prezentacją poezji dla najmłodszych czytelników. Polskę w antologii reprezentuje Zbigniew Herbert i jego wiersz „Głos”.

Julia Fiedorczuk zwraca uwagę na poetów i poetki z krajów Ameryki Południowej. Wśród nich wymienia m.in. chilijskiego poetę Raúla Zuritę, Urugwajkę Idę Vitale czy Coral Bracho z Meksyku. Z tej trójki Zurita ma status gwiazdy poezji o ponadkontynentalnej sławie.

POETA, KTÓRY PISAŁ NA NIEBIE

Raúl Zurita, laureat wszystkich ważnych nagród poetyckich w Chile i Ameryce Południowej, to postać o pasjonującej biografii. Gdy miał 22 lata, w trakcie zamachu stanu w Chile w 1973 roku razem z niemal tysiącem innych osób został aresztowany i przez trzy tygodnie był przetrzymywany w ładowni statku. Ukończył inżynierię lądową i przez kilka lat pracował jako sprzedawca maszyn liczących. Jednak zawsze interesowała go filozofia i literatura. Zadebiutował w 1975 roku, a cztery lata później wydał „Purgatorio”, pierwszy tom poetyckiej trylogii, który odniósł ogromny sukces w Chile.



BEI DAO



RAÚL ZURITA

Poeta porusza się pomiędzy wzbudzającymi kontrowersje działaniami performatywnymi, eksperymentami a wielkimi formami poetyckimi i prozatorskimi. 2 czerwca 1982 roku pięć samolotów lecących nad Nowym Jorkiem za pomocą białego dymu „napisało” jego wiersz „La vida nueva”. Dzieło składało się z piętnastu zdań, każdego o długości 7-9 kilometrów, w języku hiszpańskim.

Na chilijskiej pustyni napisał zaś zdanie „Ni pena ni miedo” („Bez wstydu, bez strachu”) literami widocznymi z samolotów. – Mysłę o popieranym przez Stany Zjednoczone masowym „znikaniu” dysydentów politycznych za dyktatury Pinocheta, o ich ciałach wyrzucanych z samolotów przecinających ogromną pustynię Atakama – mówił w rozmowie z Forrestem Ganderem.

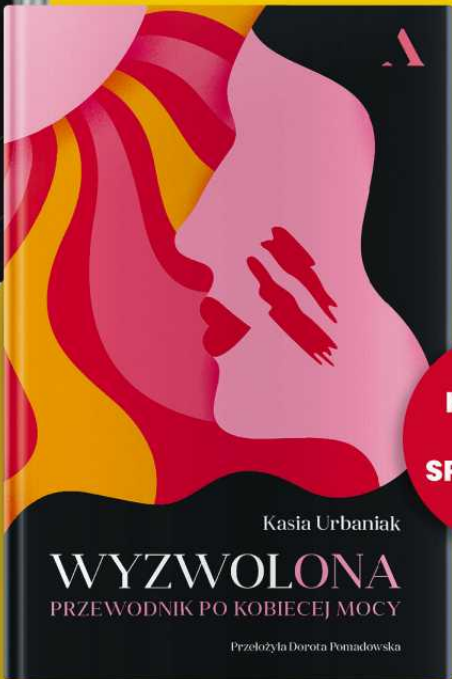


Julia Fiedorczuk przypomina, że Ezra Pound powiedział kiedyś, że poeci są „antenami” swojego plemienia. – To znaczy, że najszybciej „odbierają” określone sygnały z otoczenia. Podobnie jak w międzywojniu, kiedy kwitły ruchy awangardowe, tak i teraz świat podlega głębokim i gwałtownym przemianom. Zmienia się nasza codzienność, otaczające nas technologie, cały materialny świat, sposoby komunikowania się – i pejzaż uczuć – mówi „Wyborczej” Fiedorczuk.

Zdaniem badaczki poezja reaguje na przemiany, „szukając nowych form wyobraźni, nowych języków, nowego ujęcia dla ciekawości, zachwytu, lęku i gniewu”. – To dobrze, że rozwija się w różnych kierunkach. I choć nie wszystkie są jednakowo ciekawe, to różnorodność jest bezcenna, stanowi antidotum na sformatowane języki mediów społecznościowych i polityki – podsumowuje Fiedorczuk. ●

Wypowiedź Zurity przełożyła Joanna Figiel

Poeci i poetki
rzadko kiedy
okupują listy
bestsellerów,
bywa jednak,
że szturmują
ich szczyt
na równi
z twórcami
literatury
popularnej



KSIĄŻKA
JUŻ W
SPRZEDAŻY

WYMIEN NAZWISKO JEDNEJ
GRZECZNEJ DZIEWCZYNKI,
KTÓRA ZMIENIŁA ŚWIAT.

NIE POTRAFISZ...
PONIEWAŻ ONA TEGO NIE POTRAFI.

Jeżeli jest jakaś książka o kobietach dla kobiet, którą polecałabym z czystym sercem, to jest to właśnie „Wyzwolona” Kasi Urbaniak. Córka wielkich artystów, obeznana ze światem, kobieta sukcesu, a jednak zmuszona nauczyć się stawiać granice, zrywać ze stereotypami miłej, grzecznej kobiety, której narzuca się sztywne gorsety zachowań i wymagań. Dla wielu z Was ta książka będzie impulsem do działania. Jeśli brnąć z czegoś nauki, to właśnie z takich poradników.

KAROLINA KORWIN-PIOTROWSKA



Pamiętam, choć może nie w każdym szczególe, swoje pierwsze dziennikarskie zadanie (nie licząc epizodu, choć znaczącego, w szkolnej gazetce „Łoś”, której dwa numery wydaliśmy w podstawówce). To był rok 1998, a ja stawiałem absolutnie pierwsze kroki w zawodzie w barwach „Przeglądu Sportowego”.

Grzegorz Pazdyk, fantastyczny facet i świetny dziennikarz oraz redaktor, który te moje nieporadne kroki pomagał mi stawiać, zapowiedział, że mam zrobić materiał o drugoligowym zespole siatkarek. W tym celu muszę skontaktować się z ich trenerem, który był także wykładowcą Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie.

Zadzwońiłem do trenera z domu, elegancko z telefonu stacjonarnego, rzecz jasna, jakoś wieczorem. Kiedy już oddałem tekst, wymagał sporo poprawek Grzesia, rzecz jasna. A potem jeszcze wyprawy tramwajem na AWF – żeby nie było, z reporterskiego obowiązku: miałem już prawko, ale spróbujcie zaparkować pod AWF-em! Aby szkoleniowiec mógł autoryzować wypowiedzi.

Ale duma, kiedy zobaczyło się tekst podpisany swoim nazwiskiem w gazecie, którą czy-

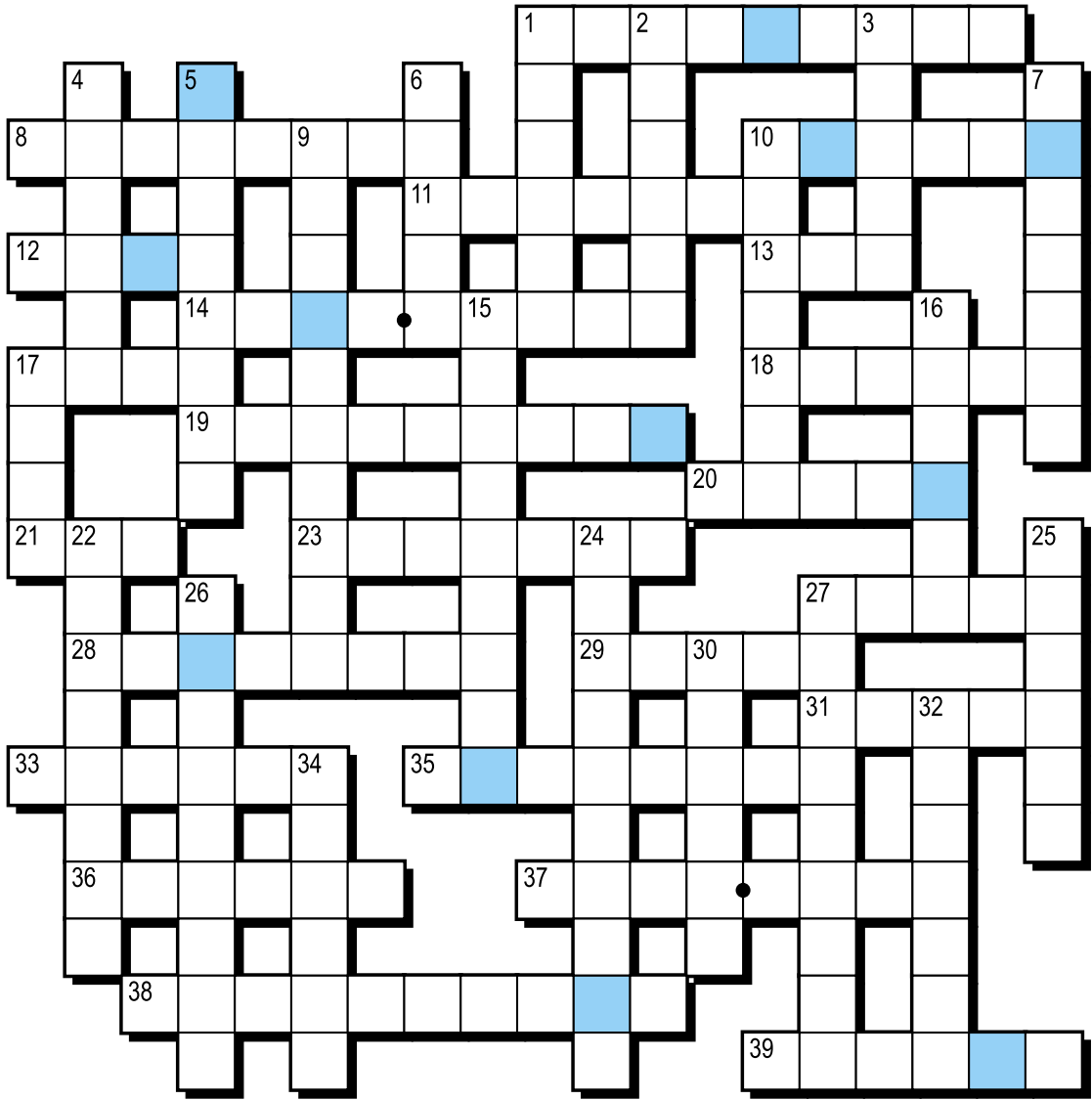
tało się od szkoły podstawowej, była nie do opisania.

Numeru niestety nie zachowałem. Ale kilka innych mam w milej pamięci, a czasami nawet w szufladzie – pierwszy tekst do „Metra” (o walce Iwony Guzowskiej), gdzie z kolei warsztatu uczył mnie inny kapitalny gość Mirek Maciorowski, debiut w „Telewizyjnej” wielkim traktatem o japońskich kreskówkach z Polonii i pisany razem z Maćkiem Baranowskim (tęsknię, Bracie), hokejowe początki w „Wyborczej” czy wreszcie wywiad z ulubionym hokeistą, Patrickiem Marleau, którego konsekwencją było zwiedzanie obiektów San Jose Sharks...

Naszło mnie na dziennikarskie wspominki, bo to już ćwierćwiecze mej „pracy twórczej”, a ten skromny jubileusz zgodził się uczcić Piotr Stasiński, wieloletni wicenaczelný „Gazety Wyborczej”, wcześniej, od 1993 r., szef działu krajowego, a następnie publicystyki („Gazety Świątecznej” i Opinii). W latach 1989-93 był sekretarzem redakcji „Nowego Dziennika” w Nowym Jorku.

Proszę Państwa, zapraszam!

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 42 z 4.03:

Poziomo:

- 5) zegar 9) Nowy Jork 10) Oprah
12) Oscar 13) Pentagon 14) wizon
16) McDonald’s 18) Dynastia 21) ranczer
23) Colt 24) Manitu 25) Leigh 26) Jon
28) Presley 30) dolary 31) Oklahoma
34) Oldman 35) wojna 37) Batman
40) Johnson 43) cheerleaderka 44) Kojak
45) Harvard

Pionowo:

- 1) hokej 2) Wyatt 3) Kongres
4) ekonomia 5) Zachód 6) Garfunkel
7) Roswell 8) kryzys 11) Honolulu
15) Dylan 17) Canaveral 19) Arizona
20) Trump 22) rezydencja 23) Chinatown
24) Monroe 27) Bloomberg 29) hymn
32) Hamill 33) Montana 36) Arnold
38) Watergate 39) Ohio 41) Hair 42) sala

HASŁO: **SWEET HOME ALABAMA**

DZIENNIKARSKA

Hasła Piotra Stasińskiego oznaczono inicjałami (P.S.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1)** do pary z Bobem ujawnili aferę Watergate (P.S.)
8) ... Wielowiejska, dziennikarka i publicystka
10) ... Fallaci, włoska dziennikarka, którą ścigano za obrazę islamu
11) potocznie o dziennikarzu piszącym na życzenie zwierzchników napastliwe teksty
12) bad or good (P.S.)
13) ... Ewart lub ... Drzyzga
14) dziennikarz, którego nazywano „szalejącym reporterem”

- 17)** Rafał, autor felietonów sportowych
18) liczba egzemplarzy jednego wydania gazety
19) subiektywny artykuł publicystyczny
20) ... i łamanie, przygotowywanie tekstu do druku
21) Tomasz, zastanawiał się: „Co z tą Polską?”
23) ulica z siedzibą „Gazety Wyborczej”
27) do ściskania i do informowania (P.S.)
28) Tomasz ze „Szkła kontaktowego”
29) pośredniczą między światem a tobą (P.S.)
31) przedpremierowy ... filmu, często z udziałem dziennikarzy
33) synonim 15 pionowo
35) grzebanie w źródłach (P.S.)
36) Prawo prasowe

- 37)** skojarz: Londyn, drzewa, wolność słowa
38) doniesienia z kraju i ze świata
39) „Fakty” – TVN, „Wydarzenia” – ?

Pionowo:

- 1)** „Boskie ...” Maanam („Serdecznie witam, panie dziennikarzu...”)
2) Alicja ...-Modlińska
3) ... Michalik, dziennikarka, felietonistka
4) ... Mazurek, przepytuje gości w radiu
5) Konrad, dziennikarz radiowy i telewizyjny
6) ... Żakowski, związany m.in. z „Polityką”
7) np. Grand Press
9) trzeba je sprawdzać, żeby coś wiedzieć (P.S.)
10) Monika stawiająca „Kropkę nad i”

- 15)** rozmowa dziennikarza z gościem, opublikowana w prasie, radiu, tv
16) niby czwarta, ale ma tylko słowa (P.S.)
17) subiektywny ... reportażu, np. gonzo
22) ... Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej, na Uniwersytecie Wrocławskim
24) towarzyszą reporterom telewizyjnym
25) ptak, który psuje dziennikarstwo (P.S.)
26) nie dziennik, bo pisany po fakcie (P.S.)
27) zakrada się z aparatem (P.S.)
30) ... Passent, wieloletni felietonista „Polityki”
32) Kryształowe Pióra, ... dla dziennikarzy
34) zbierane przez prokuraturę lub przez dziennikarzy śledczych

Leszek Rydz

Weekendówka

Byle do

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**

POBIERZ Z **Google Play**